

4/ —
2
1731
WANDA MIŁASZEWSKA

PIERWSZA MIŁOŚĆ

28465
WARSZAWA — 1928
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA
385



FUW0126142



260405

TEJ SAMEJ AUTORKI:

VENI CREATOR, nowele.
CMENTARZ I SAD, powieść.
KSIĘŻNICZKA DAGNY, romans.
ZATRZYMANE ZEGAR, powieść.
O ŻŁOTY WŁOS, powieść.
ROK BOŻY.

W przygotowaniu:

KACZĘTA, powieść.
IMIONNIK.



ODBITO CZCIONKAMI Drukarni Ludowej w Krakowie
pod zarządem Henryka Schiffa

SPIS RZECZY:

	Str.
Grande-Grille	7
Niebieskie oczy Ewuni	51
Pierwsza miłość	85
Bukiet	117
Balbina	133
Kolorowe światelko	157
Na progu	173
In spe (Historja o sześciu Marjach)	189
Siostra Miriam	203
Za szklaną szybą	225
Trzynasta	249
Sprawa kryminalna	261
Ewon i Adamina	285
Jablonie	297

11/294/01

18-

§.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

GRANDE-GRILLE

Nie było to imię ani piękne, ani stosowne dla istoty, zrodzonej z tak szlachetnych rodziców, a otrzymała je dzięki prostemu przypadkowi.

Zdarzyło się bowiem, że w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała światło dzienne i wciągnęła w maleńkie, aksamitne nozdrza miły, nieco amoniakiem zaprawny zapach stajenny, — baron siedział na ocienionej cytrynowemi drzewami terrasie pałacowej i z tępym, niezadowolonym wyrazem twarzy, przyglądał się zgrubiałym w stawach palcom swej własnej ręki.

Właśnie przeczuwał nowy atak artretyzmu i przemyślał nad tem, w jaki sposób najszybciej wycisnąć z ziemi gotówkę, niezbędną do przeprowadzenia kuracji zagranicznej.

Narazie — było to marzeniem ściętej głowy, wobec nieściętych łąków sandomierskiej pszenicy, która zaledwie poczyniała kłosać, falując pod pieszczotą wiatru, jak morze zielone.

Jako symbol wszczętych zabiegów o chromające zdrowie, widniała na stole duża butelka z ciemnego szkła, opatrzona etykietą w języku francuskim. Właśnie baron kończył dopijać poranną porcję zbawczej wody, gdy na ścieżce,

wiodącej od zabudowań gospodarskich, ukazał się masztalerz. Już o dwadzieścia kroków od schodów pałacowych zdjął czapkę liberyjną, zaś o pięć kroków przystanął, chrząknął i z miną pełną respektu, czekał, aż jaśnie pan raczy zauważyć jego niezwykłą o tej porze i na tem miejscu obecność.

Baron do ostatniej kropli wysączył lekarstwo, poczem odstawił szklanę, odetchnął i spytał to-nem łaskawym:

— A, to Grzebyczek. Cóż powie?

Wówczas Grzebyczek, od lat dwudziestu czterech piastujący godność masztalerza przy pałacowej stajni, wyprostował się jeszcze bardziej i głosem nieco chrapliwym, świadczącym o pewnej dozie alkoholu, wchłoniętej przez organizm, odrecytował:

— Melduję jaśnie panu, że Adventure ozrebiła się przed godziną. Matka i źrebię czują się zupełnie dobrze.

— Adventure? — zastanowił się baron. — Po którym to ogierze?

— Ośmielę się przypomnieć jaśnie panu, że przeważnie po Bisurmanie.

Grzebyczek, poza mnóstwem istotnych zalet, miał dosyć zabawne przyzwyczajenie wtrącania od czasu do czasu słowa „przeważnie“, co w jego pojęciu czyniło styl bardziej kwiecistym, a w potocznej mowie dawało skojarzenia nieoczekiwane i często humorystyczne.

„Jaśnie pan“ uśmiechnął się dobrotliwie.

— Przeważnie, powiadasz? A jakie źrebię? Ogierek, czy klaczka?

— Przewa... — masztalerz ugryzł się w język i przełknął niefortunne słowo — klaczka, jaśnie panie. Bardzo ładna klaczka. Budowę wzięła po matce, a maść przeważnie po ojcu, chociaż to jeszcze trudno wiedzieć napewno. Ale gwiazdkę to ma na czole takusienką, jak Adventure. Morowa będzie klacz... przepraszam jaśnie pana, ale morowa. Żeby tak jaśnie pan, sam się, przeważnie, raczył pofatygować do stajni...

Baron spojrział na klomb i pomyślał, że zamiast zwykłych dziesięciu kręgów, stanowiących przepisane przez lekarza tysiąc kroków przechadzki, można również dobrze odbyć tę drogę w kierunku stajni, więc po maleńkiej chwili wahania, skinął głową na znak, że się zgadza i sięgnął po dzwonek, błyszczący wypucowanym starannie mosiądzem. W drzwiach półotwartych ukazał się lokaj Antoni z kapeluszem i laską, oraz letnią zarzutką, przewieszoną przez ramię.

— Nie trzeba, ciepło dziś — rzekł baron — zresztą zaraz wracam. Tymczasem sprzątnij ze stołu i zanieś wodę do mojego pokoju, zanim nie nadejdą psy jaśnie pani i nie stłuką butelki, jak w zeszły piątek.

— Słucham, jaśnie panie — rzekł lokaj, a baron ruszył w towarzystwie masztalerza, który

z uwagą stosował doń swe kroki, utrzymując przepisową odległość pięciu stóp pomiędzy pańską, a własną osobą.

Rzuciwszy okiem znawcy na klacz i nowonarodzone źrebię, rzeczywiście nadzwyczaj piękne, baron wracał powoli do pałacu. Głowę miał pełną cyfr, a myśli wirowały pod czaszką, jak roje wiosennych muszek. Ze wzrokiem wbitym w ziemię, z rękoma założonemi na plecy, baron kalkulował w pamięci, ile w przybliżeniu udałoby się wycisnąć od okolicznych żydków na rachunek przyszłej pszenicy.

— Sześć tygodni Vichy — obliczał — no i naturalnie w drodze powrotnej przyjdzie „zahaczyć“ o Paryż...

Wiedział z doświadczenia, że takie „zahaczenie“ wyłuska mu z kieszeni dosyć poważną sumkę, no, ale ta pszenica...

— Mordko powinien się wystarać o dwa tysiące. Co to powinien! Musi i basta. Od tego szelma siedzi w miasteczku i zbija pieniądze, moje własne pieniądze. Sprzedam mu pszenicę na pniu, a w jesieni jakoś to się wyłata. Urodzaj zapowiada się świetny. Zresztą — w październiku będą biegały Master Charlie i Sweet Lady. Na Charliego niebardzo liczę, ale Sweet Lady! O, ta weźmie z pewnością wszystkie pierwsze nagrody w biegach

z przeszkodami. Skacze, jak sarna. Tak samo brała kiedyś najwyższe płoty Adventure, dopóki była młoda. Ha, teraz jest za to wyborną matką...

Przypomniawszy sobie nowo narodzone źrebię i pomyślał z zadowoleniem:

— Z małej będzie pociecha. Za dwa lata stanie już w krótkich biegach i będzie brała nagrody. Mógłbym ją sprzedać na jesieni hrabiemu Zenonowi. Zawsze mi zazdrościł tej Adventure... Gotów słono zapłacić za córkę...

Zawikłany stan finansowy jaśniej się zaczął przedstawiać oczom barona. Wchodząc po stopniach, pogwizdywał wesoło, na nutę jakiejś arjetki z Moulin Rouge:

— Pojadę sobie do Vichy! pojadę sobie do Vichy! Grande Grille la li, Grande Grille la la!

Młoda, śliczna baronówna Ludwika, zwana w rodzinie Luizą, piła właśnie kawę na terasie. Dwa wielkie angielskie dogi, barwy myszatej, legły poważnie u jej drobnych stóp, obutych jeszcze w poranne pantofelki, a zwinny, jak wieiórka foksterjer, siedział naprzeciw w plecionym fotelu i bystre oczkami śledził każdy ruch swojej pani, która od czasu do czasu krajała na czworo cienki plasterek wędliny i rzucała ulubieńcowi przez stół.

Na widok ojca, panna cisnęła ostatni kawałek szynki wysoko ponad głowę psiaka, otarła pa-

luszki w serwetę i odezwała się najcudowniejszym sopranem, słodkim i czystym, jak kryształ:

— Już papcio po spacerze? Ranny dziś ptaszek z papy! Myślałam, że tylko ja jedna z całej rodziny uprawiam przechadzki o świcie... Teraz, dopóki słońce nie świeci zbyt mocno, jest tak cudownie, tak cicho, ziemia tak pachnie...

Oczy jej wyrażały w tej chwili jeszcze więcej zachwytu, niż słowa, odmierzane powoli, niemal z rozważą, by ich nie padło zawiele. Nagle cień niepokoju prześliznął się po twarzy pięknej panny. Spojrzała na ojca badawczo i spytała pośpiesznie:

— A gdzież to ojczulek wędrował, można wiedzieć?

— Zaszedłem na momencik do stajni — odparł baron, całując ją w czoło — chciałem obejrzyć córkę twej faworytki! Powiadam ci, Luizo, prześliczna klaczka! Co za łopatki! Co za maść! A jakie nogi! O, ta będzie brała przeszkody lepiej niż matka!

— Adventure! — wykrzyknęła baronówna, składając ręce. — To córka Adventure i Bisurmana! O, papo... Trzeba obmyślić dla niej piękne imię...

— Już zapisałem w książce. Nazywa się Grande-Grille.

Panna Luiza skrzywiła piękne usteczka.

— Grande Grille? Żartujesz chyba, ojczulku!

Córka Bisurmana i Adventure, rodzona wnuczka Queen of Flowers? Prawnuczka samego Prince'a ma się nazywać Grande-Grille? Jak ta szkaradna woda w pękatej butelce, którą pijasz co rano, ojczulku?

— Spostrzegam z przyjemnością, że znasz genealogję końską nie gorzej ode mnie; jesteś mą nieodrodną córką. Szkoda tylko, że mniejszą wagę przykładasz do twojej własnej. Baronówna Luiza, skoligacona z dworem austriackim przez matkę, której nazwisko błyszczy w almanachu go-tajskim, oburza się na mnie za niestosowne imię dla rasowego żrebięcia, ale sama przebywa chętnie w towarzystwie jakiegoś pana Raczka, czy Fraczka, który przyjechał tutaj nie wiedzieć skąd, niewiedomo czym się zajmuje i którego rodowód nie sięga pewnie po za jedno pokolenie wstecz...

Przez matową twarz pięknej panny przeleciały płomienie.

— Przepraszam... nie rozumiem do czego zmierzasz, papo...

— Wiesz dobrze sama... Ten pan zupełnie mi się nie podoba. A to, że go chętnie widzisz...

— Widuję?

Baronówna wstała gwałtownie z krzeselka otulając się w ranny szlafroczek.

— Zdaje się, żeśmy zeszli na niewłaściwy temat, którego, pozwolisz papo, w tej chwili i na tem miejscu nie chciałabym poruszać...

— Co do czasu i miejsca, nie uważam, by były niewłaściwe. Natomiast twoje zachowanie, moja droga, twoje zachowanie, niestety...

Błękitne oczy, niedawno jeszcze pełne słodkiego rozmarzenia, stały się szafirowe, a z szafirowych czarne. Dwa wąskie łuki brwi zbiegły się nagle.

— Baronówna Luiza dobrze pamięta kim jest! — rzekła piękna osoba głosem cokolwiek drżącym — mylisz się papo, sądząc, że Jerzy Francegh nie byłby godzien wejść do naszej rodziny, jako... jako wybrany przeze mnie...

— Co mówisz? — krzyknął baron. — Co chciałaś przez to powiedzieć?

— Chciałam powiedzieć, że w jego żyłach płynie może krew lepsza od naszej, chociaż nie błękitnieje zapewne na pożółkłych pergaminach rodowych...

— A! — krzyknął baron, purpurowy z wściekłości — więc to prawda, co mówiły twe ciotki! Więc to prawda, że się durzysz w tym obcym przybłędzie!... Ostrzegano mnie... Radzono, abym zwrócił uwagę na ciebie... Bym tego cudzoziemca za próg nie puszczał... Bym się miał na baczności... A, łotr, a, złodziej...

— Papo! — przerwała panna.

Ale baron sam przestał wyliczać, za kogo jeszcze uważa Gyurkę Francegh'a. Twarz jego z czerwonej stała się fijołkowa, z fijołkowej zupełnie sina i nagle człowiek, tak niedawno liczący

na zbawienną kurację Vichy, poczał się walić w tył, zakrzywionemi, jak szpony, palcami szarpiąc bezsilnie ciasny kołnierzyk.

Grand-Grille rosła sobie spokojnie.

Pasła się teraz na okolniku porośłym krótką, soczystą trawą; wokół były barjery z mocnych drążków sosnowych; ponad te drążki wychylała częstokroć głowę, ale nie dlatego, by miała uczuwać tęsknotę za bezkresnym obszarem pól. Grande-Grille czuła się zupełnie szczęśliwa w swoim zacisznem państewku, dokąd nie dochodziły żadne echa wojny, mordów, pożogi, nie dolatywał zapach krwi, ciał gnijących na ziemi i prochu.

Jeżeli wyciągała cudownie piękną głowę na smukłej, giętkiej szyi aż poza ogrodzenie, to dlatego, że po tamtej stronie, poza granicą jej ciasnego królestwa, słysząc było leciuchny szelest. Ktoś dobry, ktoś znajomy podchodził drobnymi krokami, oplatał lśniącą szyję białem ramieniem, szeptał słowa niezrozumiałe, a mile, słodkie i wonne, jak koniczyna kwitnąca.

Tak, Grande-Grille mogła powiedzieć, gdyby mówiła, że jest bardzo pieśczone przez los. Otrzymywała trzy razy dziennie obrok, czystą i smaczną wodę, a ponadto, co już było specjalnym przywilejem, — ją jedną odwiedzała najdroższa przyjaciółka, pani o białych rękach, w których znaj-



dował się zawsze ukryty przysmak: kawałek chleba, albo cukru, wykradzonego tajemnie ze spiżarni, albo choćby garsteczka owsa, o którym nie sniły inne konie.

Bo na świecie szalała wojna. Panoszył się niedostatek nawet w pałacu, gdzie przedtem brakło chyba ptasiego mleka. Raz po raz jakiś oddział wojsk roztasowywał się na podwórzu, oficerowie dzwonili ostrogami na pięknie froterowanych posadzkach pałacowych, a żołnierze myszkowali po okolicy, rekwirując żywność dla koni, chleb, jaja i drób, z którego słynęły ongi te strony.

Wyjeżdżając, niepożądani goście zostawiali całe stosy kwitków pięknie ostemplowanych i ozdobionych nieczytelnym podpisem jakiegoś dowódcy C. K. armji.

Baronówna Ludwika, nie mając nic lepszego do roboty, układała te kwity kolejno wedle dat i związywała w paczki. Wiele podobnych paczek zalegało szuflady staroświeckiego biurka, przy którym od świtu do nocy tkwił w swoim fotelu baron, wsparty wygodnie o poduszki, nieruchomy i straszny ze swoją wieczyście wykrzywioną twarzą.

Córka wchodziła na palcach do pokoju, cicho za sobą zamykając drzwi, zbliżała się do fotelu i oznajmiała spokojnym, chociaż zbolalym głosem:

— Dzisiaj znowu zabrali dwa konie. Dwa najlepsze konie wyjazdowe: Maszkę i Wojtusia, któ-

ry chodził przedtem w fernalce. Ojczulek pamięta? Łysy kasztan...

— Ga... ghaa... grha... — bełkotał baron.

Z całej stadniny, z całego tuzina folblutów, którymi tak się chlubił właściciel, — została tylko jedna Grande-Grille. Dlatego, że była źrebięciem i dlatego, że błagalny wzrok pięknej panienki zdołał wzruszyć nawet twarde serca najeźdźców. Pozostawiono klaczkę na miejscu i nawet zaopatrzone ją w legitymację, uwalniającą od przyszłych ewentualnych rekwizycyj.

Zachodziła do niej baronówna codziennie, czasem w towarzystwie Grzebyczka, który mocno w ciągu ostatnich lat postarzał i częściej jeszcze niż zazwyczaj, używał ulubionego słowa „przeważnie“.

— Piękna klacz, — mówił, przyjaźnie poklepując po kłębie faworytkę. — A przeważnie pod siodło. Na jesieni weźmiemy się do niej oba z Tomkiem. Wtedy przekona się jaśnie panienka, jakie ona ma chody. Jabym tak na nią postawił nie wiem co, że całkiem w matkę się wdała, chociaż i Bisurman nie miał równego sobie. Hej, to był ogier! Takiego, przeważnie, już nie będziemy oglądali!

Westchnął stary masztalerz, wspomniawszy Bisurmana. Westchnął jeszcze głośniej i mruknął:

— Gdzie to teraz szukać takich koni! Wywłoki przeważnie w tem wojsku, niedopatrzone, zajeź-

dżone na śmierć. Już to wojna, przeważnie dla koni, najgorsza matka.

Zostawszy sam na sam z Grande-Grille, baronówna Luiza gładziła ją po aksamitnych chrapach, po szyi atlasowej, po wydłużonych łopatkach i puszczała wodze wspomnieniom:

— Pamiętasz? Nie, ty tego nie mogłaś wiedzieć!... byłaś wtedy zupełnie malutka. Ojciec gniewał się na mnie, że bardziej kocham Gyurkę Francegh'a, niż nasz rodowy herb. Od ciebie, od twojego imienia rozpoczęła się ta fatalna rozmowa.. Ty o tem nie mogłaś nic wiedzieć, nawet nie przeczuwałaś, biedne głupie źrebiątko... Ojciec dostał ataku... A Gyurka Francegh wyjechał i nie ujrzałam go już nigdy — już nigdy — już nigdy...

Powoli, jedna za drugą, spływały z oczu baronówny ogromne łzy, których nie próbowała wstrzymywać, bo nikt tego przecież nie widział. Nikt, oprócz ślicznej Grande-Grille, szukającej na próżno kawałka cukru w tragicznie zaplecionych dłoniach.

A baronówna szeptała dalej:

— Ty nie rozumiesz, ty nie możesz rozumieć, biedne stworzenie, że stałaś się przyczyną mojego największego nieszczęścia, źródłem moich gorzkich łez i mojej najcięższej winy... Ty, śliczna pieszczołko, nic nie wiesz o tem, że imię, które nosisz, powtarzałam ze łkaniem w bezsenne dłu-

gie noce. Imię twoje i jeszcze jedno, którego nie zapomnę...

Odchodziła powoli, żegnana cichem rzeniem klaczy. Snuła się potem godzinami po zarośniętym, dziczającym parku, którego nikt już nie utrzymywał w porządku, bo komu by przyszło do głowy strzyc żywopłoty i przycinać w cienistych szpalerach młode gałęzie teraz, gdy na świecie szalała zawierucha wojenna, a niejedno wiekowe drzewo zwaляło się, trafione zabłąkanym pociskiem.

Wszyscy mieli swoje troski o chleb powszedni, o zimowe zapasy, o jako tako bezpieczny dach nad głową. Pracowali, zbierali zasiewy z pól, gromadzili dobytek, jak mrówki. Jedna tylko baronówna Luiza przechadzała się jak dawniej po parku, bo tylko to umiała robić. Plac tenisowy porosły bujne zielska, biało lakierowana łódeczka spróchniała, wywleczona na brzeg przez kogoś z dworskiej służby. Zresztą — nie była teraz potrzebna. Nikt nie woził pięknej panienki po ciemnym stawie, gładkim i lśniącym w blaskach zachodzącego dnia. Nikt również nie grywał z nią w tenisa, nie polował na dzikie gołębie, nie uczył strzelać do celu w ogrodzie.

Ci nieliczni sąsiedzi, których wojna nie wygnała w obce kraje, przyjeżdżali rzadko, bawili krótko i z widocznym przymusem. Taki smutny był opuszczony pałac, z oblatującym tyn-

kiem, takie puste były ogromne sale, po których nikt nie chodził i tylko niekiedy rozlegał się w nich głuchy łoskot toczącego na kółkach wózka z paralitykiem.

Biała panienka snuła się po parku bez celu, ni by widmo własnej młodości i czasem szeptała ze skargą:

— Gdzie jesteś teraz, ukochany? Czy żyjesz? Czemu cię niema przy mnie? O, Gyurka?...

— — — — —

Zjawił się kiedyś — tak samo nagle, jak nagle zniknął przed laty. Przyjechał konno, strojny, piękny i młody, czarnooki i czarnowłosy, uśmiechnięty buńczucznie, obwieszony mnóstwem orderów, — oficer obcej armji.

Śmiałym i elastycznym krokiem przeszedł kilka mrocznych sal, niezamieszkałych, pachnących kurzem i pustką. Przed znajomymi drzwiami zatrzymał się, zastukał, poczekał krótką chwilę, zastukał ponownie i wszedł, nim obojętny, znużony głos kobiety zdała zapytać „Kto tam?”

Panna zerwała się z kanapy. Rozsypały się po podłodze luźne kartki czytanej książki. Piękne niebieskie oczy stały się szafirowe ze szczęścia, a zbielele od nagłego wzruszenia wargi szepnęły niedowierzająco:

— Gyurka! Pan, tutaj?... Pan?

— Witam panią, baronówno. Wszak się nie

mylę? Nosi pani to samo nazwisko? Nie wyszła pani za mąż?

— Ja? — W głosie brzmiało zdumienie i prawie wyrzut, że mógł przez chwilę sądzić, aby ona — ona...

— Przyjechałem przed chwilą. Szukam kwatery dla siebie i dla moich ludzi. Piękna pani daruje, że tak obcesowo wtargnąłem tutaj. Trzeba mi to wybaczyć. A la guerre...

Mówił zawsze tą samą poprawną francuszczyzną z nieznacznym, nieco twardym akcentem. W pięknych oczach jarzył się ten sam ogieniek figlarny, pewny siebie, zdobywczy.

Dopiero teraz podszedł do niej, zasalutował raz jeszcze, pochylił się do jej ręki. Czarny, krótko strzyżony wąsik musnął białą dłoń. Usta były tak samo gorące, jak ongi.

— Ależ tak... naturalnie... Proszę, niechaj się pan rozgości... W pałacu jest aż nadto miejsca. Tylko ja jedna i ojciec... Ojciec, który...

Lejtnant Francegh lekko zmarszczył brwi.

— Ach, ojciec pani!

— Tak, sparaliżowany mój ojciec. Pan o tem pewno nie wiedział. To było... to stało się wówczas...

— Jedna chwilka! — rzekł. — Wydam tylko ludziom odpowiednie rozkazy. Wrócę natychmiast i będę cały na rozkazy — najpiękniejszej z kobiet. Pani pozwoli?

Obrócił się elegancko na pięcie. Brzęknęła szabla i ostrogi, cieniutką strugą powiał od jego postaci znajomy zapach: chypre.

Wyszedł z pokoju, tak, jak wszedł: — wysoki, piękny, strojny, buńczuczny. Tak jakby na świecie nie było wielkiej wojny, jakby po wdeptanych w ziemię łańcach żytnich nie spłynęła obficie krew.

— — — — —
A tego samego wieczoru jeszcze raz Gyurka Francegh stuknął do pokoju baronówny. Nie mogła się spodziewać tak spóźnionej wizyty. W całym domu pogaszono już światła, ona sama przygotowywała się powoli do snu. Rozplotła swe piękne bujne warkocze i czesała je przed lustrem. Musiało w jej głosie zadźwięczeć przerażenie, bo piękny oficer powiedział uśmiechając się:

— To ja. Niech się pani nie lęka. Ja tylko na momencik. Sprowadza mnie pilna sprawa... Czy można wejść?

— Tak, tak, za chwilę... Proszę zaczekać, ja zaraz... — odparła zmieszana, coby prędzej zaplatając włosy.

Ręce jej drżały, gdy pośpiesznie wpinała szpilki. Serce jej trzepotało się od słodkich niespokojnych przeczuć. Wiedziała, że za chwilę stanie się coś ważnego, niecodziennego i że nie powinna pozwolić, aby Gyurka Francegh został w tym pokoju

bodaj pięć minut, a wiedziała też, iż mu pozwoli pozostać i całować swe ręce i że nawet sama położy mu głowę na ramieniu, jak kiedyś, jak kiedyś...

I drżącym głosem powiedziała:

— Proszę...

Gyurka Francegh stanął na progu. Bez szabli, ostróg i orderów był jakiś zwyczajniejszy, w swoim obcisłym mundurze z błękitnawego sukna. Był prawie dawnym Gyurką, przybyszem, którego tak bardzo pokochała, nie pytając, kto zacz i co tu robi.

Postąpił jeden krok naprzód i rzekł:

— Pani wybaczy, skłamałem. Nic mi tu nie sprowadza, tylko uczucie, że nie potrafię zasnąć, nie zobaczywszy pani chociaż przez chwilę, nie powiedziawszy pani: dobranoc. Pani wybaczy, prawda? Teraz jest wojna. My, żołnierze, nie zagrzewamy nigdzie miejsca. Dziś tu, jutro tam. *A la guerre, comme à la guerre...* Jutro może dostanę rozkaz wymarszu. Jutro o tej samej godzinie może będę bardzo daleko stąd. Kto wie? I pomyślałem sobie, że przecież to niepodobieństwo, abyśmy zmarnowali krótki moment szczęścia, dawanego nam przez dobre losy. Przecież to nie miałoby sensu... Dlatego odważyłem się przyjść aż tutaj, zastukać do drzwi pani, a może i do serca... Przecież to niemożliwe, aby nasza przeszłość

umarła, powiedz, Lizo? Przecież pamiętać musisz... pamiętasz... powiedz, że tak?

W tem cichem, pragnącem „powiedz“ brzmiał niemal rozkaz. Podniosła na niego oczy, pełne łez i rzekła:

— Tak pan wtedy nagle wyjechał. Bez pożegnania, bez słowa...

— Musiałem. A la guerre, comme à la guerre — powtórzył już po raz trzeci tego dnia i podniósł jej chłodne, białe ręce do ust.

— — — — —

Chodzili znowu razem po parku, po zarosłych, zagubionych w gęstwinie ścieżkach, po wybrzeżu cichego stawu. Często zapuszczali się bardzo daleko, między pagórkowate pola i szli tak długo, dopóki staczająca się po niebie kula ognista nie zawisła tuż nad fioletową linią horyzontu.

Jesień zbliżała się cichymi krokami, kładąc ukradkiem, nocą, rude plamki na krzewach w ogrodzie i na wyniosłych czubach klonów. Z zielonego, świat powoli staje się złoty, ze złoto- — rudo-czerwony, krajobraz poczyną płonąć, jak wielka pochodnia, aby wkrótce z popieliska obumarłej ziemi wyciągnąć zczerniałe ramiona konarów, огоłoconych z liści.

Ale tymczasem dni były przedziwnie ciepłe i słodko — niby miód, przeświecony słońcem, — rozpalały się barwy jesienne.

Każdego ranka, budząc się, baronówna mówiła sobie: Czy to możliwe? Czy to wszystko dzieje się w rzeczywistości? Czy naprawdę Gyurka Francegh był tutaj, w tym pokoju, całował moje ręce, moje oczy i usta... Czy naprawdę ujrzę go znowu za chwilę? Będzie siedział w jadalni, zajęty przeglądaniem swoich papierów ze sztabu i będzie machinalnie pochłaniał niewiarogodne ilości wędzonej szynki...

Po śniadaniu Grzebyczek przyprowadzał osiodłane konie. Grande-Grille kręciła się na miejscu niecierpliwie, a wielki deresz lejtnanta strzygł uszami i łagodne, mądre spojrzenie obracał w stronę drzwi wejściowych.

— Dziś pojedziemy na „Szklaną Górę“ — powiedziała baronówna, skoro tylko znaleźli się za bramą. — Cudowny stamtąd widok, zwłaszcza w tej porze roku, gdy lasy poczynają żółknąć. Nazywałam to miejsce „Szklaną Górą“, bo zbocza są bardzo strome a na szczycie znajduje się skała, przypominająca ruiny zamku.

— Wiem — odparł Gyurka Francegh — czy nie pamiętasz, żeśmy zwiedzali razem całą okolicę?

Gdy się znaleźli na miejscu i przywiązawszy konie do drzewa, weszli na szczyt owego wzgórza, Ludwika wskazała szpicrutą mającące w oddali lasy.

— W tamtej stronie, o ile dzień jest bardzo

pogodny, a powietrze zupełnie przejrzyste, można zobaczyć Święty Krzyż.

— Tak, w prostej linii od tej wielkiej gruszki — potwierdził oficer.

— Czy wiesz — ozwała się nagle — tędy przechodził front. A tutaj, o tutaj, gdzie stoją nasze konie, były okopy. Jeszcze je widać, chociaż zarosły trawą.

— Tak, trzecia linja okopów — uzupełnił jej objaśnienia.

Zamyśliła się. Po chwili rzekła, patrząc mu w oczy:

— Właściwie nigdy nie powiedziałeś mi... Do dziś dnia nie wiem, co tu robiłeś wtedy, pamiętasz, przed wojną? Poznaliśmy się przypadkiem, kiedy spytałeś o drogę do miasteczka. Przyszedłeś potem, przedstawiłeś się ojcu... to wszystko, cośmy wiedzieli o tobie...

Gyurka Francegh uśmiechnął się, oczy mu błysnęły dalekiem wspomnieniem.

— Teraz mogę zaspokoić twoją ciekawość. Tutaj, tu właśnie, był bardzo ważny punkt strategiczny. Chodziło o wyzyskanie terenu. To ja rysowałem plan „Szklanej Góry“, to ja wyznaczałem linje okopów. Byłem wówczas najmłodszym oficerem sztabowym, a jednak powierzono mi tę ważną misję. I — widzisz. Nie zrobiłem omyłki. Tutaj istotnie rozpoczęła się ofensywa naszej armji.

— ...Naszej armji... — powtórzyła cicho baronówna i przymknęła oczy. Pod powiekami jej zamajaczyły niezapomniane obrazy: przemarsze różnych wojsk, zwycięskich i zwyciężonych, ciężkie dymy armatnich pocisków i wykrzywione cierpieniem twarze rannych żołnierzy, których zwożono do pałacu, gdzie mieścił się prowizoryczny ambulans.

Spojrzała na swego towarzysza. Nosił przecie obcy mundur, jak wszyscy tamci, których nienawidziła z całej duszy, ponieważ zakłócili jej ciche życie, zburzyli spokój, wdarli się w głąb jej domu, — obcy najeźdźcy, różniący się od siebie tylko odmiennym strojem.

— Był wywiadowcą, był szpiegiem! — pomyślała z odrazą i serce jej skurczyło się boleśnie. — To on wyznaczył na mapach okopy, któremi sączyć się miała obficie ludzka krew...

Tak, dla niej Gyurka Francegh stał się niejako uosobieniem wojny, która unicestwiła na zawsze słodką beztroskę jej życia. A jednak kochała go. Kochała go przez szereg lat, do dzisiejszego dnia, a dziś kochała go bardziej, niż wczoraj...

— — — — —
I nie mogła przestać go kochać nawet wtedy, gdy usłyszała tę okropną rozmowę. Nawet wtedy. Nie miała zamiaru podsłuchiwać. Nie przyszłoby jej to do głowy. Zresztą, zbyt słabo знаła nie-

miecki język. A jednak z tych kilkunastu zdań, usłyszanych przypadkiem, zrozumiała wszystko do ostatniego słowa, pojęła prawdę błyskawicznie, jakby w nagłym olśnieniu.

Stała wówczas w szpalerze różanym, obcinając ostatnie, blade pączki jesienne. Zapadał mrok. Tamci dwaj przechodzili ścieżką opodal. Nie dostrzegli jej, rozmawiali głośno, swobodnie. Gyurka Francegh zatrzymał się, aby zapalić papierosa. W blasku płonącej zapalki zobaczyła wyraźnie nalaną twarz tamtego, Niemca, o rudawym zarostcie. Gyurka, jej Gyurka, powiedział, kończąc jakieś rozpozczęte zdanie:

— ...tak. I udało mi się dzięki tej pannie. Zadrzyła się we mnie, laźła na moje czule słówka, jak mucha na lep. Samemu byłoby mi o wiele trudniej. I niebezpieczniej. Gruchająca para nie wygląda tak podejrzanie, jak cudzoziemiec, włączający się po okolicy. Zwiedziliśmy razem sporo uroczych zakątków. Panna unosiła się nad pięknoscią pejzażu. O świcie wracałem tam sam jeden z aparatem fotograficznym i mapą...

Niemiec zaśmiał się grubo.

— So! So! — i poklepał Gyurkę po ramieniu. — Zawsze skorzystasz coś przy sposobności, ty sprytna bestjo węgierska! Ty się zawsze podwójnie obłowisz, masz do tego szczęście! Wtedy przy jednym ogniu upiekłeś dwie pieczenie, a dziś...

Tamten przerwał mu:

— Daj spokój! To dobra dziewczyna i w gruncie rzeczy — podoba mi się naprawdę. Gdyby nie była cudzoziemką... Jest w niej coś, co chwyta za serce i każe o niej myśleć z szacunkiem. Ona mnie rzeczywiście kocha...

— No no, nie zapominaj tylko, że ktoś z Pesztu bardzo mię wypytywał o ciebie. Ktoś nie mniej piękny i miły, jak twoja baronówna...

— Któż taki? — spytał Gyurka dość obojętnie.

— Nie wiesz? Udajesz chyba, zdrajco. Inka Petöfi kazała ci powiedzieć...

Kroki oddaliły się. Raz jeszcze zamigotał poprzez gęstwinę liści czerwony ognek papierosa. Reszta zdania rozplynęła się w ciszy.

Tak, to był cios. Baronówna długo stała wśród swoich kwiatów, nie mogąc poruszyć się z miejsca. Doznawała takiego uczucia, jakby jej serce zmieniło się w bryłę lodu, który aż parzył swem zimnem. Więc była dla tego pięknego chłopca tylko narzędziem pomocnym w jego „ważnej i niebezpiecznej misji“, a prócz tego miłą chwilową rozrywką. Ona! ona, która...

Jednakże zebrała wszystkie siły, aby się opanować. Ze zwykłym pogodnym uśmiechem zaszła do ojca, aby mu powiedzieć „dobranoc“. Potem kazała służbie zapalić światła w jadalni i zdjąć jedno nakrycie ze stołu. Ponieważ oficer nie zjawił się na kolację, poleciła zanieść zimne przekąski do jego pokoju i poszła na górę, trzymając

się poręczy schodów. Ze spokojem przekręciła klucz w zamku dwukrotnie, poczem w ubraniu położyła się na łóżku, usiłując czytać i rozumieć sens czytanych wyrazów.

Pomimo to łowiła uchem każdy najmniejszy szelest. O północy (zegar właśnie kończył uderzać godzinę) usłyszała znajome kroki w korytarzu i ciche stukanie do drzwi. Piękny oficer powrócił więc do domu.

Zacisnęła zęby aby nie jęknąć, a gdy po pewnym czasie zastukał powtórnie, czekała, drżąc i wstrzymując zbyt głośny oddech, kiedy wreszcie odejdzie i wróci do siebie. Lecz Gyurka nie odchodził. Po długiej chwili ozwał się wyrażniejszym szeptem:

— Lizo. To ja. Czy słyszysz? Otwórz mi, Lizo...

Milczała, rachując uderzenia własnego serca. „Nie, nie — poruszały się jej zaschłe wargi w bezgłośnym proteście. — To się nie stanie. On musi odejść. Musi.“

Jakoż — odszedł. Powolne, ociągające się kroki glucho dzwoniły w korytarzu. „Tak może odchodzić życie...“ — pomyślała, chowając głowę w poduszki, aby stłumić gwałtowne szlochanie.

Wrócił raz jeszcze tej samej nocy. Słyszała, jak się skradał, po omacku szukając drogi wzdłuż ściany. Znalazłszy wreszcie drzwi, przyłgnął do nich twarzą (czuła to) i rzekł półgłosem, tonem błagalnym:

— Lizo, czy śpisz? Otwórz mi chociaż na chwilę. Otrzymałem wieczorem rozkaz. Muszę wyruszyć przed świtem. Czy miałbym odjechać, nie zobaczywszy się z tobą?

Wyciągnęła ramiona w próżnię, ale milczała. Oddech jej zamarł, głos uwiązł w gardle. „To nieprawda — myślała. — On kłamie. On kłamie. Wtedy także mówił o wyjeździe“.

Nad ranem usnęła wreszcie, znużona łzami. Obudziło ją rżenie koni i stłumiony, oddalający się tętent. W mgnieniu oka oprzytomniała, podbiegła do okna, otworzyła je: przed domem nie było nikogo. Natomiast daleko w końcu ogromnej alei znikwały jedna za drugą błękitnawe postacie jeźdźców.

Wówczas dopiero baronówna uprzytomniła sobie, że Gyurka Francegh tym razem nie kłamał, że odjeżdżał naprawdę i pewnie już na zawsze.

— — — — —
„Nessun maggior dolore, che ricordarsi i tempi felici...“

Mogła teraz powtarzać słowa boskiego poety we wszystkie dni, których nastąpiło tak wiele, a choć mijały szybko, powiększały tylko bezkresną przepaść między słonecznym „wczoraj“ a beznadziejnym jutrem.

Zginęła ostrokańciasta, mroźna, stalowa zima,

roztopiwszy ostatnie śniegi w ciepłym spojrzeniu marcowego nieba.

Przeszedł kwiecień, zielony, jak liść sałaty, i maj, ledwo widoczny z pod kwecia. Pięciopalczaste łapy kasztanów ujęły krzepko tysiąc jarzących świeczników, a w krzewach bzu, jak każdej wiosny, płynęły słodkie strumienie miłosnej pieśni słowiczej.

Z nadejściem ciepłych dni baronówna rozpoczęła swoje konne spacerki, odtwarzając chwila po chwili minione godziny szczęścia.

Jeździła cienistym wąwozem, słuchając szumu wody po kamieniach i szelestu potrącanych gałązek. Grande-Grille stąpała uważnie, schyliwszy piękną głowę ku ziemi, jakby szukała dawnych śladów. Nie kierowana, odnajdywała zagubione wąskie ścieżynki, wiodące ku szmaragdowym polanom, pełnym słońca. Dotarłszy do nich, zatrzymywała się, zdziwiona, że nikt nie myśli o popasie wśród bujnej, soczystej zieleni.

Wówczas Ludwika zeskakiwała z siodła. Siadała na pierwszym napotkanym pniu i pozwalała ulubienicy szczypać trawę w pobliżu. Sama zaś oddawała się marzeniom.

Myślała: gdzie on jest w tej chwili? myślała: czy pamięta o mnie? myślała: tęskno mi... I przymykała oczy, a duże spokojne łzy spływały bez bólu z pod powiek.

Czasem też wyjmowała starannie złożoną kar-

teczkę i odczytywała ją po raz setny, zawsze z tem samem wzruszeniem:

„Moja droga Lizo. Odjeżdżam. Nie mogłem cię nawet zobaczyć. Zamknęłaś się, niedobra i nie chciałaś otworzyć. Czyżbyś nagle przestała mnie kochać? Odjeżdżam z prawdziwym żalem. Byłaś taka promienna i słodka, moja mała, kochana Lizo, w ciągu tych krótkich dni. Dziękuję ci za wszystkie jasne chwile, które przeżyłem dzięki tobie. Myśl o mnie z dobrocią. O to cię prosi Twój
Jerzy.

Kto wie, kiedy i gdzie znów się spotkamy“.

Baronówna składała starannie małą karteczkę i kładła ją na sercu, na tem niemądrem sercu, które nie umiało zapomnieć. Potem podchodziła do klaczy, pasącej się spokojnie i przytulała do jej szyi twarz rozpaloną, szepejąc:

— Grande-Grille! Tybyś może znalazła drogę. O, zawieź mnie, zawieź mnie tam, gdzie jest Gyurka. Nie umiem żyć bez niego!

— — — — —
Stary, od lat sparaliżowany baron umarł pewnego letniego popołudnia. Stało się to zupełnie nagle. Ludwika siedziała przy nim wtedy, mieszając łyżeczką herbatę, aby prędzej przestygła. Przez okno, otwarte na oścież, płynął gorący powiew o słodkiej woni lipowego kwiatu. Smukłe

lilje na wysokich lodygach obojętnie pozwalały pszczołom roznosić złoty pył z kielichów. W powietrzu, mimo nieustannego brzęczenia owadów, królowała senność.

Baronówna spojrzała na ojca. Zdawało jej się, że usnął. Przeniosła wzrok w kierunku drzwi, za którymi dało się słyszeć stapanie.

— Czy to Antoni? — spytała i ogarnął ją nagle dziwny, niewytłumaczony niepokój.

Baron otworzył oko, jedyne swoje żywe oko w obwisłej powiece. Twarz mu się raptownie skurczyła jeszcze bardziej, usiłował coś wybelkotać, ale z gardła wydobył się tylko chrapliwy dźwięk, niepodobny do mowy ludzkiej. Potem zlekka poruszył głową — opadła na lewe ramię.

W progu stanął służący.

— To ja, proszę jaśnie panienki. Właśnie...

— Tss... — położyła palec na ustach i wskazała fotel chorego.

Stary lokaj zbliżył się, spojrzał i znieruchomiał prawie tak samo, jak leżąca wśród stosu poduszek sztywna postać z głową przekrzywioną.

— Ojczel! — jęknęła baronówna, trzęsąc się jak liść. — Niechże Antoni biegnie... Trzeba zaraz doktora...

— Jezusie! — westchnął służący. — Mnie się widzi, proszę jaśnie panienki, że jaśnie pan — już — skończył...

Doktór, sprowadzony z miasteczka, stwierdził

skon i napisał odnośne zaświadczenie. Wszyscy w domu, nie wyłączając masztalerza i gospodyni potracili głowy, biegali z kąta w kąt, lamentując i naradzając się, co robić dalej. Rzecz dziwna: okazało się, że człowiek przykuty do fotela na kółkach, spowity w pledy, jak mumja i niezdolny rzucić jednego zrozumiałego słowa, faktycznie do chwili śmierci był tu panem i władcą. Dopóki w tej zniszczonej powłoce ziemskiej kołatały się resztki życia, — ostatnie jego refleksy — każdy zajęty był swojemi sprawami i zapominał o istnieniu starca. Teraz nagle wszyscy spostrzegli jego brak, uczyli się bezradni i opuszczeni.

Baronówna zamknęła się w swoim pokoju, płacząc i jękając słowa bez związku, że ona nigdy nie chciała śmierci ojca, że kochała go i pragnęła aby żył jak najdłużej. Antoni, który zaszedł dowiedzieć się, co teraz czynić wypada, otrzymał przez drzwi krótką odpawę:

— Zostawcie mię. Dajcie mi spokój. Nic nie wiem.

Po naradzie, odbytej w kredensie, postanowiono, że pan Grzebyczek roześle ludzi z żalobną wieścią, a gospodyni sama się uda do proboszcza omówić sprawę pogrzebu.

O dziewiątej Ludwika zesła na dół. Baron leżał w salonie na wielkiem łożu, okrytem wzorzystymi makatami. Umyty był, uczesany, dziwnie drobny w czarnym, zbyt obszernym surducie, po-

chodzącym z czasów, gdy potrzebował jeszcze kuracji djetetycznej. Po obu stronach improwizowanego katafalku palily się anemiczne, wojenne świece w lichym gatunku, pryskające i pachnące spalonym tłuszczem.

Żółte ich płomyki chwiały się, nadając martwemu obliczu wyraz żywy. Dwie kobiety, modlące się przy umarłym, powstały z klęzek i usunęły się w głąb, ustępując miejsca baronównie. Postąpiła kilka kroków, klękla i ogarnęła spojrzeniem znajome rysy twarzy ojcowskiej. Wypogodziły się, złagodniały dziwnie. Szpetne skrzywienie ust znikło zupełnie.

— To był mój ojciec — pomyślała prawie ze zdumieniem. — I umarł.

Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie po raz pierwszy, że zostanie zupełnie sama w wielkim, zbyt wielkim dla niej domu.

— — — — —
Ale została w nim nadal. Nie myślała, jak teraz ułoży się jej życie. Usiłowała zapelnąć pustkę płynących godzin jakąkolwiek pracą mechaniczną. Nazajutrz po pogrzebie ujęła w ręce ster rządów, poczęła wydawać rozkazy, interesować się drobnymi sprawami, które przedtem były dla niej zupełnie bez znaczenia.

Po odjeździe dalszych i bliższych krewnych odetchnęła nieomal z ulgą. Męczyli ją troskliwo-

ścią, współczuciem, okazywanem zbyt natrętnie, pytaniami, co dalej czynić zamierza. Na te ostatnie odpowiadała prawie opryskliwie:

— Co? Zajmę się interesami majątku i będę gospodarować, jak ojciec.

Krewni uśmiechali się, niektórzy pobłaźliwie, inni z nieukrywaną ironją. Wkrótce zrozumiała znaczenie tych uśmiechów.

Stało się to po jednej, drugiej i trzeciej rozmowie z administratorem. Chociaż mało obznajomiona ze sprawami finansowymi, baronówna zrozumiała, że stan interesów, nieświeży dawniej, teraz był poprostu opłakany. Uczuła się, wobec nawalu cyfr i długów, zobowiązań i strat wojennych, bezradna i bardzo nieszczęśliwa.

Niejednokrotnie przychodziło jej na myśl, że krewni mieli słuszość, radząc jej oddać zarząd majątku w czyjeś kompetentne ręce; niektórzy ofiarowywali jej swą pomoc. Jakies dalekie, zubożałe kuzynki, przeważnie osoby leciwe, oświadczyły gotowość zamieszkania z nią razem, inne, cokolwiek młodsze, radziły jej wyjechać, utopić smutek osamotnienia w jakimś większym mieście, pełnem ruchu i gwaru.

Odrzuciła wszystkie te propozycje. W głębi jej serca tliła się wąta iskierka nadziei, że Gyurka Francegh powróci. Dlatego postanowiła zostać i czekać cierpliwie, czekać go właśnie tutaj, bo tu jedynie mógł trafić na jej ślad.

✱ Tak przeszło lato i rozpoczęły się już posępne szarugi jesienne, gdy w okolicy zaczęły krążyć zrazu nieśmiałe, potem coraz pewniejsze wieści, że Niemcy ostatecznie przegrali wojnę, że w dezorganizowanej armji tworzą się jakieś „soldatenraty“, a żołnierze przypinając do czapek czerwone kokardy, odmawiają posłuszeństwa swoim dowódcom.

Któregoś dnia, gdy Ludwika zaszła, jak zwykle, do stajni, Grzebyczek odezwał się tajemniczo:

— Jaśnie panienka słyszała, co ludzie mówią? Naród wziął się za Niemców i pierze psubratów, a przeważnie w Warszawie dostali dobre lanie. Był taki jeden, co chodził po miasteczku i opowiadał wszystko, jak było. Podobno w Warszawie ogromna bitwa. Niemcy się zamknęły w ratuszu i palą swoje drukowane pieniądze, od czego idzie taki swąd, że połowa miasta, przeważnie...

Nagle urwał, skoczył ku drzwiom i przysłoniwszy dłonią oczy, jął się bystro wpatrywać w białą linję szosy, wiodącej do miasteczka.

— Co Grzebyczek tam widzi? — spytała baronówna, zdumiona zachowaniem się starego.

— Jak Boga jedyne go kocham! — wykrzyknął, zapominając ostatecznie o etykiecie — wszystko prawda, co Tomek opowiadał dziś rano, jak wrócił z pocztą z miasteczka! Nie zelgał szelma, bo chyba Niemcy naprawdę wieją! O, jeden furgon,

drugi... A ten samochód, widzi panienka? Nic innego, tylko wynosi się cała „Kriegskomanda!“

Przez cały dzień wrzało w okolicy, jak w ulu. Co chwila ktoś przynosił nowiny. Służba dworska, skupiona w pobliżu starej szopy, służącej za skład rupieci, debatowała: Spalą dom, czy nie spalą? Mordko, który miał ciągłą styczność z Niemcami, bo był ich generalnym dostawcą, opowiadał już dawniej, że gdyby wojsko otrzymało rozkaz opuszczenia miasteczka, to cała okolica pójdzie z dymem.

Zaczęto szeptać, że pałac jest podminowany, zarówno jak gorzelnia i reszta zabudowań. Ludzie patrzyli na siebie, niepewni, czy wierzyć tym wszystkim plotkom, czy też nie wierzyć. Jakiś młody parobczak zjawił się pod wieczór z karabinem i sporym zapasem ładunków, twierdząc, że to wszystko sam osobiście odebrał „szwabowi“ i jeszcze go dobrze poczęstował na pożegnanie.

— Może nie spalą, bo im widać pilno brać nogi za pas — orzekł Antoni po głębokim namyśle.

W miarę upływających godzin wszyscy powoli rozchodzili się uspokojeni, że automobil naładowany Niemcami nie myśli powracać, a wszystkie budynki stoją na miejscu, jak stały.

Jedna tylko baronówna Ludwika nie mogła usnąć. Leżąc w ciemnościach z otwartymi oczyma, wsłuchiwała się w ciszę, jak ongi, a gdy wiatr za oknem strącił ostatni listek, lub suchą

gałązkę, chciała zrywać się i biec do parku i wołać: Gdzie jesteś, drogi mój? Czemu ukrywasz się przedemną?

Nad ranem wiatr ucichł zupełnie. Świt skradł się powoli i niechętnie rozgarniał ciemności blademi rękoma, ukazując różowy pasek światła na wschodzie. Kontury nagich drzew poczęły się rysować coraz wyraźniej na spotniałych od zimna szybach.

Wtedy właśnie zaskrzypiał żwir na ścieżce. Ktoś rzucił kamykiem w okno. Zadźwięczało cichutko szkło, szyba zatrzęsa się od tłumionego chichotu. Kamyk odskoczył, jakby zdumiony własnym zuchwałstwem.

W kilka minut później baronówna już była na dole. Biegła, zaczepiając końcami czarnego szala o kolczaste gałązki róż. Biegła ku opuszczonej altance w pobliżu stawu. Wszak usłyszała sygnał — ich umówiony sygnał..

Nie pomyliła się. W altanie oplecionej winem stał Gyurka. Wyciągnęła ramiona, w nieprzytomnym z radości szlochaniu powtarzając najdroższe imię. Odsunął ją zlekka.

— Cicho, — rzekł — nikt nie powinien wiedzieć, że tu jestem.

W kilku krótkich zdaniach objaśnił, że jako oficer, jest zmuszony ukrywać się, zanim nie dotrze do miasta, które jeszcze do chwili obecnej pozostaje we władaniu jego dowództwa. Przekra-

dał się lasami, opuściwszy własnych żołnierzy, ponieważ zażądali, aby złożył szablę. Niestety koń mu w drodze tak silnie zakulał, że musiał zostawić go we wsi. O ile dziś jeszcze nie dotrze do R. — będzie zgubiony. Nie połączy się z towarzyszami, w pierwszym lepszym miasteczku zostanie schwytany, pierwszy lepszy burmistrz każe mu złożyć broń.

Potrząsnął głową, czarne oczy błysnęły zło- wrogo.

— A przecież jestem oficerem i nikt mnie nie rozwiąże z przysięgi, prócz tych, którym przysięgałem!

Baronówna słuchała w milczeniu. Serce jej znowu przytłoczył nieznosny ciężar. Nigdy nie czuła silniej, jak w tej chwili przepaści, która ich dzieli. „Moja ojczyzna zrzuca jarzmo niewoli — myślała — a człowiek, którego kocham, służy w armji najeźdźców“.

— Tak — ozwał się Jerzy Francegh, nawpół do siebie — za wszelką cenę muszę być jeszcze dzisiaj w R. To jedyny ratunek dla mnie. Przecież nie mogę dać się rozbroić lada chłystkowi... Muszę się dostać do R. Tam jest nasza komenda, wiem o tem z pewnością. Ale kto zaręczy, że jutro o tej porze....

— Gyurka, o, Gyurka — mówiły jej oczy, pełne rozpaczny niewysłowionej, że oto musi go utracić, już teraz nieodwołalnie, na zawsze.

— Czy możesz mi pomóc? — zapytał, a gdy milczała, powtórzył mniej pewnym głosem: — Czy nie chcesz mi pomóc, Lizo?

Drgnęła, usłyszawszy to imię, które tylekroć wymawiał z upojeniem.

— Tak, — odparła cicho — chcę ci pomóc, Gyurka.

— A więc... Czy istotnie mogę liczyć, że mi dasz konia? Dobrego konia, bo przecież stąd do R. mamy pięćdziesiąt wiorst. A jednak — to jedyny ratunek dla mnie.

— Tak, tak, jedyny ratunek... powtórzyła jego słowa zupełnie mechanicznie i zaraz dorzuciła ze smutnym uśmiechem:

— Dam ci dobrego konia, Gyurka. Nie obawiaj się zdążysz z pewnością do swoich...

Chwycił jej rękę i ucałował z uwielbieniem. Delikatnie wysunęła ją z tych uścisków:

— To ja już pójdę. Trzeba kazać osiodłać klacz... Powinieneś odjechać jak najprędzej, nieprawdaż?

— Nie tracąc chwili. I — słuchaj, Lizo, jeszcze jedno przychodzi mi na myśl: gdybyś tak powiedziała, że sama pojedziesz konno, jak zwykle... Mogłbym poczekać, powiedzmy niedaleko stąd w lesie, albo jeszcze lepiej tam, gdzieśmy kiedyś razem jeździli, pamiętasz? pod „Szklaną Górą“. Lepiej, by nikt nie wiedział, że byłem tutaj. To

nawet lepiej — dla ciebie. Wrócisz później do domu piechotą i opowiesz pierwszą lepszą historję...

— Tak... — rzekła, jak echo. — Wrócę i opowiem pierwszą lepszą historję...

— — — — —
Niewesoła to była przejażdżka, chociaż klacz wypoczęta rwała się do biegu, a słońce świeciło tego dnia dziwnie jasno, jak gdyby na świecie nie rozpanoszył się już listopad.

Ludwika umyślnie wybierała kręte ścieżyny leśne, tak niedawno jeszcze tonące w ciemnej zieleni, dziś widne wśród misternej gmatwaniny suchych gałązek, pozacierane tylko gdzieniegdzie rdzawym nalotem ostatnich, butwiejących liści.

Klacz parskała cichutko, wygiąwszy piękną szyję w łuk. Wówczas baronówna pochylała się w siodle, szepecząc głosem, drgającym od łez:

— Grande-Grille... Moja ty droga Grande-Grille...

Gyurka Francegh oczekiwał już w umówionem miejscu spotkania. Zeskoczyła na ziemię i podczas gdy przedłużał strzemiona na swoją miarę, stała tuż obok, gładząc ulubienicę po szyi, po krótko strzyżonej grzywie i po nozdrzach miękkich jak aksamit.

Oficer był bardzo wymowny. Teraz, gdy już uzyskał pewność wyjazdu, w gorących słowach dziękował za okazaną pomoc i wyrażał głęboki

żał, że okoliczności nie pozwalają mu pozostać dłużej:

— Wiesz chyba, droga Lizo, jak bardzo pragnąłbym spędzić z tobą choć kilka godzin, tak dla mnie słodkich...

Słuchała z roztargnieniem, nie rozumiejąc prawie słów, ani spojrzeń, przepojonych melancholją rozstania. Cała jej uwaga skupiona była na ślicznej głowie Grande-Grille. Klacz, jakby przeczuwając, że moment rozłąki już nadszedł, poczęła nagle okazywać niepokój. Raz po raz rżała cichutko i obracała ku swojej pani rozumne, piękne oczy.

W tej chwili baronówna pojęła, jak ciężko jej będzie wyrzec się tego zwierzęcia, jedyne żywego stworzenia, które darzyła przyjaźnią niemal ludzką.

I gdy oficer, już z konia, wyciągnął ku niej rękę, pomyślała z bólem, że oto ukochany człowiek, odjeżdżając na zawsze, pozbawia ją jedynej istoty, dla której miała w swem starganem sercu osobny kącik żywego uczucia miłości...

A później, brnąc naprzelaj przez pola zamarłe, cała skąpana w słońcu, które choć jasne i złote, nie miało już siły ogrzać jej rąk zziębniętych, obmyślała leniwie — i bez wiary w jego potrzebę, — to kłamstwo, aby mu nadać cechy prawdopodobieństwa. Ujrzała w wyobraźni zdumioną twarz starego masztalerza i jego surowy, pełen

wyrzutu wzrok, gdy się dowie, że Grande-Grille już nie wróci. Usłyszała nieomal własną odpowiedź krótką i suchą, prawie ostrą:

— Trudno. Tak się stało...

I nagle, siadłszy na pierwszym napotkanym kamieniu, zasłoniła twarz obu rękami, aby się móc w tej samotności, w tej pustce wypłakać dowoli, póki nikt tego nie widzi.

— — — — —
Jednakże było widocznie sądzone, że baronówna spotka raz jeszcze na swojej drodze Grande-Grille.

Zdarzyło się to po latach, w jakimś obcym mieście, w tłumie ludzi zupełnie obojętnych, na bardzo ruchliwej ulicy.

Gdyby stary masztalerz mógł zobaczyć w tej chwili „jaśnie panienkę“, którą swojego czasu oprowadzał po ogrodzie na wierzchovcu samego „jaśnie pana“ — nie uwierzyłby pewnie, że to ona, lecz pokiwałby głową, szepcząc:

— Dużo czasu minęło, a przeważnie od chwili, gdy panienka na ten świat przyszła...

Ale tu, w sercu wielkiego miasta, wszyscy byli zanadto sobie obcy, zanadto sobą zajęci, aby jednym bodaj ciekawszem spojrzeniem obdarzyć kobietę o twarzy niezbyt już młodej, jakby zgaszonej, ubraną niezbyt wyszukanie, przemyskającą się, jak cień, pod murami wysokich kamienic.

Baronówna szła wolnym krokiem, bo po co było się śpieszyć! Miała jeszcze zawsze aż zawiele czasu, z którym nie wiedziała, co robić, chociaż nie posiadała już pięknego pałacu, pięknych koni i służby w pięknej liberji. Dla niej jednej przysłowie „czas — to pieniądz“ zostało pustym dźwiękiem, bowiem nie nauczyła się oceniać wartości obu tych istot wszechmocnych.

Tak samo wolno, o kilka kroków zaledwie, posuwał się mały wózek z pieczywem, zaprzężony w chudą szkapę o bokach zapadłych i wystających kościach.

Na przecięciu dwóch ulic zatrzymano oboje: kobietę i wózek, aby przepuścić nawałnicę samochodów, groźnie porykujących w pędzie.

Wówczas baronówna Ludwika spojrzała przełotnie na szlachetny łeb zwierzęcia, opuszczony ku ziemi i nagle jakieś żywsze płomyki zatliły się w jej przygasłych oczach. Zanim zdołała sobie uświadomić śmieszność samego przypuszczenia, usta jej powiedziały mocno, wyraźnie, z najzupełniejszą pewnością:

— Grande-Grille!

Stara, zabiedzona klacz podniosła głowę i obróciła ją w stronę, skąd padły owe dwa wyrazy. Na przeciąg jednej sekundy spotkały się dwie pary zmęczonych oczu, zadziwionem, żalosem spojrzeniem mierząc przestrzeń i czas, który upłynął.

A w chwilę potem rozdzielił je tłum ludzki i już się nigdy nie dowiedziała baronówna Ludwika, czy to imię samo, czy może tylko dźwięk głosu obudził w znużonem zwierzęciu jakieś zamierchłe wspomnienia.

NIEBIESKIE OCZY EWUNI

W osiemdziesiątym piątym roku swego życia pan Tomasz Adrjan Dezydery Borzecki doznawał uczucia dziecięcej niemal radości, a to w chwili, gdy chodząca jeszcze w żałobie synowa zawiązywała Ewuni wstążki kapturka pod brodą, mówiąc jednocześnie:

— Ewunia pójdzie z dziadziem na przechadzkę, ale pamiętaj, bądź grzeczna i nie męcz dziadziunia, a przedewszystkiem nie odbiegaj daleko, bo dziadziuniowi trudno gonić za tobą po całym ogrodzie!

Pan Tomasz Adrjan Borzecki, który był poszedł po łaskę, stojącą w przedpokoju, prostował się na niej i mruczał: — No, no! — jakby chciał zaprzeczyć słowom synowej, pomawiającej go o niedołęstwo. Przestrogi matki były zresztą zbyt czyste, gdyż trudno, zaiste, o grzeczniejsze dziecko, jak pięcioletnia Ewunia.

Na moment wyruszenia we dwójkę z ukochaną, jedyną wnuczką, pan Tomasz czekał zwykle od rana, spoglądając naprzemian w niebo i na barometr, o ile najmniejsza choćby chmurka przemknęła po czystym błękitnie. Jeżeli pogoda była, jak to mówią, murowana, dziadek, w wyśmien-

tym humorze przekomarzał się z dzieckiem przy rannem śniadaniu.

— Zdarza się nieraz, — mówił, maczając w kawie chrupką bułeczkę, której, gwoli braku zębów trzonowych, inaczej podolać nie mógł, — zdarza się nawet dość często, że w taki słoneczny, gorący dzień, jak dzisiaj, nadchodzi znienacka maleńka, ot, tycia chmurka...

Ewunia podnosiła wówczas twarzyczkę z nad filizanki, (w której to filizance buzia jej zagłębiała się niemal, że całkowicie) — i... nadstawiała bystro uszek.

— Maleńka ta chmurka, — ciągnął dziadunio z niezmaconym spokojem, popiwszy łyk kawy, — fośnie gwałtownie i zmienia się w olbrzymią chmurę, z której...

Niebieskie oczy Ewuni stawały się niemal szafirowe, z powodu rozszerzonych zaciekawieniem i niepokojem źrenic.

— ...spada na ziemię obfity deszcz... Co to deszcz! Ulewa! — kończył pan Tomasz i dodawał filuternie, mrużąc jedno oko: — Mam nadzieję, że tym razem dobry Bozia nie ześle chmury i pozwoli nam użyć przechadzki, co, Ewuniu?

Źrenice Ewuni powracały wówczas do normalnej wielkości, a jej małe usteczka składały się w podkówkę:

— Dziadunio straszy! Dziadunio niedobry!

— Jeżeli taki niedobry, to może nie chcesz iść

ze mną, Ewuniu? — pytał nieubłagany dziadunio, lecz dwie różowe piastki, zakrywając mu usta, przerywały to zdanie w połowie.

— Nie, nie! Pójdziemy, dziadziusiu, pójdziemy i nie będzie wcale deszczu, aha!

— Niech ojciec tylko nie zamarudzi, jak zwykle i wróci z małą o drugiej! — wołała za nimi wdowa, pochylając się przez poręcz schodów.

— Dobrze, dobrze! — odpowiedział staruszek, stukocząc laską i trzymając silnie rękę dziewczynki, która skakała po stopniach, jak mały wróbelek.

Ewunia lubiła chodzić z dziadkiem po parku nie tylko dlatego, że tam były pierniki, które on kupował, ażeby mogła karmić białe i czarne labędzie, przepływające pod mostkiem, chociaż zapewne, szczególnie ten sporo uroku dodawał przechadzce. Ewunia naprawdę kochała dziadunia tak mocno, wiele miłości rozdzielić może małe, pięcioletnie serduszko pomiędzy dwie najbliższe istoty. Było ich trzy — do niedawna, ale czas jest pojęciem względnym, a w wieku dziecięcym, — czemś bardzo rozciągliwym. Kiedy zabito tatusia? Pół roku temu. Ale czy to było bardzo dawno, czy bardzo niedawno, czy dawniej naprzykład, niż jazda sankami za miasto w prześliczny, mroźny dzień, — z tego Ewunia nie umiała sobie zdać sprawy. Jak przez mgłę pamiętała również, że prowadząca ją piastunka, powtarzała raz po raz.

ukazując palcem duży, czarny wóz, naładowany kwiatami:

— Tam jest tatuś Ewuni... Tatuś...

Że tatuś nie żyje, o tem dowiedziała się Ewunia od swojej mamy, która płakała bardzo i cały dzień klęczała w pokoju, przy łóżku, gdzie położyli tatusia ludzie, co go przynieśli z ulicy. Niania nie pozwalała dziewczynce tam chodzić i powiedziała tylko, że tatusia zabili źli ludzie, tacy, co urządzają rewolucję i mają rewolwery. Ewunia bała się przez kilka dni, aby okropni ludzie nie przyszli i nie zabili również mamy, dziadunia i niani. Zostałaby wówczas sama, a to tak smutno siedzieć samej w pokoju, kiedy zdaleka dochodzą szepty i kroki i rozmowa wielu obcych osób. Tatuś umarł, wyjechał w wielkim pudle na cmentarz i więcej nigdy już nie wrócił do domu. Tylko Ewunia chodziła czasem z mamą na cmentarz, gdzie rosły wysokie drzewa, i spadały na ziemię śliczne, błyszczące kasztany. Tych kasztanów jednakże nie było wolno Ewuni zabierać do domu.

— Dlaczego mamę? — pytała, bo jej żal było zostawić tyle ślicznych, brunatnych kulek, które mi bawiła się zawsze wybornie. — Dlaczego nie można zabrać ich ze sobą?

— Bo to są tatusia kasztany, — rzekła mama. — Tatusia i wszystkich, co tutaj leżą umarli.

— Kiedy umarli, mamę, to pewnie nie będą się

niemi bawili, bo jak kto umarł, to leży spokojnie i nigdy nie biega... To po co im kasztany? — upierała się Ewunia przy swoim, ale mama szła szybko, milcząc i trzymała ją mocno za rączkę.

W domu często mówiono o tatusiu. Każdy ze znajomych, witając dziewczynkę, brał ją na kolana, głaskał po główce i pytał:

— Czy pamiętasz, Ewuniu, tatusia?

— Pamiętam tatusia, — mówiła, grzecznie potakując, ponieważ dobre dziecko nie zapomina nigdy o swoim tatusiu. Tak uczyła ją niania. Wówczas znajomi państwo całowali ją w oba policzki i mówili do matki:

— Co za niesłychane podobieństwo! Ona ma zupełnie oczy ojca!

— Ona ma oczy swojej babki, — odpowiadał zawsze pan Tomasz i na dowód wyciągał minjaturę, którą stale nosił przy sobie.

Ktokolwiek widział tę minjaturę, wydawał okrzyk zdumienia, nie tylko nad urodą, ale nad niesłychanym podobieństwem wnuczki do babki. Poprostu identyczne rysy, koloryt cery, włosów, oczu.

— Widzicie państwo sami. Podobieństwo jest tak uderzające, żeśmy Ewuni nadali imię, które nosiła nieboszczka żona moja. Ewunia, to mój skarb najdroższy, nie tylko, dlatego, że jest jedyną wnuczką, ale, że mi tak przypomina...

Tu pan Tomasz Adrjan Borzecki wzdychał głęboko, zamykając starannie medaljon.

— Zastanawiająca rzecz, podobieństwo rodzinne! — odezwał się ktoś. — Często się zdarza, że przeskakując jedno pokolenie, rysy dziadowskie odżywają we wnuku. Tak samo bywa z charakterem, z usposobieniem...

— Prawda, — rzekł pan Tomasz, jakby zbudzony ze snu. — Prawda, Ewunia to już trzecie pokolenie... To panna dwudziestego wieku, choć urodziła się na jego pograniczu, a ze mnie jeszcze człowiek Napoleońskich czasów!

Podkreślał to nieraz staruszek, przypominając ludziom, że ujrzał świat w roku 1821, w roku śmierci Wielkiego Cesarza.

— Duży już szmat życia poza mną... Wiele przeszedłem, wiele widziałem! Dwa powstania upadły... W listopadowym straciłem ojca... W sześćdziesiątym trzecim, dwóch braci zesłali na Sybir... Tylkom nie myślał, że jedynaka syna przeżyję, że mi go ludzie przypadkiem na ulicy zabiją w tej waszej pseudo-rewolucji! Gdybyż to jeszcze za taką sprawę, jak tamta... Ale tak, ot, kulką zbłąkaną... Dlatego, że się zachciało bojówkom urządzić różne tam zamachy...

Potrząsał głową z bolesną zgrozą, a pani Helena, płacząc, wychodziła z pokoju.

Niebieskie oczy Ewuni były nietylko przedmiotem zachwyty rodziny i bliskich znajomych. Zda-

rzało się nieraz, że obcy ludzie na ulicy zatrzymywali się, mówiąc:

— Co za prześliczne oczy ma ta dziewczynka!

Pan Tomasz Adrjan Dezydery przystawał wówczas i potwierdzał z dumą:

— Nieprawdaż, pani? To dziecko ma niezwykle piękne oczy, a co dziwniejsze, były już niegdyś takie na świecie... Tylko zgasły przedwcześnie...

I czy kto słuchał, czy nie słuchał, kończył z westchnieniem:

— Babka tej dziewczynki zmarła młodziutko, okrywając mię żalobą na resztę życia...

Zwykli spacerowicze w parku przyzwyczaili się już do tego, że wysoki, siwy pan, opierający się na lasce, nie mógł zagadać o wnucze, aby nie wspomnieć babki.

Dwie siostry, siwiuteńkie staruszki, które siadywały na tej samej ławce w godzinach popołudniowych, mówiły jedna przez drugą, patrząc na rozbawioną Ewunię:

— Szczęśliwa matka takiego dzieciątka! Bo to nietylko piękność, ale i dobroć anielska wyziera z tych ocząt niebieskich...

Dziadunio uśmiechał się:

— Złote dziewczątko! Akurat, jak żona moja, nieboszczka. Czterdzieści lat minęło, jakem ją poślubił... Anielski to był charakter, anielska dobroć... To też Bóg ją powołał do siebie.... Umarła, zostawiając mi syna.

— Ach, — kiwały głowami obie staruszki, — Bóg nas doświadcza, ale nie pozostawia bez pociechy!

— Syn mój nie żyje również. Zabito go na ulicy, niedawno. Ale to nazbyt świeża rana...

Oczy zaszyły mu łzami, wskazał na wnuczkę:

— Ta malutka, to całe moje szczęście na ziemi. A jaka podobna do babki! Jaka podobna! Proszę tylko zobaczyć: — (tu wydobywał już medaljon). Te same rysy, te same oczy niebieskie!

— Żywa babunia! — zachwycaly się staruszki.

— Ewuniu, — zawołał pan Tomasz. — Chodźno tutaj!

A gdy dziewczynka nadbiegła, dodał, podsuwając jej miniaturową prawie pod sam nosek:

— Kto to jest, dziecko?

— Babunia — odparła, oglądając się z niepokojem na babki z piasku, pozostawione bez opieki.

— No, idź się bawić, dziecino. Ona ma nawet to samo imię, — kończył zwracając się do staruszek. — Daliśmy jej na pamiątkę tej, której jest żywym obrazem....

I, jakby wezbrana fala wspomnień zerwała tamę słów, zwierzał się dalej, otwierał zakamarki serca:

— Istnym aniołem dobroci i troskliwości była ta moja biedna Ewunia... Pomimo wielkiej różnicy wieku, (ona była dzieckiem prawie, ja przeszedłem czterdziestkę), przywykłem ją uważać za opiekunkę i matkę najczulszą. Niestety, nie do-

żyła nawet tej pociechy, by się wraz ze mną radować pierwszym dzieciątkiem. Skonała, nie zobaczywszy go nawet... Do mnie był z twarzy podobny, ale miał oczy niebieskie, jak ona.

Na takich gawędach schodziło rychło przedpołudnie i pan Tomasz nierzadko słuchał później wymówek:

— Nie puszczę jutro Ewuni na przechadzkę z ojcem! — mówiła wdowa, grożąc palcem staruszkowi. — Znów zupa ostygła!

— Gdybyś wiedziała, co za miłe poznałem osoby! Mówiliśmy cały czas o Ewuni! — opowiadał synowej, gdy tylko mała wyszła z pokoju. W pani Helenie topniało matczyne serce i nie mogła się już więcej gniewać.

Do osiemdziesiątej piątej wiosny pan Tomasz trzymał się krzepko nad podziw, ale później zaczął potrochu niedomagać. Nic mu właściwie nie było, chodził jak zawsze, z Ewunią na spacer i prześiadywał na ulubionej ławeczce, ale nocami mniej sypiał i to go męczyło. Budził się za łada szelestem.

— Stary jestem, mniej snu mi trzeba! — myślał, ale go to irytowało, zwłaszcza, że raz zbudzony, nieprędko zasypiał na nowo.

Otóż zdarzyło się pewnego razu, że pan Tomasz wytrącony z łagodnej drzemki przedwstępnej,

usłyszał niezwykle szelest. Było to, jakby chrobotanie cichutkie w kącie pokoju.

— Czyżby mysz? — zadziwił się staruszek i usiadł na łóżku. Chrobotanie powtórzyło się.

— Niezawodnie mysz! — Zapalił świecę, wsunął pantofle i poszedł zbadać przyczynę dziwnego szmeru.

W rogu stał sekretarczyk z czeczotkowego drzewa, jeszcze nieboszczki Ewy Borzeckiej paniński sprzęt. Staruszek obejrzał go dokładnie, spróbował nawet poruszyć, ale myszy nie było. Wrócił więc do łóżka i właśnie miał gasić świecę, gdy chrobot powtórzył się znowu.

— Może zakradła się do środka? — przemknęło mu się przez głowę. Poszedł ze świecą i począł przetrząsać szuflady. Było ich trzy na dole, a ponad odmykanym blatem kilkanaście małych, misternych półeczek i skrytek. Woń lewendy rozszedła się po pokoju, ale myszy nie było nigdzie widać.

— A przecież musi tu gdzieś siedzieć, — szepnął pan Tomasz i począł ostrożnie wysuwać szufladki. Wysunął jedną — sięgała płytko. Musiało coś się znajdować głębiej, za cienką ścianką. Obmacał wokoło palcami, natrafił na jakiś guziczek, — nacisnął: ścianka odsunęła się, a w szczelinie zamajaczyło coś białego. Pan Tomasz wsunął rękę głębiej i wydobył bielejący przedmiot. Był to niewielki pakiecik, obwiązany splowiałą wstą-

zeczką. Rozwiązał ją, rozwinął papier... Wewnątrz znajdował się cieniutki zeszyt w zniszczonej okładce. Pan Tomasz posunął krzesło do stolika, gdzie stała świeca i otworzył zeszycik. Zapisany był drobnem znajomem pismem.

— Ewunia... — szepnął staruszek i tak silnie ogarnęło go wzruszenie, że oparł się o stół rękami i chwilę siedział bez ruchu. Opanowawszy pierwsze wrażenie, wziął znów zeszycik w drżące dłonie i począł przerzucać kartki: zapisany był tylko w połowie, ale tam, gdzie zaczynały się czyste stronicy, wsunięto kopertę, adresowaną odmiennym pismem. Pan Tomasz zawahał się, zanim otworzył kopertę. Nosila panińskie nazwisko jego żony.

— Ona tam, z nieba, wybaczy mi! — pomyślał i wydobył zawartość. Były to dwa listy, zniszczone mocno w załamaniu, noszące ślady lez... Pierwszy miał w rogu datę nieco zatartą. „Roku Pańskiego 1863“ przeczytał pan Tomasz z trudem:

„Droga sercu memu i jedyna panko Ewuniu“!

— To do niej pisane, — szepnął znowu i czytał dalej:

„Wiadomem jest pani zapewne, że od rozpoczęcia Sprawy serce Jey Rodziców odsunęło się znacznie ode mnie. Nie jam temu winien, tylko różnica poglądów, jakie dzielą nas młodych od starszego pokolenia. Pani wie najlepiej, droga Panno Ewuniu, czem dla mnie w życiu stała się

Jey osoba i że bez Niey życie wydałoby mi się czarnem, czarniejszem od grobu. Wszelako nawet względ narażenia sobie Jey Ukochanych Rodziców nie mógł mię powstrzymać od wypowiedzenia Im, że jakkolwiek znaną mi jest wola Ich w tej sprawie, ja od zamierzeń moich odstąpić nie mogę, chociażby i wszystko nadaremne się okazało i na przepadłe poszło, co się Ich zdaniem stać musi. Oznajmiłem również, iż w niedalekiej przyszłości z partją M.....a, która się właśnie formuje, wyruszam. Na tę otwartość moję Ojciec Twój, Panno Ewuniu, wybuchnął gniewem i narzekaniem, poczem rzekł w podnieceniu, iż nie odda nigdy ręki swej córki człowiekowi, którego lekomyślne czyny żadney mu rękojmi co do przyszłego Jey szczęścia nie dają. Do tych słów Ojca Dobrodzieja przyłączając się, matka Pani prosiła mię ze łzami, abym raczy myśli szalonych zaniechał, niż szczęście swoje i Jey dziecka podeptał. Jak mi ciężko było przy swoim zdaniu i zamiarach pozostać, to chyba Pani wiadomem być musi. Jey oczy niebieskie czytają we mnie, jak w księdze otwartej i wiedzą, że wszystko dla Niey bym przeniósł. Jednego wszakże nie uczynię, a to nie odstąpię od postanowienia mego. Wiedząc poglądy Twoie, Panno Ewuniu, w tych sprawach i mając słowo Twe święte z głębi serca, zda mi się, wyrzeczone, nie tracę jednak nadziei, że kiedyś los wszystko odmieni i jeśli szczęśliwie ze

służby Ojczyźnie czynionej, powrócę, odzyskam Rodziców przychyłność, a i serce Twoie, Panno Ewuniu najmiłsza, znajdę nieodmienione. Pozwalam sobie ten list pożegnalny w tajemnicy do Rąk Twych przesłać, wiedząc, że mi tego nie poczytasz za złe. Już się inaczej pożegnać z sobą nie możemy, po ojca twego cierpkiej dla mnie odprawie. Wierząc w serce Pani niezmienione dla mnie okolicznościami, Rękę Jey ze czią do ust podnoszę, pamiętając, że rękę tę przyobiecały mi własne Jey usta. Jey szczerze, do śmierci oddany

Henryk.

Podpis był bardzo mało czytelny, jakby go do ust przyciskano wielokrotnie, póki nie zatarł się atrament. Pan Tomasz odcyfrował go z trudnością i długo, długo szukał takiego imienia w pamięci. Nie znalazłszy, z westchnieniem, zabrał się do drugiego listu.

15 września, 1864 Roku.

widniała wyraźniejsza data.

Pan Tomasz zadrzał, była to bowiem data o tydzień zaledwie wcześniejsza od ślubu jego z Ewunią.

„To com zasłyszał, w głowie mi się pomieścić nie może! Jestże więc prawdą, że Pani za mąż wychodzi i to tak wkrótce, a mnie nawet słowem wytłómaczenia nie pożegnała? Z ust obcych ludzi odebrałem tę ciężką dla mnie nowinę, i pra-

wie nie śmiałbym wierzyć, gdyby nie druga zapowiedź, którą sam usłyszałem zeszłej niedzieli. A jeśli to prawda, cóż mam myśleć o Pani sercu i o zapewnieniach gorących, które mi w uszach brzmiały jeszcze, takie z nich było uczucie głębokie i szczere. Z pamięcią tych słów najmiłszych odśledłem, ufny, że dźwięk ich nie był pusty. Niestety! Jest-że więc mocen czas wszelkie uczucia odmienić? Starł więc bez śladu to, co w oczach niebieskich czytałem wyraźnie? Co do mnie, to niezachwiana do ostatka miłość ma, dodała mi siły w przetrwaniu bardzo ciężkich chwil. Smutną, zaiste otrzymałem nagrodę za ufność, z jaką czekałem na dzień dzisiejszy. Tem smutniejszą, że jednym bodaj słowem nie wytłómaczoną. Nie byliśmy, prawda, wobec ludzi przysięgą związani, ale przed Bogiem Panno Ewuniu, było inaczej. Nic mi nie pozostaje innego, jak szczęścia życzyć w nowych zamierzeniach. Tylko mi ciężko na myśl, że oczy błękitne, jak niebo, nieszczerą widać jaśniały pogodą. Mogłoby inaczej stać się to, co się stało? Żegnam Panią, raz jeszcze szczęścia i pomyślności życząc i oznajmując, że urazy do Niej nie chowam, tylko smutek, iżem oczom i ustom zawierzył, które z dziecięcą lekkomyślnością zbyły się uczuć, tak dla mnie głębokich i świętych. Sługa oddany

H.“

Pan Tomasz otworzył zeszytek na pierwszej stronie. „W imię Boże“ kaligraficznem pismem stało w nagłówku, a niżej data: Zaczęte w marcu, 1863 roku.

„Już miesiąc, — pisała Ewunia, — jak żadnej wiadomości nie mam, co się z Nim dzieje. Nawet się troską swoją z nikim podzielić nie mogę, wszystko w sercu głęboko muszę ukrywać... Ojczuś na H. bardzo nasrożony, nawet imienia wspominać zakazał. Mama zapomnieć radzi. Żeby choć list, wiadomość jaka, — byłabym spokojniejsza. Straszna to wojna... Biją się po lasach... Tylu ginie... Co raz, to ktoś żałobę nakłada... Boże mój! Co też mi za myśli przychodzą! Nie, nie! Ja wierzę, ja całym sercem ufam, że Go Matka Boża od złego uchroni, że On powróci...

Wszystko po dawnemu u nas. Na fortepianie dużo gram. Nawet mama mówi, że wielkie poczyniłam postępy. Gdyby wiedziała, o czym ja myślę, kiedy melodję jaką wybieram, a jeszcze smętną...

Ten zeszytek muszę chować głęboko, a piszę go tylko ukradkiem, najczęściej w nocy, jeżeli świeca w pokoju zostanie. Dlatego tak rzadko piszę, bo mama, jak mi „dobranoc“ oddaje, zazwyczaj

świecę ze sobą zabiera. Gdybyż kto wiedział, że ja o Nim tak bezustanku myślę i tyle się trapię...

Ciągle żadnej wiadomości. Gdyby choć słowo jedno, byłabym spokojniejsza. Muszę jeszcze wesołość udawać, bo mama mówi, że młodej panience z grymasem smutku bardzo nieładnie... Kiedy się czasem zamyślę, a jeszcze przy ludziach, zaraz pytają czym nie chora. Wczoraj przyjechał Kazio S. Opowiadał, że z naszą sprawą źle słychać. „Nie mogło inaczej być, — zawołał Ojczuś — przecież to czyste szaleństwo! Ale młodzi chcą mieć swój własny rozum we wszystkim“. Mnie się zdaje, że chyba nie jest szaleństwem za Świętą Sprawę walczyć. Może się Bóg nad nami wszystkimi wkońcu zmiłuje, o to się modłę najbardziej, a także o to, żeby H. powrócił zdrowy. Ten Jego list, to sobie ciągle odczytuję i łzami oblewam. Mama zawsze powtarza, bym wystrzegala się kataru i płaczu, bo katar nos deformuje, a od łez oczy blakną... Przecież mię H... za to mniej kochać nie będzie, jak się dowie, żem z niepokoju o niego płakała...

Dziś Ojczuś odezwał się przy stole, że oddział M.....a, w którym był Henryk, rozbity prawie do szczętnie...

Cud Boski, że nie zemdlalam, ani nie upuściłam łyżki, którą właśnie podniosłam do ust. Ale mi zęby o łyżkę dzwoniły, bo ojczuś, jakby umyślnie dwa razy powtórzył, że prawie wszyscy zginęli, albo w niewolę zabrani, a wtedy mama ukradkiem na mnie spojrzala. Co ja teraz cierpię, to już nawet opowiedzieć nie umiem! Na Matkę Boską Zielną wielki u nas odpust. Ofiarowałam się 9 razy nowennę do Przemienienia Pańskiego odmówić, na intencję H., żeby to nie była prawda...

Już prawie trzy kwartały, jak pojechał, a nie nie słychać o Nim. O wszystkich coś wiadomo. Trzech kolegów Kazia S. wyjechało zagranicę. Kazio sam się ukrywa, ale o niego niema strachu, wuj ma duże stosunki i jak posmaruje pieniądze, gdzie trzeba, to Kaziowi nic nie będzie. Ach, Boże, Boże mój! Dlaczego mnie tak karzesz! Czasem sobie myślę, że wołałabym wiedzieć na pewno... Nie, nie! Ja nawet wspomnieć nie chcę... Ale wiem, że się ludzę, wiem, że napróżno czekam, bo H... z pewnością nie żyje... Już nawet nie skończę tego słowa. Nigdybym nie przypuściła dawniej, że mi tak za kim będzie tęskno, jak za Nim. Prawdziwie, to dopiero teraz rozumiem, co znaczy tęsknota. Przy pożegnaniu płakałam długo, ale i nazajutrz i potem byłam wesola, prawie

tak, jak dawniej. Dopiero teraz: co jeden dzień minie, to mi na sercu ciężej i ciężej. Już tak długo nie potrafię, musi się coś odmienić.

— — — — —

Nie wytrzymałam i rozmawiałam wczoraj z mamą o H... Zdziwiła się i zmartwiła bardzo, że ja jeszcze o nim myślę, skoro Ojciec zabronił. „Chciałabym nie myśleć, proszę Mamy, ale nie mogę, naprawdę nie mogę!” „To myśli modlitwą odpędzaj. Módl się, abyś Ojcu posłuszeństwa dochować umiała. Wiesz przecie, że on tego związku nie pobłogosławi, a zresztą — H... z pewnością nie żyje, — odparła Mama po chwili; — boleśnie mi słyszeć, że się tak trapisz, ale jeszcze boleśniej, żeś w sercu głęboko skrywała wszystko dotychczas, że nie przyszłaś do mnie, do Matki, prosić o pomoc i radę...”

Pocałowałam Mamę w rękę, ale widzę, że ma do mnie żal. Dziś po obiedzie długo z Ojczusiem w osobnym pokoju się naradzali, a teraz Mama przebąkuje coś o wyjeździe do ciotki, na całe lato. Widocznie mama chce na mój smutek znaleźć lekarstwo w rozrywkach...

— — — — —

Dziś rok jak pojechał. Byłam na Mszy św. rano z panną Elizebetą, choć to nie niedziela. Musiałam prosić o pozwolenie, bo kościół od nas daleko,

mama zawsze zajęta, a pannę Elizebetę, pod wiosnę, *reumatyz* męczy, zwłaszcza w takie wilgotne dni, jak dzisiejszy. Przez całe nabożeństwo modliłam się za H... jak chyba jeszcze nigdy... Już prawie zapomniałam jak On wygląda... Wczoraj długo myślałam o Nim przy pacierzu i wydało mi się, że Go widzę, jak leży na ziemi, martwy... Ale twarzy nie mogłam rozeznaczyć... Po nabożeństwie zmówiłam Wieczny Odpoczynek, chociaż się jeszcze łudzę, że On żyje...

— — — — —

Z pewnością nie żyje. O wszystkich są wiadomości, tylko o H... nic... O mój Boże, mój Boże, jak mię serce boli na samo wspomnienie, że go nigdy nie zobaczę! Przypominam sobie Jego słowa, mówione do mnie jeszcze wtedy, gdy Ojczuś laskawszem okiem na H... patrzył...

„Ja za panią, panno Ewuniu, w ogień bym wskoczył, a tych oczu niebieskich, choćby i na tamtym świecie, nie zapomnę... Po nich bym Cię na kraju świata poznał, po tych oczkach błękitnych...”

Tak mówił. Gdybyż to była prawda! Gdybym chociaż na tamtym świecie z Nim się spotkała!

— — — — —

Jutro moje urodziny. Kończę 18 lat i mama mówiła, że trzeba mię trochę w świat wprowadzić,

bo na starą pannę wyrosnę... Ja tam bardzo do świata nie tęsknię, ale ciekawam, jak mi się też wyda życie wśród ludzi?

Jesteśmy już u cioci N. Bardzo tu ładnie i wcale nie żałuję miasta. Ciocia pokazała mi ogród i swoje gospodarstwo, a wujaszek codziennie obwozi po polach bryczuszką. Żyto już żółknie, wkrótce zaczną się żniwa. Chodzę po ogrodzie i wygrzewam się na słońcu, choć mama narzeka, bo się opaliłam jak cygan, a to wcale nie przystoi młodej panience. Ale co tam...

Dziś znowu byli goście. Tutaj, do wujostwa, ciągle ktoś z sąsiedztwa przyjeżdża. Nieraz siedzimy do późnego wieczora na ganku, gramy w różne gry i rozmawiamy. Tańczyć nie wolno, bo żaloba. Ach, i ja noszę w sercu żalobę... Nawet nikt nie wie, jak ciężką... Wczoraj, gdym spostrzegła, że już półtora roku minęło, aż się zdumiałam! Nie myślałam, że tak długo w tęsknocie i smutku żyć można...

Więc ten B. to konkurent? Wczoraj, jak mnie mama na rozmowę wezwała, ani mi przez myśl przeszło! Mama spytała, jak mi się podoba? Po-

wiedziałam, że owszem miły człowiek. „Bądź dla niego uprzejmą, Ewuniu. To twój konkurent, a Ojczuś by sobie tego małżeństwa ogromnie życzył,” — oznajmiła wówczas Mama. W pierwszej chwili wierzyć nie chciałam. Jakto? Nie mówiąc już, że on mi się wcale tak bardzo nie podoba, musi być starszy ode mnie co najmniej o jakie lat 20... Myśleć bym nie mogła o małżeństwie wogóle, a tu jeszcze z panem B...

Jeszcze się uspokoić nie mogę, a oczy mam tak opuchnięte od płaczu, że ledwie papier widzę przed sobą. Trzy dni temu przyjechał Ojczuś, a wczoraj, po odjeździe pana B., długo coś z Mamą radzili. Sama nie wiem, czemu, ale byłam niespokojna... Widocznie przecucie mię tknęło... Aż dziś, po obiedzie, mama wołała mnie, do siebie. Gdy weszłam do jej pokoju, Ojczuś wstał z krzesła i wyciągnął do mnie obie ręce.

„No, moja panno córko, życzę ci szczęścia i błogosławieństwa. Oświadczył się o twoją rękę B., a ja lepszego męża doprawdy wymarzyć dla ciebie nie mogłem!”

Wpadłam w takie osłupienie, że dopiero po chwili zaczęłam coś bąkać pod nosem. Ojczuś zapytał, co ja tam mruczę do siebie. Wtedy powiedziałam otwarcie: „Ja pana T. B. nie znam i nie kocham i wcale za niego iść nie chcę“... Oj-

czuś się na mnie rozgniewał i zaczął wołać w uniesieniu:

„Pięknej się doczekałem pociechy! Oto jest młode pokolenie! Własna córka sprzeciwiać się poważy! Ładnych dożyliśmy czasów!“ i t. p. Potem, uspokoiwszy się nieco, spytał, co mam przeciwko temu panu, którego Rodzice uznali za najgodniejszego mej ręki kawalera, bo jego charakter i stateczność są rękojmią szczęścia mojego. Odpowiedziałam znowu, że go nie znam, że go nie kocham, że... jest stary i błagałam Rodziców z płaczem, by mię raczej do klasztoru posłali, niż do tego małżeństwa zmusili.

— „Zmuszać cię nie będziemy, — odparł Ojczuś — bo teraz inne czasy i dzieci przywykły robić, co im się podoba, wcale się na wolę Rodziców nie oglądając, ale pamiętaj, że nieposłuszeństwem i uporem swoim wielce nas zasmucasz, a to grzech“.

Ojczuś wyszedł, bardzo zagniewany, bo aż drzwiami trzasnął, a mama jeszcze długą miała do mnie przemowę, którą chyba później opiszę, bo mi już teraz sił nie staje i nowe łzy rzuciły się do oczu, na samo przypomnienie.

— — — — —
Tak tedy uległam woli Rodziców. Z początku myśleć o tem nawet nie chciałam. Pan B. wcale, ale to nic a nic mi się nie podoba, a przytem star-

szy ode mnie nie o 20, tylko o 25 lat... Prawdziwie, nie wiele młodszy od Ojczusia, chociaż na swoje lata nie wygląda.

Sama nie wiem, jak do tego doszłam, że własnymi ustami wypowiedziałam moją zgodę, gdy pan Tomasz B. na trzeci dzień po odpowiedź przyjechał... Mama tłumaczyła mi, że małżeństwo to będzie dla mnie prawdziwem szczęściem i prawie prosiła, abym nie opierała się temu, co Rodzice za dobre i potrzebne uważają. Najwięcej przecież dokazała ciocia N., która, wzięwszy mię do ogrodu, serdecznymi i tkliwymi słowami sprawiła, iż, słakawszy się, przyrzekłam dać panu B. przychylną odpowiedź. Ciocia N. jest dobra, jak anioł. Jakże łagodnie przekładała mi, że B. jest ze wszechmiar zacnym człowiekiem! Jak serdecznie oznajmiła mi, że mię do głębi rozumie, iż nie mogę pokochać kogoś, poznanego zaledwie tak niedawno... Wówczas wzruszenie ogarnęło mię i zwierzyłam jej się ze wszystkim. Pocziwa, zacna ciotka, zamiast gniewać się czy zasmucić, uściskała mię bardzo czule, mówiąc, że zanedto jestem młodziutka, bym mogła ocenić własne serce. „Teraz — mówiła, — wydaje ci się, że po śmierci H... nikogo kochać nie możesz, ale wierz mi, że to złudzenie. Owszem, możesz w przyszłości nie tylko pokochać B., ale nawet dać mu ogrom-

nie wiele szczęścia, co mu się słusznie należy, za miłość, jaką czuje dla ciebie!”

Mówiła mi jeszcze długo o panu B., którego znała oddawna. Opowiedziała mi jego życie, pełne czynów szlachetnych, a zupełnie pozbawione osłody osobistego szczęścia. Mógł znaleźć tysiące panien, z których każda, na skinienie palcem, poszłaby za niego, ale on szukał swojego ideału, który miał w sercu głęboko wyryty. Kiedy mnie poznał, pokochał mnie odrazu. Nie powinnam sprawiać mu tak ciężkiego zawodu, skoro jestem wolna i mogę rozporządzić swoją ręką. Dowiedziałam się wreszcie z ust cioci, że miłość nie jest koniecznym warunkiem do szczęścia. W małżeństwie, zwłaszcza u kobiet, przychodzi ona nieraz dopiero po ślubie i umacnia się, rośnie z biegiem płynących lat.

Wzruszona głęboko, przyrzekłam wreszcie Cioci N., że więcej oporu stawiać nie będę i nawet postaram się twarz okazywać wesołą, zwłaszcza panu B., którego marzeniem jest widzieć mnie szczęśliwą.

Jutro wyjeżdżamy stąd, bo Ojczuś skłania się do prośby pana B. i pragnie ślub przyspieszyć. Będzie sporo roboty z dokończeniem wyprawy, którą potrosze przyspasabiła moja dobra mama.

Pan B. wkrótce po nas przyjedzie, na oficjalne zaręczyny, które odbędą się w mieście...

Mam więc na palcu pierścionek. Wręczył mi go dziś popołudniu pan Tomasz w przytomności całej rodziny, mówiąc, że jeśli skromny on i prosty, to dlatego, iż nawet blask najwspanialszych kamieni przy blasku oczu moich zagasłby, jak światło świecy wobec słońca.

Potem mnie w rękę pocałował po raz pierwszy, a mnie na chwilę pociemniało w oczach, bo mi się przypomniła inna chwila, gdy H... wyjeżdżając, rękę moją do ust przycisnął.

Mam mówić narzeczonemu mojemu „Panie Tomasz” a wkrótce samem tylko imieniem nazywać mi go wypadnie. Data ślubu już wyznaczona. Odbędzie się on w kościele farnym, 22-go września.

Taka jestem zajęta, że nawet mi brak czasu zastanowić się nad tem, co mnie czeka już bardzo niedługo. Pan Tomasz bardzo serdeczny i dobry, lubię go coraz bardziej i może ciocia N. miała słusność, że jeszcze kiedyś serdecznie swego przyszłego męża pokocham. Oby tak było! Modłę się o to, bo przecież żona powinna kochać męża

całem sercem, skoro w przysiedze ślubnej są słowa o miłości wiernej i aż do śmierci...

O Boże mój, Boże mój! Na całym świecie chyba niema istoty nieszczęśliwszej ode mnie!... Nawet wypisać nie mogę, co się ze mną dzieje! Od rana czytam i czytam ten list, który mi przyniosła garderobiana ukradkiem, mówiąc, że polecono mi oddać go do rąk własnych. Nie zesłam na obiad, wymówiłam się bólem głowy i nie skłamałam, chociaż nie tyle głowa, ile serce pęknie mi chyba z bólu... Nie wiem, co czynić! W myślach mam zamęt nieopisany. Więc On żyje, powrócił, kocha mnie... A ja? Co mi teraz uczynić wypada? I te gorzkie słowa jego listu! A przecież ja nie przestałam go kochać, o nie! Teraz czuję wyraźnie, że nie. Boże, Boże, ulituj się nade mną! Za tydzień mój ślub... I z kim? z panem B., którego nie kochałam nigdy, a teraz, zda mi się, że nie-nawidzę...

Stała się rzecz okropna. Powiedziałam dziś rano mamie, że zrywam zaręczyny, że za pana B. nigdy nie wyjdę, niechaj się, co chce, dzieje! Małma stanęła, jak wryta, a potem, bez słowa, opuściła pokój. Czułam, że odważyłam się na rzecz niezmierniej wagi i że przyjdzie mi wiele przeżyć po takim oświadczeniu.

W pół godziny wpadł do mnie Ojczuś, prawie siny z gniewu: „Co to za komedje? Co to za awantury panna wyrabia? Niedosć mieliśmy zgryzoty z hardem zachowaniem się panny, teraz nowe fanaberje? Co to wszystko ma znaczyć? Trzeba było wcześniej się zastanowić! Teraz tylko hańba i wstyd wobec ludzi“!

Chciałam do nóg mu upaść, wyznać wszystko, ale odrzucił mnie szorstko. „Proszę tu, w tym pokaju pozostać, dopóki się nie uspokoisz i nie odzyskasz równowagi, — rzekł nieco łagodniejszym tonem, — potem się rozmówimy. Postanowienia twoje, mościa panno, są giętkie, jak trzcina. Najlepiej radzę pomodlić się. Może ci sumienie objaśni, jak nazwać podobne postępowanie“.

Siedzę więc, niby więzień i rozmyślam. Ojczuś ma słuszość, w modlitwie trzeba szukać ratunku... Modłę się gorąco i płacząc rzewnie, bo słowa pacierza brzmią mi w ustach, jak obce... Czy ja temu winna, że tak bardzo kocham H.? Że o nim zapomnąć nie mogę... Chciałabym nawet, a za nie nie mogę! Zgodziłam się wyjść za pana B., bo mi to wszyscy radzili, a ja myślałam, że H. napewno nie żyje... Ale już teraz wiem, że żyje! Wiem, że jest w tem samem mieście, tak blisko! Boże mój! Boże, Boże mój! Dziś rano postanowiłam odpisać mu na list, wyjaśnić... Ale Rodzice? Co czynić? Kto mi pomoże, poradzi! Żeby choć ciocia N. tutaj była! O jaka ja się czuję sama na świecie, jaka

strasznie, okropnie nieszczęśliwa! Ojczuś radził Boga poprosić... Cóż, kiedy Bóg mi nie zsyla pociechy! Pójdę jutro z panną Elizabetą do kościoła, wypowiadam się... Może to mię umocni i na drogę właściwą zawiedzie?

Już jestem spokojna, chociaż mi bardzo bardzo smutno. Ksiądz dziekan, ten sam, który mię kiedyś do pierwszej Komunii przyspasabiał, wysłuchał wszystkiego z dobrocią wielką. Wcale nie gniewał się na mnie, tylko tłumaczył, jak źle, z jaką niewdzięcznością postąpiłam względem moich bliskich, którzy nad szczęściem mojem pracują. Potem łagodnie przypomniał mi, że słowo raz dane jest rzeczą wielkiej wagi i że grzech je łamać. Że jeślibym nawet zerwała to małżeństwo, szczęścia nie znajdę, bo niema gorszej rzeczy jak pójść w życie bez błogosławieństwa Rodziców... Zakończył wreszcie, że powinnam wszystko, co było, Bogu polecić, a modlić się tylko, bym obowiązkom, włożonym na mnie przez Sakrament Małżeństwa, sprostać potrafiła..

„Bądź dobrą żoną moje dziecko, — powiedział jeszcze ks. dziekan, — bądź cierpliwą, wyrozumiałą, troskliwą i wierną, a znajdziesz inne wielkie szczęście, to, jakiego doznają ludzie, którzy spełnili swój obowiązek. Bóg ci pobłogosławi i z czasem serce twoje uspokoi“.

Tak powiedział mi ksiądz na spowiedzi, a ja już wiem, że muszę pogodzić się z losem. W tej chwili czekam tylko, aż się Rodzice obudzą, żeby ich z całą pokorą o przebaczenie prosić...

Dziś odbył się mój Dziewiczy Wieczór... Spędziłam go w gronie dawnych przyjaciółek moich. Powaga moja nie dziwiła ich wcale: rozumiały, że przed tak ważną w życiu chwilą, człowiek musi być w sobie skupiony. Mama dziś rano miała długą rozmowę ze mną, w której wyjaśniła mi wiele rzeczy niezrozumiałych i obcych. Tak, małżeństwo, to rzecz niezmiernej wagi, a rola kobiety trudna i ciężka, choć jakże szczytna zarazem!

Zdaje mi się, że Bóg nie pogardził moją modlitwą. Mam teraz w duszy spokój tak wielki, że aż się sama sobie dziwię. Nie płaczę już i płakać więcej nie będę. Nie dlatego, by oczy moje niebieskie wyblaknąć miały od łez... Nie należę już teraz do siebie. Rozporządziłam swoją osobą, i teraz życie moje w całości należeć musi do tego, który ma zastąpić mi ojca i opiekuna i być czemś więcej jeszcze niż opiekunem i ojcem. Imienia H... postaram się nie wspominać nietylko tutaj, ale i w mych własnych najskrytszych myślach. Teraz byłoby to już tylko grzechem. Dziś, raz jeszcze gorąco pomodłę się o to, by mi Bóg zesłał

siłę i spokój, bym nie tylko radości niczyjej nie zmaciła, ale sama radość i szczęście dać mogła...

— — — — —

...Świeca paliła się jeszcze, chociaż w pokoju zagościł oddawna dzień jasny. Pan Tomasz Adrjan siedział z głową, opartą na rękę, z oczami, wlepionymi w kartki zeszytu tak długo, zanim nie wyrwał go z zadumy dziecięcy głosik, wołający przeze drzwi:

— Dzień dobry, dziaduniu! Co to, dziadunio dziś zasnął? Śniadanie już podali i wszyscy czekamy!

— To Ewunia — szepnął staruszek i odparł: — Zaraz dziadunio przyjdzie, moja dziecińco, zaraz!

Ubrał się z pośpiechem i wszedł do jadalni. Ewunia siedziała już na swoim miejscu i uniosła z nad filiżanki różową, uśmiechniętą twarzyczkę.

— A co dziadziuniu, jaki ładny dzień! Dziś na pewno nie będzie żadnej brzydkiej chmurki i pójdziemy do naszych łabędzi... Prawda, dziaduniu?

— Pójdziemy, dziecko moje, z pewnością pójdziemy.

Ewunia zarżała, jak konik i klasnęła w rączki.

— Niechno ojciec spojrzy, jakie ta Ewunia ma dzisiaj niebieskie oczy! — szepnęła pani Helena, pochylając się ku staruszkowi.

— Prawda, prawda! — odparł pan Tomasz i dorzucił z przyzwyczajenia:

— Zupełnie takie same, jak miała...

Zająknął się i urwał wpół słowa. Po raz pierwszy nie mógł wymówić imienia swej żony, spojrzawszy w małej Ewuni ogromne, promieniejące szczęściem oczy niebieskie.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Siedzieli, wtuleni w ulubiony kąt kanapy, jak zwykle o tej cudownej godzinie, gdy zmierzch powoli napęlnia pokój, zaciera kontury sprzętów i gasi ostatnie połyski na zgięciach staroświeckich, blado-złotych ram.

Była to *ich* godzina, której strzegli zazdrośnie przed ludźmi, przed garstką najbliższych przyjaciół nawet, niezdolnych pojąć i uszanować świętości chwili, gdy oczy wpatrują się w ciemność i widzą każdą myśl, zaś słowa, z ust padające, ciche są i nieśmiałe, a mówią więcej, niż najpiękniejsze strofy poety.

Milczeli. Nina oparła piękną głowę na wysoko spiętrzonych poduszkach i w zamyśleniu liczyła przemijające sekundy: raz, raz, raz...

Przez uchylone okno wdzierał się rzeźwy powiew wiosny. Gdzieś, pod samym balkonem, ćwierkał spóźniony jakiś ptaszek, szukając schronienia na krótką, ciepłą noc. Bez turecki w smukłym wazonie zszarzał zupełnie w zmierzchu, liljowym jak on, lecz za to począł pachnieć przejmująco, prawie zuchwale. Delikatna, zwiewna mgielka tej woni jęła nagle zalewać cały pokój, wciskać się w najdalszy kąt jego, prawie wła-

snym swoim językiem odurzające brednie miłosne.

Nina liczyła ciągle sekundy ciszy, rozkoszując się każdą z nich, jak bezcennym klejnotem. Ciszsza i mrok — oto jedyni goście, których obecność potęgowała jeszcze urok słodkiego bytowania we dwoje.

Wystarczyło zresztą przechylić głowę nieco na ramię, by dojrzeć bielejącą w tym zmierzchu najdroższą twarz, ów profil o nieskażonym rysunku. Wystarczyło wysunąć nieco rękę, aby dosięgnąć tamtej dłoni o palcach wydłużonych i gorących, których każde dotknięcie było pieśczętą, a każda pieśczęta rozkoszą silną aż do bólu.

Wystarczyło pomyśleć, że tak jest, a piękna głowa w ciemno-złotych lokach przechyliła się na ramię, zaś wysunięta z fałdów jedwabiu dłoń dotknęła innej, dążącej na to spotkanie.

— Kochany... — szepnęła Nina.

— Kochana... odpowiedział jej szept.

Zdawało się, że w jednym słowie powiedzieli już sobie wszystko, lecz nagle kobieta spytała z przekornym niedowierzaniem:

— Naprawdę?

Uśmiechnął się. Wyczuła w mroku ten uśmiech. Uniosła głowę i powiedziała, opierając policzek o ramię męża:

— Kochasz mię. Powtarzasz mi to zawsze. Wierzę ci.

— Czy mogłabyś nie wierzyć? Kocham cię przecież. Kocham cię, jak nigdy, nikogo. Ty, moja.

Drgnęła i przytuliła się do niego mocniej. Szepnęła znowu:

— Naprawdę? Powtórz. Powtarzaj mi to codziennie, wiele razy.

— Dzieciaku!

Zmarszczyła nagle brzwi, choć nie mógł tego dostrzec.

— Powiedz mi, — rzekła — powiedz... Jestem taka zazdrosna.

— Dzieciaku, o co?

— O twoją przeszłość. O całą twoją przeszłość. Tak, jestem o nią zazdrosna!

Znów się uśmiechnął.

— Więc czemu pytasz? Czemu wciąż szukasz w popiołach iskierki, której nie znajdziesz? Wiesz dobrze... Ty sama, tylko ty — wypełniasz moje serce. Całe moje życie należy do ciebie. Darowałem ci wszystko, co było moją własnością.

— I przeszłość? I przeszłość także?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Jesteś mi wszystkim — to chyba w s z y s t k o, prawda?

— Zapewne, Jerzy. Ale ja... Pomyśl, od tak niedawna zajmuję miejsce w twoim życiu... Istniałeś przecież. Istniałeś zdaleka ode mnie. Żyłeś. Znałeś inne kobiety... Kochałeś je...

Teraz roześmiał się już prawie głośno. Odparł wesoło:

— Nie przypuszczałaś chyba... Ha ha! To do-
prawdy zabawne... Nie sądzisz chyba...

— Nie, nie! Rozumiem przecież... Nie jestem
dzieckiem. Lecz to tak boli. Sama myśl...

Umilkła, nadaremnie szukając słów, któreby
zdołały wyrazić jej udrękę. Nie знаła ich, czy nie
mogła ich sobie przypomnieć. Dokończyła po
chwili, zrezygnowana:

— Wiem, znałeś wiele kobiet przede mną. Ko-
chały cię. Nie mogły cię nie kochać. To przecież
byłeś ty. Ale powiedz, ty sam... Kochałeś kiedy
naprawdę?

— Co znaczy: naprawdę?

— No tak, prawdziwie, głęboko, jak mnie...
Chcę, muszę wiedzieć, czy kiedykolwiek w życiu
czuleś, że kochasz naprawdę.

Teraz on milczał. Coś ważył w myśli. Nagle
powiedział tonem zdecydowanym:

— Nino.

— Słucham cię. Mów. Chcę wiedzieć, wszystko.

— Przedewszystkiem musisz zrozumieć jedno:
ile razy kochałem — kochałem n a p r a w d ę. Nie
mówię o miłostkach, lecz miłość — ta jest zawsze
prawdziwa. Tak, Nino. Kochałem nie raz, zanim
miałem szczęście spotkać ciebie. Każde z tych
uczuć było prawdziwe, tylko że przyszła miłość
silniejsza, potężniejsza od tamtych i — zabiła je
wszystkie. Dlatego, Nino, niema w mem sercu
miejsca dla wspomnień. Ogarnęłaś wszystko, wy-

pełniłaś mi sobą cały świat. Moja przeszłość ser-
cowa umarła, a dla miłości, zabitej przez inną,
silniejszą — niema zmartwychwstania.

— O tak, — szepnęła. — To może prawda.

— Więc błagam. Zechciej zrozumieć. Przestań
już dręczyć siebie i mnie tą nierozsądną zadro-
ścią o... mary.

— Miłość, mój drogi, nie zna rozsądku. Rozsą-
dek i miłość, to dwa tak sprzeczne pojęcia! Mu-
sisz to wiedzieć, ty który kochałeś, zanim ja wze-
szłam na niebie uczuć twych, jak nowa gwiazda
pierwszej wielkości. Dlatego pytam — nierozsąd-
nie, jak mówisz, lecz pytam, — bo cię kocham.
Bo jestem zazdrosna, wbrew rozsądkowi. Za-
zdrość jest może rozsądkiem miłości.

— Dlatego jest aż tak nierozsądna, kochanie
moje. O co mię jeszcze chcesz spytać? Co pra-
gniesz wiedzieć, czegośbyś nie wiedziała dotych-
czas?

— Chcę usłyszeć raz jeszcze imiona wszystkich
kobiet, które mi ciebie kradły przez tyle lat. Chcę
im się przyjrzeć zbliska, twarz w twarz. Muszę
się z niemi zmierzyć, rozumiesz — i pokonać je.
Dlatego wyzywam je wszystkie, po kolei. Mów mi
o nich.

— Szczęściem, nieliczny to hufiec. Znasz go.
Pierwsza to pani Flora. Miałem wtedy czterna-
ście lat.

— Wiem, — rzekła niecierpliwie. — Kochałeś

się w niej do szaleństwa. Plakałeś, gdy odjeżdżała. Nie mogłeś sypiać nocami, całowałeś jej chusteczkę i ślady jej stóp na piasku. To była miłość dziecinna. Potem?

— Potem, o ile pamiętam, Ewa, córka naszego administratora. O, to już było zupełnie serjo. Kochałem się w niej blisko rok, od wakacji do wakacji. Przysięgałem sobie i jej, że się pobierzemy w przyszłości. Umarła na szkarlatynę, gdy przechodziłem do ósmej klasy. Pamiętam, że bardzo cierpiałem wtedy.

— Tak, tak, zapewne. A dalej?

— Dalej? Czeka, niechże się zastanowie. Mogłbym popłatać daty, przekręcić imiona. To takie dawne już czasy...

Wstał z miejsca i zaczął chodzić po pokoju, trąc czoło w skupieniu. Wreszcie zatrzymał się przed swoim złotowłosym spowiednikiem i rzekł z komiczną powagą:

— Zdaje się, że nie skłamię, jeżeli wszystko, com przeżył w okresie następnych sześciu lat, zaliczę do rzędu miłostek. A więc — pomijam tę epokę. Zajmuje nas tylko miłość. Miłość prawdziwa.

— Nie żartuj, proszę cię. Mów dalej.

Siadł znowu obok niej, ujął obie jej dłonie i ucałował tklawie.

— Teraz właśnie przychodzi miłość... Mon grand amour, przez wielkie A, lub wielkie M... jak wo-

lisz. Ale pamiętaj, błagam cię, nie zapominaj ani przez chwilę o tem, że wspominamy przeszłość na twe wyraźne żądanie, że ciebie wtedy nie znałem. To jedno mam na obronę, bo wówczas — kochałem prawdziwie. Była to właśnie Germaine... owa Francuzka, spotkana przypadkiem na słodkich wodach Lago Maggiore... Włóczyłem się za nią, jak cień, po wszystkich krajach Europy. Miała męża, chorego na manję podróży, chociaż nie był Anglikiem, tylko zakutym *bourgeois* z jakiegoś Bezançon'u... Miała najpiękniejsze brylanty, przedmiot zachwyty wszystkich kobiet i najpiękniejsze oczy, przedmiot zachwyty wielu mężczyzn, w tej liczbie i mnie. Liczyłem wtedy dwadzieścia pięć lat i studjowałem na wszystkich uniwersytetach ten dział wiedzy, nieobjętej żadnym specjalnym fakultetem, a który możnaby nazwać miłością w teorii i w praktyce.

— Och, ty. Cóż dalej?

— Dalej? To prawie wszystko. Znasz tę historję od A do Z. Wcałowywałem ci ją, tak, jak w tej chwili, w każdy z tych różowych paluszków, pamiętasz? Wyspowiadałem się ze wszystkich walk, zmagañ, odjazdów, powrotów, porażek i zwycięstw... Ostateczne starganie tych dziwnych więzów opasujących mię, jak lłany, nastąpiło po czterech latach, w Kastylji. Jeździła po Hiszpanji z mężem, aby patrzeć na walki byków, a ja chodziłem na te ponure spektakle, aby na nią patrzeć,

zdaleka... Zniecierpliwiło ją wkońcu nawet to ciche, nienarzucające się uwielbienie. Miała mnie dość. Przestała mnie kochać oddawna, a teraz zaczęła ją nudzić. Wezwała mnie krótkim bilecikiem, oznaczając ściśle dzień i godzinę odwiedzin. Był to ostatni list, jaki dostałem od niej. Potem — dostałem ustną odprawę:

„Świat jest dość wielki, mój panie, wystarczająco wielki, jak sądzę, aby pan znalazł na nim miasto, w którym mnie niema.“

To ostatnie „monsieur“, strącone z pięknych warg pogardliwie, było świnięciem bicia, które mnie wreszcie ocuciło. Obrażona ambicja zagłuszyła wreszcie wszystkie inne uczucia. Zbrojny w zranioną miłość własną, która w takich dopiero warunkach bywa niebezpieczna — wróciłem najbliższym pociągiem do kraju. Tam, w domu moich dziadków, przesiedziałem wiele miesięcy, jak dzikie, postrzelone zwierzę, — liżąc swe rany. Znasz dobrze tę historję, Nino. Zapomniałem wreszcie o pani Germaine. Zapomniałem o niej tak dobrze, że jeszcze tam, na cichej, polskiej wsi, zdala od pokus, zdołałem się przelotnie pocieszyć. Potem, wróciwszy do miasta, poznałem twoją kuzynkę, do której czułem dużo sympatji, zanim się stało to, co już sama powinnaś dobrze pamiętać. Ty weszłaś pewnego dnia, ze swoim uśmiechem cudownym, z wiązaną narcyzów w rękę. To były czyjeś imieniny, prawda? Bodaj,

— Nie śmieję się. Gdybyś wiedziała...

Zmrużone oczy spjrzały uważnie z pod wznie-sionych pytająco brwi. Nieco drwiąco, choć z ukrytym niepokojem zauważyła:

— To może również twój „grand amour“... przez wielkie A? Ta Antolka...

— Nic nie przesądzaj. Posłuchaj. Chociaż właściwie... Dziwna rzecz! Oto jedyna historia, której może nie powinienem ci opowiadać. Nie dlatego, Boże drogi, aby to było żywym wspomnieniem dla mnie! Przeciwnie. Zapomniałem prawie o tej przygodzie, jak sama widzisz. Zapomniałem tak dalece, że o mały włos nie zarejestrował w rubryce „miłostek“. A właśnie ona jedna, Antolka, była godna lepszego miejsca w szpargałach wspomnień...

— Ach, jaki nudny jesteś z tą twoją pokojówką! Antolka, Antolka! Wyobrażam to sobie doskonale: musiała być śliczniutka, spodobała ci się, uwiodłeś ją... Stąd wyrzuty sumienia, a może i mały skandal w domu. Czy nie tak?

— Od początku do końca zupełnie inaczej, kochanie. Przedewszystkiem — nie była wcale taka „śliczniutka“, a powtóre — to nie ja ją uwiodłem lecz — ona mnie.

— Jeszcze piękniej. Winszuję Antolce zdobyczy. A tobie...

— Nino, przestań drwić. Posłuchaj. Teraz ja

proszę: posłuchaj. Wysłuchaj tej historii cierpliwie. Przekonasz się za chwilę.

Jednym skokiem znalazła się na kanapie, tuż koło niego. Oparła się wygodnie o poręcz, poprawiwszy poduszki.

— Już. Jestem gotowa. Czekam na balladę, rycerzu.

— Przedewszystkiem, wyobraź sobie mnie w tamtych czasach. Przyjechałem do domu, z sercem zatrutem wspomnieniami. Germaine'a wypełniała wszystkie moje myśli, choć ją wyгнаłem z serca na zawsze. W domu było pusto i cicho. Jedyna istota, z którą mogłem rozmawiać, moja babka, nie wiedziała dokładnie, co mię spotkało. Instynktem kobiecym tylko czuła, że mię coś trapi, że miałem jakieś ciężkie przejście. Z całą delikatnością kochającego serca nie zapytała ani słowem, otoczyła mię tylko czułą opieką, polegającą na nieustannem troszczeniu się o mnie, o moje wygodę, o moje zdrowie. Zostawiła mi zupełną swobodę. Mogłem robić, com chciał, nie widywać nikogo, nawet jej. Codziennie zrana, gdy wychodziłem z fuzją w pole, pytała przez służącego, czy i kiedy wrócę na obiad.

Znużony, z mięśniami obolałymi od forsownego marszu, wracałem czasem tak późno, że bez posiłku waliłem się na łóżko i spałem twardym, mocnym snem aż do świtu... O świcie, (a było to jesienią i słońce wschodziło późno) — otwierałem

oczy niechętnie, myśląc, że znowu cały dzień trzeba się będzie włóczyć po lasach i bagnach, aby zagłuszyć nurtujące mię wspomnienia.

Pewnego ranka... Było to w kilka tygodni po moim powrocie, — zbudziwszy się, ujrzałem widok dość nieoczekiwany: młoda dziewczyna, pokojówka mej babki, stała przy łóżku nieruchomo, z dzbankiem od wody w ręku. Stała tak blisko, że mógłbym ręką dotknąć jej ręki, gdyby mi przyszła podobna zachcianka. Spostrzegłszy, że mam oczy otwarte, dziewczyna pierzchnęła nagle, jak dziki ptak spłoszony. W pośpiechu zapomniała nawet zostawić dzbanek z wodą do mycia. Uśmiechnąłem się mimowoli, słysząc dudnienie jej bosych stóp w korytarzu.

Potem, podczas obiadu, ujrzawszy Antolkę, obnoszącą półmisek, przypomniałem sobie poranną scenę i uśmiechnąłem się znowu. Spostrzegła to kątem oka, poczerwieniała, jak burak i natychmiast wybiegła z pokoju. Kiedy wróciła, niosąc salaterkę z kompotem, miała wzrok wbity w ziemię tak uparcie, że obawiałem się, iż potrąciwszy o jakiś sprzęt, wyleje kompot na podłogę.

Byłbym, naturalnie, zapomnieli o tym drobiazgu, gdyby w kilka dni później nie powtórzyła się scena poranna. Obudziłem się pod wrażeniem, że ktoś na mnie patrzy, badawczo i długo, oddawna. Uniosłem ciężkie powieki i natychmiast spuściłem je, udając sen głęboki.

Antolka stała w tem samym miejscu, co poprzednio, tylko dzbanek przezornie postawiła przy umywalni. Z pod zmruczonych rzęs śledziłem ją ciekawie. Duże, bure oczy patrzyły na mnie uparcie, z wyrazem, którego nie potrafię określić słowami. Było w nich coś z ekstazy, nawpół religijnej, nawpół miłosnej.

— Zglupiała dziewczyna! — pomyślałem i uczulem nagłą złość do niej. Otworzyłem raptownie oczy i rzekłem szorstko:

— Antolka czego tu stoi i gapi się, zamiast brać buty do czyszczenia?

— Ja, panoczku... buty... ja... — poczęła jąkać w okropnem pomieszczeniu.

Zbladła, zauważyłem to w niepewnem świetle dnia wschodzącego i ręce jej drżały, gdy wyciągała z pod krzesła parę okrutnie zachlapanych bucisków.

— No, jazda, ruszaj stąd. A woda żeby mi była gorąca! — mruknąłem.

Wybiegła, zawadzając butami o drzwi.

Nazajutrz nie widziałem Antolki przy obudzeniu. Buty przyniósł mi Feliks, obrośnięte ryżą szczeciną i cuchnące machorką chłopisko, którego zajęcia nie miały określonych granic. Był do wszystkiego. Umiał powozić, palił w piecach i karmił psy, czasem drwa rąbał, a czasem jeździł do miasteczka po pocztę.

— To teraz Feliks buty czyści? — spytałem od niechcienia.

— A ja, panoczku. Dziewucha „odkazała się“, że panowe buty robota dla niej za ciężka, bo całe w błocie utaplane. Tak starsza pani zarządziła, żeby ja czyścił.

„Acha! — pomyślałem — Antolka wzięła „na ambit“.

Jakoż — poranne jej wizyty ustały nagle. Budząc się, widziałem tylko niebieski dzbanek, stojący na widocznem miejscu, ale dziewczyny — nigdy. Może kto inny przynosił mi teraz wodę?

Aż pewnej nocy, tak, nocy, gdyż w listopadzie o piątej zrana jest noc — zbudziło mię jakieś stuknięcie. Wyteżyłem wzrok, ale w ciemnościach nie mogłem nic dostrzec. Sięgnąłem po zapalki. Ten ruch spłoszył widocznie sprawcę hałasu. Usłyszałem cichutkie, pośpieszne kroki: tup tup tup — i trzask drzwi zamykanych.

— Zmieniła bestja godzinę. Teraz przed świtem przychodzi gapić się na mnie. Co za dziwaczne upodobanie! A może chciała mię okraść? — przemknęło mi przez głowę, ale odsunąłem tę myśl, jako zupełnie niedorzeczną.

Miała dawniej sposobność świsnąć mi złoty zegarek i wszystkie pieniądze kieszonkowe, wysypała na nocną szafkę. Nie, tu nie chodziło o kradzież. A więc?

A więc chyba zakochała się we mnie...

Mimowoli zaczęła mnie interesować Antolka. Podczas wszystkich posiłków przyglądałem jej się badawczo, prawie bezczelnie. Zdumiewał mnie spokój, z jakim znosiła moje obserwacje. Zrzadka tylko twarz jej oblewała się mocnym rumieńcem. Usiłowała wówczas pod pierwszym lepszym pozorem opuścić jadalnię... Ilekroć patrzyłem na nią, miała powieki spuszczone, mógłbym sądzić, że ich wogóle nigdy nie podnosi, gdybym nie widział dwukrotnie tych burych oczu, utkwionych we mnie, tam, w moim pokoju.

Nie zauważyłem też, aby szukała spotkania ze mną. Przeciwnie, zdawała się mnie unikać. Ani razu, przez kilka tygodni, nie spotkałem jej na ścieżce przed domem, którą przecież wszyscy chodzili, albo w ogrodzie, dokąd biegła często po chrust na podpałkę.

I stało się, że teraz ja zacząłem podpatrywać ją, śledzić, aż wreszcie wyszedłem pewnego razu, że poszła daleko, bo aż do młyna, widocznie wysłana w pilnej sprawie gospodarskiej. Zaczaiłem się na skraju wielkiej lipowej alei, wiedząc, że musi tędy powracać. Gdy się zrównała ze mną, krzyknąłem:

— Antola!

Sądziłem, że ucieknie — lecz ona przystała natychmiast.

— To panicz, — rzekła dość rezolutnie. Pierwszy raz zauważyłem, że ma głos miły i dźwięczny.

— Ot, wystraszyłaby się ja, żeby to tak na odwieczny panicz z krzaków nagle wyskoczył...

— Antola, — spytałem, bo trzeba było coś rzec.

— A ty gdzie byłaś?

— We młynie. A panicz pewno tu na wrony zaczął się? — zagadnęła z kolei.

Spróbowałem, dla ciekawości, co też odpowie:

— A jeśli nie na wrony, to co?

— Hej, panicz to panicz. Paniczowi wszystko wolno, — brzmiała enigmatyczna odpowiedź, podczas gdy bure oczy błdziły kędyś, w dalekiej przestrzeni.

— Cóż to mi wolno, naprzykład? — zapytałem z zaczepką w głosie, zbliżając się do niej o krok.

— Ano, robić, co się podoba. Panicza ogród — i dom i — wszystko.

— Ej, czy aby wszystko? Antola, naprzykład, nie moja.

— A nie — odparła spokojnie. — Ja nie panicza. A panicz za to — mój.

— Jakże tak?

— Ano, mój panicz. Złocienki.

Zastanowiły mnie te słowa. Chciałem przedłużyć jeszcze gawędę, ale z podwórza doleciał głos, nawołujący dziewczynę.

— Trzeba mi iść, paniczu, — oznajmiła, schylając się do mojej ręki, zwyczajem dziewcząt okolicznych.

Pobiegła. Po raz pierwszy zauważyłem, że ma

proste i smukłe nogi, o stopach drobnych, choć mocno zawałanych błotem.

Nazajutrz rozmawialiśmy znowu, spotkawszy się przed domem zupełnie przypadkowo. Zagadnałem ją niespodzianie:

— Czemu ty, Antolka, przychodzisz po nocy i patrzysz na mnie?

— A paniczowi to co? — odrzekła prawie hardo, choć z widocznym zmieszaniem. Snać sądziła, że dawno zapomniałem o „tamtem“ zajściu, a nocnych wizyt nie domyślałem się wcale.

— Mnie... nie. Ale tobie co potem?

Zachmurzyła się, łzy jej nabiegły do oczu. Machnęła ręką:

— Et, głupia ja. Teraz panicz żarty stroić będzie. Ludzie wyśmieją.

— Nikt nie wyśmiej, bo nikt o tem nie wie, prócz mnie, — odparłem, śmiejąc się sam.

— A panicz nikomu nie powie?

— Nie powiem.

— Panicz złocieńki...

Znów ten „złocieńki“ panicz. Spytałem natargywiej:

— Ale ty po co przychodzisz? Nie chcesz powiedzieć?

— A nie.

— Może sama nie wiesz, co?

— E... ja wiem. Ale nie powiem.

— Czemu?

— Bo nie...

Był to początek regularnego flirtu. Ale sam flirt nie zdradzał podobieństwa z żadnym innym, znany mi dotychczas. Przedewszystkiem — sposób, w jaki Antolka wyrażała swe myśli. Zwięzły, lakoniczny. Używała oszczędnie zarówno słów, jak spojrzeń, choć teraz częściej udawało mi się pochwycić szary błysk jej oczu.

W krótkim czasie zauważyłem z niepomiernym zdumieniem, że to ona kieruje „przypadkowemi“ spotkaniami, ona, nie ja. Że to ona naznacza godzinę, a nawet temat rozmowy... Zupełnie, jak młoda panna z najlepszego towarzystwa upuściwszy chusteczkę, mówi: „dziękuję, że pan ją znalazł. Pomyślałabym, że została u Iks'ów, do których jutro znów wpadnę około piątej“ — tak moja Antolka oznajmiała w związku z jakimś przelotnie rzuconem słowem, że: jutro pójdzie na rzekę płukać bieliznę, albo że: pewnie starsza pani ją zechce posłać po nasiona nasturcji, a nie Marylkę...

Szedłem i ja ku grzędom, albo nad rzeczkę, albo gdziekolwiek, wedle tych dyskretnych wskazówek. Zastawałem tam Antolkę, punktualną, jak zegarek genewski. W pierwszym zaraz zdaniu nie omieszkala dziwić się mojej obecności w tem miejscu, następnie zaś — toczyła się rozmowa, zastosowana do jej upodobań i nastroju.

Lubiła mówić o kwiatach i o gatunkach ziół,

pomocnych na różne choroby. Miałem sposobność przekonać się, że była dość obeznana w tej dziedzinie. Ona to doradziła mi okłady z szalwji, gdy pewnego razu dolegał mi ból w szczęcie.

Przedewszystkiem jednak lubiła mówić — o mnie. Przeważnie mówiła sama, nie rozpytując zbytnio o moje własne poglądy w tej sprawie. Mówiła:

— Panicz jest bardzo mądry. Panicz jest bardzo szczęśliwy. Panicz ma takie włosy, jak jeden, co był we wsi, ale go wzięli do wojska. Panicz widział dużo świata. O, panicz wszystko wie...

I raptem dorzucała bez żadnej logicznej przyczyny:

— Mój panicz.

Zwykle wtedy bure oczy tonęły na chwilę w moich, poczem ciągnęła się dalej litanja:

— Panicz ma wszystko, co zechce. Panicza ludzie kochają...

Zaryzykowałem pewnego dnia:

— A ty, Antolko?

Zachmurzyła się znowu, jak pierwiej.

— Już panicz ze mnie żartuje.

— Wcale nie żartuje. Ty mi się bardzo podobasz, Antolko.

Nie знаła kokieteryj światowych panien, z których dziewięćdziesiąt dziewięć na sto odpowiedziałoby z przekorą: doprawdy? Szybko i bez cie-

nia służalczości schyliła się do mej ręki i pocałowała ją, mówiąc:

— Bóg zapłać paniczowi za dobre słowo.

Była w tem pokora, ale pokora człowieka, na którego niezasłużenie spłynęły mnogie zaszczyty.

Przywykłem do tych naszych codziennych „sam na sam“. Gdy się zdarzyło, że Antolka była bardzo zajęta w kuchni, uczuwałem prawie boleśnie brak owej krótkiej chwili, przeszeptanej w jakimś zakątku ogrodowym, przy furtce, na ścieżce młyńskiej, pod daszkiem szopy, w której latem składano opadki z drzew. Tak, to ona uwiodła mię. Zacząłem ulegać czarowi jej słów prostych, a pełnych pieśczoły dziwnej, nieznanej mi dotychczas. Zaczynałem ulegać czarowi jej postaci, krzepkiej a wysmukłej zarazem, czarowi jej oczu o barwie chmury deszczowej, czarowi prostoty, z jaką podnosiła rękę, aby się podrapać w koniec opalonego nosa. Biła od niej świeżość wiosennego zagona. Pachniała chlebem razowym, przed chwilę wyjętym z pieca, to znowu mlekiem, kiedy wracała od krów. Myślałem często: całe jej ciało musi tak pachnieć: chlebem razowym i sianem, na którym sypia zapewne...

Nadeszły pierwsze mrozy i upadł pierwszy śnieg. Skończyło się płukanie bielizny i wybieranie ostatnich nasion z grządek kwiatowych. W kącie ogrodu, skąd przynosiła Antola do kuchni ostatnie, pominiete cebule, nie sterczał już ani je-

den badyl zeschnięty. Zniknęły tysiączne preteksty wycieczek do ogrodu i młyna. Czasem w przejściu, w obramowaniu dębowych drzwi, zdołała szepnąć kilka słów:

— Panicz dziś będzie w alei?... Wieczorem... Jak już psy spuszczają...

Nie baliśmy się psów. Znały nas wszystkie. Chodziliśmy w ciemności. Śnieg skrzypiał pod nogami, albo chrzęściły suche gałązki, przez wiatr stracone... Ciemna noc była mi sprzymierzeńcem. Stałem się śmielszy. Wyciągałem ramię i obejmowałem Antolkę wpół, a ona nie sprzeciwiała się temu. Poczynała tylko drżeć coraz silniej, podczas, gdy z ust padały monotonne, zawsze te same słowa:

— A panoczek ty moj mileńki, a miesiaczek ty moj zlocieńki...

Czasem istotnie mogło się to stosować do księżyca, który wylazł nagle z za chmur, cały rudy na granatowej szmatce nieba, jak wielki, dojrzwały melon, podany na liściu, czasem — skierowane było wprost do mnie, w ciemną, choć oko wykol, noc.

Stałem się jeszcze śmielszy. Jąłem szukać w ciemności jej twarzy, gorącej, pomimo mrozu i całowałem dziewczynę po oczach, po rozpalonych policzkach, po szyi... Szczękając zębami, (może z zimna?) nie broniła i tego; szeptała tylko zupełnie białym głosem swój jednostajny refren:

— A panoczek ty moj mileńki... A miesiaczek ty moj zlocieńki...

Nie grałem już komedji przed sobą. Nie szukałem naiwnych wykrętów w rodzaju: drobnostka, flirt przygodny, *passe temps* na głuchem od-ludziu... Miałem uczucie, że kocham Antolkę, że ją kocham prawdziwie, głęboko, aż do dna serca. Że nie potafilbym istnieć bez niej, bez jej oczu burych, bez jej cichutkich szeptów, bez pocałunków, których mi nigdy nie oddawała, a które kradłem bez pamięci, jak dzieci kradną laski, pomimo obawy przed karą.

Wiedziałem już teraz, do czego między nami przyjść musi. Czulem, że to się stanie. Kiedy? Mniejsza z tem. Dziś, jutro, za tydzień. Mówilem jej: „Jesteś moja. Czemu nie chcesz być moja? Przecież sama rozumiesz...”

A jednak broniła się. Broniła się z zadziwiającym uporem. Każdy mój śmielszy gest odpierała z siłą i stanowczością, nie licującą z jej pomieszaniami. Usta jej broniły się mniej pewnie. Szepotała w kółko, jakby nie miała innej lepszej racji:

— Panicz... nie można... Panicz... nie można...

Śmiesznie dziś sobie przypomnieć: ulegałem jej cichym błaganiom, jak ulegałem poprzednio jej rozkazom stawienia się o oznaczonej godzinie tam a tam...

Nie mogłem usnąć długo w noc i leżałem w swoim pokoju, z oczyma otwartymi, wbitymi w ciem-

ność, z ustami, spieczonemi gorączką. Antolka nie przychodziła już, jak dawniej, śledzić mój oddech przez sen. Leżałem samotnie, a noce nie miały końca. Nareszcie zasypiałem, aby się ocknąć za chwilę z postanowieniem, że muszę biec do niej, odszukać ją koniecznie, dziś, zaraz.

Potem — przychodziło opamiętanie. Tłumaczyłem sobie, że to szaleństwo, że nie wiem nawet, gdzie ona jest, w której stronie domu nocuje.

Pewnego razu, podczas tych walk wewnętrznych, kolejnych napadów tęsknoty i niemal wściekłości, uczulem zwykle, powszednie pragnienie: napić się wody. Prosto zwyczajnej, zimnej wody ze studni.

Nie było jej w karafce. Nawet dzbanek stał pusty. Narzuciłem ubranie i wyszedłem na poszukiwania. Zabrąłem aż do kuchni, potykając się po drodze o sprzęty, które za dnia — byłem tego pewien — nie stały właśnie w tem miejscu. Na oknie błyszczał kubek, pod drzwiami, koło sieni, stała potężna beczka, pełna po brzegi. Wypiłem jeden kubek, potem drugi. Ochłonałem.

Nagle, gdy miałem odchodzić, dobiegł mnie szmer cichutki, jakby ktoś mocno oddychał przez sen. Obróciłem głowę...

W poświacie miesięcznej, padającej od okna, spała na barłogu Antolka. Ręce miała podłożone pod głowę, koszulę uchyloną na piersiach. Koszula ta i cienka, kraciasta kołderka, unosiły się

miarowo, rytmicznie, za każdym oddechem śpiącej.

Przysięgam, że nie wiedziałem wtedy... Nie miałem pojęcia, że ona właśnie tu sypia, na podłodze... że tu przytасzcza codziennie swój ubożuchny sienniczek... Ukląkłem na jego brzegu i począłem delikatnie, ostrożnie całować twarz i szyję dziewczyny. A potem straciłem panowanie nad sobą. Pocałunki moje musiały parzyć, taki mi w żyłach ogień huczał.

Broniła się króciutko i słabo: w pewnej chwili raptownie zarzuciła mi ręce na plecy, zaplotła je mocno, a z ust popłynął urywany szept:

— Panoczek ty moj... złocienki...

Nie umiała powiedzieć nic innego. Nigdy, przez cały okres miłości naszej, nie potrafiła inaczej wysławić, jak bardzo mię kocha. Całe jej uwielbienie mieściło się w tem śmiesznym, półśpiewnym zdaniu o „panoczku“ i o księżycu.

— — — — —
— To koniec? — spytała wreszcie Nina po długiej chwili milczenia.

— Tak, to już koniec, — potwierdził. — Wszystko, co dotyczy mych własnych przeżyć. Później, stosunkowo niedługo, nastąpił, jak się domyślasz, zmierzch władztwa bosonogiej bogini. Ale musisz przyznać, że miłość Antolki była piękna i nawet ujmująca. Ja sam...

— Tak. Ty sam zdołałeś raz jeszcze wzruszyć się nią do głębi. Dostrzegłam to. W tym pokoju pali się lampa elektryczna. Daje światło mocniej-
sze, niż księżyc. A cóż epilog?

— O, był znacznie mniej piękny i zaprawny morałem, jak zwykle epilogi w staromodnych powieściach. Czy chcesz koniecznie, bym oszpecil ładną bajkę morałem?

— Chciałabym wiedzieć, jaki przebieg miała likwidacja tej romantycznej historii i czy ów moral, zawarty w epilogu, przydał ci się na coś w przyszłości?

— To raczej biedna Antolka mogłaby wiele o tem powiedzieć. Ja...

— No tak, no tak. Paniczowi sprzykrzyła się przydługa sielanka. Zresztą — Antolka spełniła swoje zadanie: poruszyła serce zmartwiałe. Zadręgało, zapragnęło mocniejszych wzruszeń... Panicz złocieńki wyjechał do miasta...

— Tym razem... zgadłaś. A gdy powrócił — po roku — nie było już Antolki we dworze. Wydali ją za męża, za jakiegoś pocziwego i ubogiego chłopca, który chętnie wziął żonę z posagiem, jaki jej wyznaczyła moja babka. Podobno biedna dziewczyna plakiwała po kątach, podciągając z przodu swój pasiasty andarak *) i nie przestała

*) Andarak, spódnica samodziałowa, noszona przez białoruskie wieśniaczki.

plakać nawet wtedy, gdy jej znaleźli męża na pociechę. Dobra była dziewczyna, ta Antolka i pomimo wszystko, kochała mię...

— To wszystko i resztę pozwalam ci już pominąć milczeniem. Wiesz, dziwna rzecz: powinnam być właściwie zazdrosna o tę Antolkę, a jednak... Pomimo, że w twem opowiadaniu brzmiały akcenty... Bardzo szczere akcenty... Może masz słuszość. Miłość jest zawsze miłością. Antolka ciebie kochała prawdziwie...

— Wierzaj mi. Wówczas i ja sam...

— Ty sam — pozwalałeś się kochać, jak kiedyś Żermena pozwalała ci siebie uwielbiać, dopóki jej to nie znużyło. W miłości niema równowagi. Zawsze jedna szala jest lżejsza, bodaj o uśmiech — ten pożegnalny, — lub cięższa — o to jedno westchnienie, z którym się konstatuje: wszystko na zawsze skończone. Dlatego Antolkę, chociaż jest moją rywalką, lubię, i mam dla niej współczucie. Zresztą — znajduję między nami pewne rysy wspólne, które...

— Doprawdy, Nino...

— Poczekaj, pozwól mi dokończyć. Otóż obie spotkałyśmy ciebie na naszej drodze, ciebie, który jesteś tylko j e d e n. Następnie... — zwróć uwagę, czy to nie dziwne? — obie kochamy ciebie pierwszą miłością. Bo że ona cię kocha do dziś dnia i kochać nie przestanie, tego jestem zupełnie pewna.

— Czy i w tem czujesz się do niej podobna?

— Kto wie? Może... — odparła Nina, śmiejąc się. — Choć za przyszłość nie ręczę... I to jest właśnie mój najmocniejszy atut: trzymać cię w niepewności. Bowiem brak pewności podsyca miłość mężczyzny tak samo, jak ją zabija w kobiecie.

— Błagam cię, Nino, miej zawsze pewność co do mnie!

— Dziś ją mam... jeszcze.

— Niepokoi mię ton, którym to stwierdzasz.

— Trudno, mój drogi. Przyznasz chyba, że powiastka dziś usłyszana nie umocniła we mnie wiary w... p r a w d z i w o ś ć niektórych uczuć.

— Doprawdy, zaczynam żałować, że opowiedziałem ci tę głupią historję, do której, jak widzę, przywiązujesz zbyt wiele wagi...

Położyła mu rękę na ustach:

— Mylisz się. Oboje traktujemy ją raczej zbyt lekko. Moja imienniczka, dla której zresztą mam dużo uzasadnionej sympatji, spletała mi dziś figla. Patrz — świt za oknem. Teraz, na wiosnę, noce bywają krótsze, niż w listopadzie. Na pociechę powinienes obiecać mi, że przeszłość więcej nie zmartwychwstanie, aby mi ciebie odebrać, chociażby na godzinę.

— Najdroższa, całe moje życie należy tylko do ciebie.

— Tak sędzę. I to jest równowaga życiowa. Bo-

wiem w życiu, przeciwnie, jak w miłości, musi być równowaga: dobro za dobro, zło za zło. Ach, prawda...

— Cóż jeszcze troi się w tej ślicznej głowie?

— Widzę nareszcie jedną, zasadniczą różnicę pomiędzy mną i Antolką: ty byłeś jej pierwszą miłością, ja będę twoją — ostatnią. Właśnie w imię tej równowagi. Prawda, że tak być musi, najdroższy? Powiedz, że tak?

Kwiecień, 1925 r.

BUKIET

2

Powitał dzień szerokiem ziewnięciem, zupełnie, jak jego pan, Alojzy. Letz Alojzy, mruknąwszy pod nosem jakieś przekleństwo, odwrócił się na drugi bok i kazał żonie obudzić się „za trzy pacierze“, a Bukiet wyprostował najpierw przednie łapy, potem tylne, przeciągnął się rzetelnie raz, drugi i wkroczył przez uchylone drzwi sieni do izby.

Ciepło tam było, mroczno i pachniało wczorajszym żurem. Bukiet poruszył nozdrzami, oblizal się i podszedł ku gospodyni.

— A nie macie tam czego dla mnie? — powiedziały wyraźnie jego mądre, żółte oczy w czarnych obwódkach.

— He! Jużes tu, zatracony? A pódziesz! — krzyknęła ostro baba i zamachnęła się na niego polanem.

Bukiet wyszedł powoli, z godnością. Nie miał do niej żalu bynajmniej. Po raz, nie wiem już, który uczynił nader trafne spostrzeżenie, że gospodyni rano jest zła, bardziej zła, niż po wieczery.

Na małym, czworokątnym podwórku nic się nie zmieniło od wczoraj. Czerwona kula słoneczna,

gramoląc się po horyzoncie, przesiała przez szczerbaty płatek garstkę promieni. Pokładły się drgającymi, różowymi pasmami pomiędzy studzienką, a chatą, — dosięgły bielonej ściany i jęły po niej pełzać, radośnie całując każdą szczerbę w desce.

Bukiet wiedział, że wkrótce, — zanim jeszcze słońce wyzwoli się z nadziemnych oparów i załśni na czystym niebie, — skończy się jego swoboda. Wezmą go na postronek, jak codzień, uwiążą krótko przy mocnym paliku, w pobliżu wejścia do domu. Wiedział to wszystko, ale nie martwił się wcale, nie myślał o tem. Po co zaprzętać myśli troską o przyszłość, gdy teraźniejszość jest tak ponętna i miła?

Powoli, noga za nogą, ruszył na ulubione miejsce. Był to pagórek, właściwie nieduża kupka ziemi, zbita i porośnięta mizerną trawą. Tam słońce operowało najwcześniej, gdy całe podwórko tonęło jeszcze w cieniu. Bukiet obwąchał legowisko. Skonstatował, że myszy po niem biegały, maleńkie, rude myszy i kot Białasek, którego nie cierpiał. Usunął się więc cokolwiek dalej i rozłożył wygodnie na ziemi. Znów ziewnął i przymknął jedno oko. Nie miał zamiaru spać. Za chwilę na podwórzu pojawi się to całe tałałajstwo: kogut i siedem kur i krzykliwa, kulawa perliczka, przybłąda niewiadomego pochodzenia. Napelnią krzykiem, gdakaniem i pianiem całe obejście.

Teraz jest cisza, rozkoszna cisza. Na postrzępionym dachu stodołki klócą się wprawdzie dwa wróble, ale kto zwraca uwagę na taki drobiazg! Słońce jest dzisiaj ciepłe, jasne i ciepłe...

— Bukiet!

W drzwiach domu staje Alojzy. Ma na sobie koszulę i wypłowiałe portki, która podciąga rzeźmiennym paskiem.

— Bukiet, chodź, piesku, na tu, na! — mówi Alojzy dobrotliwie.

Jasnoszercisty Bukiet podnosi się i zbliża uprzejmie. Dla pana trzeba być zawsze uprzejmym. Jego rzemień jest twardy i piecze boleśnie. Alojzy bierze z sieni postronek, mocny postronek. Skończyła się swoboda. Jedyna pociecha, to myśl, że gospodyni przyniesie wkrótce blaszaną miskę, pełną wodnistej kaszy. Pełną, albo i niepełną. Czasem ubywa jej przez drogę: chlust w prawo, chlust w lewo, a Bukiet oblizuje się żałośnie: Szkoda.

— — — — —
Małe, śmieszne gęsiątka ruszyły w pole z Andzią. Gospodyni hałaśliwie przestawia garnki na kominie. Powietrze jest gorące, nasiąkłe blaskiem słonecznym. Wokół panoszy się nuda, bezmierna, południowa nuda.

Bukiet zamknął oczy i drzemie. Jest najedzony i czuje w sobie lekką ociężałość. Nie wybiega

myślami, jak zwykle, za obręb podwórza. Gdzieś w dali, bardzo daleko, zaszczekał pies. Bukiet odpowiedział mu sennem warknięciem. Tak tylko, z przyzwyczajenia. Obcy pies szczekał: „Idź precz, włóczęgo!” — i Bukiet zawtórował pod nosem: „Idź precz, włóczęgo!” — lecz czyni to niemal odruchowo. Ktoby ujał na obcych, którzy są gdzieś daleko, może nawet na samym końcu wsi?

Olbrzymia mucha o zielonawym połysku krąży w powietrzu. Siadła na płowych kudłach. Bukiet poruszył skórą, nie otwierając oczu. Odleciała, ale po chwili jest znowu, nad lewem okiem. Spaceruje wolniutko lepkimi, kosmatymi łapkami po psim pysku, w kierunku nozdrzy. To jest irytujące, nie do zniesienia! Bukiet przeczaił się i czeka cierpliwie. W pewnej chwili klapnął zębami. Długo, długo międli w paszczę obmierzły muszy zewłok. Wreszcie wypłuwa z obrzydzeniem. Trup upadł na miękką ziemię, tuż koło nosa. Bukiet ze wstrętem odsuwa resztki zielonej muchy i znowu przymyka oczy. Świat byłby stokroć piękniejszy, gdyby nie wszystkie owady, latające po nim, nie wiedzieć z jakiej przyczyny.

— A pódziesz! Gospodyni! Gospodyni! Ratujcie, dla Boga! A pódziesz, piesku... pieseczku... Paszol, cholero!

— Ee, nie bój się, już ja cię z pyska nie wypuszczę, *dopóki co!* — myśli złowrogo Bukiet i warczy, a zębami wciąż targa niemilosiernie splzłe od słońca lachmany. Wszelki dziad jest to istota niepożądana, szkodliwa i wstrętna. Trzeba ją tępić, jak muchy, jak plugawe robactwo, jak kota Białaska, jak...

— O rety, ludzie! O rety... A dy mię zje ten pies! — jęczy persona w lachmanach, oganiając się kijem daremnie. Bukiet unika ciosów, skacząc błyskawicznymi ruchami w prawo i w lewo, dopadając chudych lydek dziadowskich poprzez parciankę...

Nareszcie zjawia się gospodyni. Jednem kopnięciem nogi w psi zad odpędza gorliwego obrońcę swojej zagrody.

— Do budy, won! — wydaje rozkaz, choć budy właściwie niema. Trudno - bo ochrzcić tem mianem sosnowy palik u płota.

— Zły pies... — zagaja dziad rozmowę, odsuwawszy się przezornie na miejsce, gdzie długość sznurka nie sięga.

— Każdy pies je zły, jak je dobry, — obojętnie, w przestrzeń, rzuca uwagę gospodyni, poczem dodaje podejrzliwie: — A wy tu czego?

— Ja niby? Ja? — dziwi się człowiek w lachmanach temu pytaniu. Juści, na króla nie wygląda, z gościńcem nie przyszedł. — Po prośbie, zwyczajnie.

Ale Bukiet nie daje się wzruszyć wymową nędy, bijącej z całej postaci:

— A ty tu czego? Hau, hau, hau! — szczeka zajądło, z pasją. Miota się na postronku bezsilnie, zlorzczać w psim języku. Wyczuwa dobrze, iż gospodyni jest z nim tym razem w sojuszu. Nie mówi wprawdzie: „weź go, ks - ks!“ — ale spogląda nieufnie na dziada, na drzwi od izby otwarte i na kokoszkę, wodzącą po podwórzu z tuzin drobiazgu.

Nareszcie baba powzięła decyzję. Zamaszyście wpadła do sieni i po chwili wynosi stamtąd kromkę, którą podaje przez fartuch.

— No, macie. I z Bogiem, dziadku, z Bogiem!

— Panie Boże zapłać... — mamrocze tamten, cofając się w pośpiechu. Kolek u płotu zaczyna trzeszczeć złowroźnie. Bukiet wyrzuca z zachrypniętego gardła cały arsenał klątw i pogroźek:

— Czekaaj, niechno ja ciebie dostanę w zęby! Zobaczysz!

Dziad odszedł, ale na podwórku zjawil się po chwili nowy gość: Kumotr Mateusz, a za nim czarna suczka, Łatka. Bukiet szczeknął dwa razy, tak, dla pozorów, żeby dopełnić swej powinności, ale nagle radość wzbiera w nim, jak fala, zalewa serce niespodziewanem szczęściem, przedziwną słodyczą.

— O Łatko, Łatko! — prosi Bukiet nieśmiało, a prośba ta brzmi, jak ciche skomlenie. — O zbliż się, Łatko, podejdź tu do mnie!

Ale czarna, jak węgiel Łatka nie słyszy tych prośb, czy nie rozumie. Może tylko udaje. Kręci się tam i sam, z zajęciem obwąchuje ziemię i cembrowinę studni i próg domu i kamień przy furtce — i tylko w tamtą stronę nie patrzy, gdzie biedny więzień błaganiem rozręskanych żreń przywabia ją ku sobie. Wreszcie, zwiedziwszy wszystkie kąty, powoli, jakby od niechcenia, podsuwa się bliżej, kokieteryjnie przystaje, rozgląda się, machnie ogonem i — znów o krok się przybliży.

— Jesteś piękna, o Łatko! — skomli serdecznie Bukiet.

— Wiem o tem, — odpowiadają błyszczące źrenice tamtej, — wiem o tem dobrze.

— Jesteś piękna i kocham cię...

— O, czy być może? — dziwi się Łatka z niewinnem spojrzeniem i w nagłym lęku umyka wstecz... o dwa kroki. Przystaje znowu, patrzy badawczo na swego towarzysza, a widząc, że ma minę skruszoną, nabiera nagle śmiałości:

— Wszystkie psy, jakie znam, mówią mi słowo w słowo to samo.

Bukiet pochylił łeb.

— Łatka! — woła Mateusz, wychodząc z domu.

Łatka waha się chwilę, spogląda w stronę swojego pana... Po jej szpiczastej mordeczce przewija się uśmiech figlarny:

— Ale ty... — mówi powoli, kręcąc ogonem na znak zadowolenia z własnych słów, — ale ty mi się nawet dosyć podobasz...

— O ukochana! O Łatko! Czy naprawdę mogę się jeszcze spodziewać, że...

— Łatka! — huczy głos Mateusza.

Łatka ogląda się z lękiem i rusza prosto ku niemu. Raz tylko odwraca głowę w stronę płotu, gdzie uwiązany Bukiet śledzi ją męttem spojrzeniem ślepego ubóstwienia.

— No, tego znowu nie powiedziałam! — woła przekornie, ale w jej głosie drży słodka obietnica.

Hic mulier! — mógłby powiedzieć Bukiet, gdyby znał łacinę. Lecz, że jej nie zna, waży w swem skołataniem psiem sercu, że jednak Łatka jest piękna i że ją warto kochać, pomimo wszystko.

— — — — —

Sumiennie, raz koło razu liże Bukiet obolałe boki. Zbito go, zbito, skopano niemiłosiernie. Do stał ciągi od Alojzego, bo nie pilnował domu. Tak przyzwoity, sumienny pies nie postępuje. Alojzy ma słuszość i Bukiet mu ją w duchu przyznaje. Ale tak trudno zwyciężyć czasem własną za-

chciankę!... Nie była to nawet zachcianka — był to jakiś nakaz wewnętrzny, jakiś mus. Bukiet musiał wybiec z zagrody, musiał zobaczyć, co się tam dzieje na świecie. A przytem... tak, naturalnie... musiał przecież odwiedzić Łatkę. Jaka ona piękna w swoim lśniącym, kosmatym futerku! Jaka piękna i jaka ponętna! Bukiet czuje i wie, że o przychylność Łatki warto się było pogryźć nietylko z Kurtą: ze wszystkimi okolicznymi psami, po kolei. Na samo wspomnienie przytych wzruszeń zapadłe boki podnoszą się raz, drugi... Bukiet westchnął.

Słońce zniża się szybko ku zachodowi. W powietrzu brzęczą maleńkie muszki... Jaskółki cichym lotem przecinają seledynową kopułę nieba. Fruwają wysoko nad ziemią, ćwierkając radośnie. Raz po raz jedna i druga odłączy się od towarzyszek i wpada, jak strzała, pod belkowanie dachu. Tam są jej dzieci, — piskliwa, wiecznie głodna gromadka, zbита w kupkę u wylotu gniazda.

— Cir cir... cirr ciirr... — wołają jaskółki, a Bukiet znów wzdycha głęboko. Jego zbolale boki czują wyraźnie, że pora wieczery nadchodzi. Lecz gospodyni jakoś nie zjawia się z miską. Może za karę. Bukiet opuścił dom, haniebnie go opuścił. Tak żaden przyzwoity pies nigdy nie robi. A jednak... Przychodzą chwile, kiedy w psiem sercu wybiera tęsknota. Niepohamowana, nieodparta, wszechmocna...

Jak Bukietowej tęsknocie na imię — to nie gra roli. Tym razem zowie się Łatka, dawniej zwała się może inaczej. Na przyszłość... Kto wie, co kryje przyszłość?

A przecież Bukiet czuje wyraźnie, że ją jedną kocha najbardziej. Dla niej staczał zwycięskie walki z innemi psami, dla niej naraził się na cięgi w domu, na wstyd, na hańbę, może na długie więzienie. Oto słońce stoczyło się na wzgórek, pokryty sośniną. Mrok gęstnieje z każdą minutą. W oknach domu zabłysły już światełka. Wszyscy się tam zebrali: gospodyni i pan zagrody, Alojzy i mała Andzia i zbytne chłopaki, które psa lubią ciągać za ogon w godzinach, wolnych od szkoły. Na stole misa z kaszą dymi... Zapach okrasz dolatuje aż tutaj... Smutno.

Mały cień zamajaczył w pobliżu i skrada się popod ścianą. Cichutki głosik szepecze:

— Na tu, Bukiet, na...

To Andzia przyniosła w miseczce resztkę swej własnej wierzchy.

Bukiet podsunął się, jak tylko długość postronka pozwala. Zanim zagłębi nos w miskę, liznął z wdzięcznością opalone rączyny. Andzia ogląda się niespokojnie, a potem, nagłym ruchem oplótłszy ramionami dokoła psiego karku, rzuca serdeczną przestrożę:

— A nie ucikoj, Bukiet! Nie ucikoj, Bukieciuk, nie... Dostałbyś znowu baty...

— — — — —
Księżyc wychylił się z za rzędu wierzb przydrożnych. Jest złoty i zupełnie okrągły. Po ciemniejącem niebie przesuwają się zrzadka nikle pasemka chmur. Błysnęły gwiazdy: jedna, druga... Mały nietoperz przemknął bezgłośnie, niepokojącym lotem. Przez chwilę zamajaczył na tle błyszczącej tarczy jak czarny szatanek i zniknął w ciemnościach. W oddali pokrzykiwały sowy.

— Hi hi!... — zaśmiała się jedna, a druga odpowiedziała jej żalną skargą.

Bukiet otworzył oczy. Skąpy promyk księżycowego światła dobiegł aż tutaj i zatańczył na drżących listkach trawy. W mgnieniu oka posrebrzył ziemię, obrysował ostrym, granatowym cieniem każdą grudkę z osobna, zajrzał w psie oczy i wślizgnął się między stargane kudły zimną pieszczotą.

Bukiet otrząsnął się, lekki dreszcz przebiegł mu po grzbiecie... Hi hii... — zakrzyczała sówka, gdzieś bliżej. Pies uniósł głowę i spojrzał przed siebie. Małe szybkie okien lśniły gdzieś tam, w głębi było ciemno i głucho. Żaden odgłos nie dolatuje poprzez zaryglowane drzwi. Cień dachu rysuje się mrocznym konturem na ścianie domu, nasiąkłej seledynową bar-

wą. W miarę jak księżyc podąża w górę, ten cień opuszcza się coraz bardziej, otula chatę, gasi polyski na szybach.

Bukiet wstrząsnął się znowu, wstał, przeciągnął zmęczone kości. Dla próby szarpnął postronkiem: dobrze związany, mocny. Nagły żal wezbrał w psiej duszy. Dlaczego? Dlaczego zostawili go tu na całą noc, wbrew zwyczajowi?... Alojzy poszedł spać. Może zapomniał?... Cichutko, także na próbę, pies szczeknął. Własny głos wydał mu się w tej ciszy dziwnie rozdygotany i obcy. Sowa zerwała się przestraszona i bezszelestnie spłynęła z gałęzi. Bukiet powiódł za nią niespokojnymi oczyma. Wsiąkła w mrok, jak cichy duch nocy. Ale żółte tęczówki psa zaśniły nagle w blasku księżycowym. Podniósł pysk jeszcze wyżej i wpatrzył się w srebrzysty krążek. Księżyc zdawał się pędzić z zawrotną szybkością po niebie, wymijając rudawą chmurkę. Umykał, a nie ruszał się z miejsca, tkwił ciągle w tym samym punkcie. Kołował po niebie, aż znieruchomiał nagle, gdy chmurka przemknęła.

— Iii... hiii... — załkała sowa, powracająca na gniazdo.

Bukiet nie odrywał wzroku od księżycowej tarczy. W piersi wzbierał mu ciężar nieznośny i ból, nie mający nazwy; podchodził wyżej, wciąż wyżej, ku gardłu, wdierał się w nie żalosną skargą, uciskał podniebienie, dławił...

— Uuu... auu... — zapłakał nagle pies. Zrazu cichutko, potem coraz to głośniejsze. Bolesny ucisk w sercu zdawał się zmniejszać z każdą nutą, rzuconą w ciszę nocy. Smutek malał, rozpyływał się w powietrzu, w cienkiej, srebrnej smudze księżycowego światła...

— Uuu... Auuu... — wył Bukiet.

Tam w izbie gospodyni zbudziła się i usiadła w cieplej pościeli. Nagie ramiona pod rozchełstaną koszulą zadygotały, jak w febrze. Nawpół przytomna ze strachu i ze snu traciła męża w bok:

— Alojzy... Alojzy, oo...

Gospodarz chrapnął i leniwie otworzył oczy.

— He?

— Ten pies tak wyje, Alojzy...

— A wyje kundel psia para.

— Musi... umarł kto gdzie we świecie? — szepnęła gospodyni trwożnie i uczyniła znak krzyża na piersiach.

— Niechby i umarł, a ty śpij, — mruknął Alojzy i pociągnął żonę ku sobie.

A tam, za oknem, Bukiet wył ciągle. Wyplakiwał tęsknotę swoją, której było na imię Łatka i tę, która żadnego imienia nie miała. Nie czuł już goryczy i żalu za to, że go pobito i uwiązano na całą długą noc. Księżyc wspinał się w górę i spoglądał na niego trochę drwiąco, a trochę liściwie. A on rozmawiał z księżycem, tak jak człowiek rozmawia z bratem i przyjacielem swo-

im, słowo po słowie sączać najtajniejsze zwierzenia.

Tam, gdzieś daleko, inny jakiś pies skarżył się i płakał podobnie. Na innym powrozie, w innej zagrodzie, gdzie inni ludzie spali tak samo w poświacie miesięcznej...

1924 r.

BALBINA

OSTATNIA PANNA RESPEKTOWA

SIOSTRZE MOJEJ, HALINIE

POŚWIĘCAM

Zamąż nie wyszła, bo i za kogo miałaby pójść? Hodowała się od małości w „pałacu“. Takim mianem ochrzczono dom rozłożysty, na czterech kolumnach wspartym ganeczkiem przyozdobiony, szesnaście sporych pokoi pod załamanym, spadzistym dachem mieszczący.

Przywieziono pannę Balbinę swojego czasu prawdziwą najtyczką, zaprzężoną w bułane koniki. Powoził Antoluk, panny Balbiny ojca były parobek, teraz w tej samej wiosce na kawalku ziemi gospodarz. Akuratnie w dniu oznaczonym odstawił dziewczynkę do pańskiego dworu, trochę w czeladnej izbie zabałamucił, podjadł, dał koniom wypocząć, bo dobrze owych czterdzieści wiorst popamiętały i — odjechał do siebie.

A panna Balbina została. Została na całe życie w ostatnim z pokoi „pałacowych“, tym siedemnastym, który się mieścił na strychu i jedynym okienkiem z bocznej ściany dworu wyglądał ciekawie na świat. Mieszkała zrazu w towarzystwie gospodyni niemłodej, która rządy w spiżarni sprawując, niewiele miała czasu na cackanie się z wychowanką.

Balbinka, w pierwszych zwłaszcza czasach, czuła się obco w nieznanym, ogromnym domu,

pełnym ludzi obojętnych, dalekich. Zapłakała raz, drugi w skrytości, przypomniawszy sobie własny rodzinny kąt: matkę w nafałdowanej spódnicy i rurkowanym czepcu, tę matkę, tak dumną ze swego szlacheństwa i ojca, który na co dzień chodził w parcianych spodniach za pługiem, a w święto, wystrojony w podszarzałą czamarkę, zasiadał na ławce w pobliżu ołtarza i czytał z grubej, zatłuszczonej księgi półgłosem, przerywając tylko od czasu do czasu dla sprawdzenia, czy ksiądz nie przeszedł na drugą stronę ołtarza, albo poprostu — dla przetarcia okularów olbrzymią chustką, wystającą zawsze z kieszeni.

— Zapamiętaj sobie, — mawiała matka do swojej Balbinki, — żeś ty nie byle kto. Doreyszanka jesteś, z książęcej krwi, żebyś wiedziała. Nie tobie się zadawać z hołotą.

„Hołota“ — byli to chłopacy więcej, pasący bydło na wygonach i małe, lnianowłose dziewczuszki z poddartymi noskami. Zbierały one często kaczeńce po rowach i Balbinka lubiła gawędzić z nimi na wiele, wiele zajmujących tematów, które nastęrczał dzień każdy: A to krowa Bobowików przestała dawać mleko, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, a to żreback soltysowy zdechl, a to jastrząb w samo południe porwał kurczątko z podwórza...

Ale matka Balbiny krzywym okiem patrzyła na te konfidencje i powtarzała zawsze:

— Oni co inne, a ty co inne. Pamiętaj sobie, nie takim się z Doreyszami zadawać.

To też Balbinka „zadawała się“ tylko ukradkiem. Nie rozumiała znowu tak bardzo dobrze, jaka to zasadnicza różnica dzieli ją od tych dzieciaków, które miały równie zamorusane buzie, a odzież niegorszą, czasem nawet lepszą, niż ona.

Potem — tatusiowi się zmarło. Przedwcześnie. Pochowali go na cmentarzu, pod samym murem. Doreyszyna — wdowa, kazała wyryć kamieniarzowi na wielkiej płycie tak, aby każdy mógł przeczytać z łatwością: „Tu leży Telesfor Klemens Doreysza, (koniecznie przez Y) z rodu swojego ostatni. Niech mu ziemia lekką będzie.“ Dopilnowała, aby wszystko było wykute, jak należy, kamień ułożony na grobie, grób obsadzony kępkami stokrotek, poczem sama rozchorowała się i więcej nie wstała z łóżka. Przez kilka ostatnich miesięcy nieustannie trzymała przy sobie Balbinkę, uczyła ją czytać z tej samej książki, na której zawsze modlił się tatuś, dawała jej tysiące rad na całe życie, przypominając, że Doreyszanka głowę winna trzymać wysoko i swoją godność cenić. Jesienią poczuła, że się przybliży śmierć. Wówczas poczęła przemyślać, jakby zapewnić przyszłość sierocie. Tego, co pozostało w spuściźnie po Telesforze — Klemensie, poprawdzie było niewiele. Poszły do ludzi dwie śliczne jałówki, nadzieja i chluba Doreyszyny. Poszła i para koników —

i siedem sztuk tłustych gęsi, hodowanych z wyłegu. Wszystko pożarły wydatki, związane z chorobą. Trzeba było przez całe lato trzymać parobka, by zżał i wymłócił to, co posiał jeszcze własną ręką nieboszczyk. Trzeba było trzymać dziewczynę, by doglądała podwórka i chorej. Balbinka była jeszcze za mała na wszystko: miała zaledwie ośm lat i bardzo wąskie ramionka. Nie mogła doić krowy, (jedynej niesprzedanej) i gotować kartofli dla świń, które tuczono, umyślnie, na pogrzeb matki. Doreyszyna była przewidująca: zawczasu obmyśliła wszystko. Dopóty kazała sobie kolejno przynosić do łóżka zawartość wielkiej skrzyni drewnianej, dopóki nie przeliczyła wszystkiego, nie poskładała i nie opatrzyła uwagami w obecności sąsiadek:

— To będzie dla Balbinki, jak dorośnie. Wełniany materiał w kropeczki można przerobić za rok, bo Balbinka już wtedy ze starych sukienek wyrośnie. W brązowej sukni mię pochowacie. Podniszczona, ale mi lepszej na tamten świat nie potrzeba. Bursztynów i koralu, które na dno skrzyni włożyć kazałam, niech nikt się sprzedać nie ośmieli, chyba — żeby sierota w ostatniej była potrzebie. Zapamiętajcie sobie wszystko, co mówię, bo to jest wola moja ostatnia.

W połowie września wysłała wdowa gruby list, który kilka dni pisała powoli, z namysłem, odpoczywając i sapiąc. List zawiózł chłopak, udający

się do miasteczka na odpust. Stamtąd miał go odesłać dalej żyd znajomy. Po dziesięciu dniach oczekiwania, Doreyszyna poczęła zdradzać niepokój. Kilka razy dziennie dopytywała się, czy nie przyjechał posłaniec z listem do niej. Słyszac odpowiadź przeczącą, załamywała ręce, a potem, chwytając głowę Balbinki i tuląc, szeptała z rozpaczą:

— I co ja z tobą zrobię teraz, co?

Czternastego dnia przyniesiono list w dużej kopercie z siedmiopalkową koroną. Doreyszyna obracała go w rękach długo, nim odważyła się otworzyć. Na twarzy jej rozgorzały silne rumieńce. Wyglądała, jak za najlepszych swoich dni: miała błyszczące oczy i uśmiech istoty zupełnie szczęśliwej. Wreszcie — ostrożnie rozciąła kopertę. Wypadł arkusik cieniutkiego papieru, zapisanego drobnym maczkiem. Nie mogła sama przeczytać, gdyż pismo nie było dość wyraźne. Ale tego samego dnia przybył organista; jemu to przypadło w udziale odcyfrować głośno i dobitnie szereg równiutkich linijek:

„...Chętnie się zgadzam, moja Rozalko droga, — pisała mleczna siostra umierającej — na twe projekta i obiecuję Ci zaopiekować się dziewczynką, jak trzecią córką...”

Dalej była wyrażona nadzieja, że Bóg Miłosierny nie odwoła przedwcześnie swej wiernej służki, że pozwoli jej może wychować jedynaczkę. Na-

stepowały życzenia powrotu do zdrowia i pożegnania, o ile chora opuści ten świat za wolą Najwyższego... Ale to już nie obchodziło wdowy. Grunt, że w dopisku powtórzona była raz jeszcze obietnica: Balbinka otrzyma wychowanie i ukształcenie we dworze, a serc życzliwych jej nie zbraknie...

Wtedy Doreyszyna siadła na łóżku, z którego nie podnosiła się już od kilku tygodni. Podniosła ręce ku niebu i poczęła szeptać modlitwę dziękczynną.

We dwa tygodnie później — Antoluk wjeżdżał w bramę „pałacowego“ dziedzińca, a na wózku, między drewnianą skrzynią i tobołem z pościelą siedziała panna Balbina Doreyszanka, przyszła wychowanica samej dziedziczki...

Balbina miała kapitalik, stanowiący jej osobistą własność. Powstał on ze sprzedaży kawałka rodzicielskiej ziemi i resztek inwentarza, a urosł, z biegiem płynących lat, do krągłej sumki trzech tysięcy rubli. Suma ta umieszczona została na hipotece majątku, procenty zaś dopisywano co-rocennie do kapitału. Ilekroć Balbina zebrała się na odwagę, by zagadnąć pana dziedzica o swoją „rentę“, ten ostatni, jakby przeczuciem wiedziony, wszczynał przy stole rozmowę na temat nie-
doborów, ciężkich czasów, wszystkich plag, jakie

nawiedziły majątek w tym roku. Uskarżał się na mnogość podatków, na nieurodzaj, na złodziejstwo, szerzące się pośród służby folwarcznej. Pani dziedziczka mitygowała go potrosze, dwie dorosłe córki krzywiły ładne buzie na myśl, że liczne projekty karnawałowe ulegną zwłoce ze względów oszczędnościowych, a Balbina rozważała pocichu, że w takiej chwili co jak co, ale turbować dobroczyńcę i opiekuna swojemi pieniężnemi sprawami — byłoby szczytem egoizmu.

Zresztą — czegoż jej brakło właściwie? Jako panna respektowa samej dziedziczki miała dach (nieco przeciekający) nad głową i miejsce przy pańskim stole. W chwilach dobrego humoru, pani domu obdarzała ją jedną ze swych znoszonych sukien, która wycerowana, odprasowana i dopasowana do talji, (panna Balbina miała bardzo drobną figurkę) wyglądała jeszcze zupełnie nieźle. Również w chwilach dobrego humoru zwykła mawiać dziedziczka:

— Poczekaj, moja Balbińciu, wydam cię za mąż, niechno się tylko znajdzie ktoś odpowiedni.

Ale ktoś odpowiedni nie znajdował się, a lata mijały. Wyszły już zamąż obie córki domu, ożenił się syn; potem — umarła opiekunka... Panna respektowa wylała wiele szczyrych łez na jej mogile.

Dzieci młodego dziedzica rosły — i one z kolei mówiły „Balbińciu“ do starzejącej się powoli, lecz

nieustannie, rezydentki. Panienki podorastały, były już niemal pannami na wydaniu, a w pałacu poczęli się pojawiać młodzi ludzie, reflektanci na mężów. Sama dziedziczka przyjmowała ich w dużym salonie, pełnym złożonych sprzętów, a Balbińcia krzątała się w kredensie, otwierała i zamykała szafy skrzypiące, wzdychając potajemnie: Gdybyż i dla niej wreszcie znalazł się ktoś, ktoś odpowiedni...

— Wiesz co, Balbińciu? Musimy wydać cię za mąż! — mawiały dorosłe już panienki i uśmiechały się filuternie, ale dyskretnie.

W owej epoce panna Balbina Doreyszanka zaczęła zakręcać włosy na papiloty i delikatnie podczerniać brwi. Stojąc w swym pokoiku na strychu, wykrecała się w prawo i w lewo przed malem, obtłuczonem lusterkiem, zawiązywała na szyi wstążeczki przeróżnych odcieni, badając, w jakim kolorze jest jej najbardziej „do twarzy“. Rankami wdziwała kokieteryjne czepeczki z mnóstwem kokardek i wymykała się do ogrodu... Idąc szeroką aleją, wysadzaną kasztanami, które porosły w jej oczach, marzyła sobie ślicznie o chwili, gdy zjawi się wreszcie ów ktoś — ktoś miły i zdawna oczekiwany, ktoś odpowiedni dla niej, to znaczy z nazwiskiem i pozycją w świecie. Za byle kogo przecież nie pójdzie, ona, Doreyszanka, (przez y!) ostatnia potomkini starego, kniaziowskiego rodu.

Z biegiem lat panna Balbina nauczyła się cenić swą godność. Im dłużej siedziała na szarym końcu przy stole wielkopańskiej rodziny, im więcej zniszczyła starych, wybrakowanych sukien dziedziczki, tem silniej czuła, że nie jest byle kim: patrzyła z góry i pogardliwie na gospodynie, które zmieniały się we dworze prawie tak często, jak guwernantki młodych panienek. Wobec służby przybierała zawsze ton wyższości, z prawdziwą rozkoszą wydawała rozkazy głosem surowym i oschłym, naśladując w tem samą panią domu. Służba musiała jej słuchać — to było uświęcone, tak przykazali sami dziedzice. Panna Balbina miała decydujący głos w wielu sprawach, dotyczących gospodarstwa... Niestety, było też mnóstwo spraw, w których nie miała wcale głosu.

Największą jednak bolączką jej życia, bolączką, do której nie śmiała się przyznać przed nikim, był drobny, napozór nic nie znaczący fakt: oto co niedziela zajeżdżała przed ganek kareta, w której udawano się do kościoła. I co niedziela, jak rok długi, panna Balbina zajmowała miejsce na przedniej ławeczce... Dziwnie złośliwy los sprawiał, że zawsze, z a w s z e znalazł się ktoś, kto stanowiskiem swoim przewyższał pannę Balbinę. Jeżeli nawet zdarzały się wypadki, że sami państwo pozostawali w domu, wtedy licho naprowadziło jakąś ciotkę, albo kuzynkę, kogoś, komu panna Balbina musiała ustąpić miejsca... Gdy

państwo całym domem wyjeżdżali zagranicę, Balbina żegnała ich z ukrytą w sercu nadzieją: Narazie, teraz, w najbliższą niedzielę ja sama pojedę do kościoła karetą, zaprzęzoną w czwórkę koni, ja sama siadę na głównym miejscu! I zawsze... zasiadał ktoś inny. Raz — była to pani Budrewiczowa, osoba sędziwa i niezbyt majątna, która na czas nieobecności „drogich kuzynów“ zjechała z całym dobytkiem i bawiła przez kilka tygodni, codziennie obmyślając najwyszukańsze „menu“ na spółkę z dworskim kucharzem.

Innym razem karetą była przez dwa miesiące w naprawie. Innym znów razem... Dość, że nigdy, przez lat czterdzieści, pięćdziesiąt i więcej — panna Balbina nie doczekała spełnienia swych tajemnych pragnień.

Z biegiem czasu gorycz zaczęła wyciskać swe piętno na charakterze osoby nieskażenie pocziwej i przysłowiowo łagodnej. Dotychczas mówiono w domu:

— Słodka, jak nasza Balbisia...

Albo:

— Już ta Balbińcia, to tylko do rany przyłóż...

Albo jeszcze:

— Balbińcia, to się chyba tylko przez sen gniewa...

Teraz eks-panna respektowa miewała swoje niehumory. Nie śmiała ich wprowadzić okazywać nikomu, ale w czasach, gdy młode pokolenie, (już

drugie) powyrastało i poczęło wyfruwać z gniazda, Balbinie stało się jakoś ciężko na sercu. Poczula, że w wielkim domu coraz jej puściej, że jest, pomimo natłoku osób, coraz bardziej samotna wśród domowników. Zaczęła się powoli, pocihutku usuwać z przed oczu ludzkich. Stroniła od młodych, bowiem przypominali jej młodość własną, przemarnowaną nie wiedzieć kiedy i jak... Stroniła od starych, bo w brózdach ich zmarszczek, w wyblakłości ich oczu widziała swą własną podobiznę, której już żaden puder i barwiczka odświeżyć nie mogły; w siwiznie ich włosów widziała własną, której nie zdołał już ukryć starannie upięty „fanszonik“... Była zawsze dla wszystkich dawną „Balbińcią“, lecz rozumiała, że nie jest już tą samą Balbińcią, co dawniej, tą, która rosła ongi pospołu z pańskimi dziećmi, a potem żegnała je czule, gdy zamieniały dom rodzicielski na własny.

Przyszedł wreszcie czas, gdy obszerny dwór opustoszał nagle: złowrogi powiew wojny przeciągnął nad nim i zapędził mieszkańców w dalekie kraje. Państwo wyjechali, zabrawszy co lepsze rzeczy ze sobą. Szereg furmanek odwiózł na kolej kosztowne sprzęty, obrazy i makaty ze ścian. Opustoszały pałacowe pokoje. Panna Balbina snuła się po nich teraz, jak cień przeszłości, ubrana w swoją wieczystą, staromodną sukienkę,

której nie przysstrajała już teraz koroneczkami. Bo i dla kogo?

Wkrótce opustoszały dom stał się widownią rzeczy niezwykłych: przez dziedziniec przeciągały coraz to inne wojska. Nieznani ludzie, mówiący obcym językiem, zabierali najlepsze konie ze sobą. W staroświeckiej, wygodnej karecie odjechał jakiś lejtnant niemiecki, oznajmiwszy nie dbałe, że odesła „ten grat“ przy okazji. Kareta jednak już nigdy nie powróciła do dworskiej wozowni...

Pomimo dziwnych czasów i wydarzeń, panna Balbina co niedziela, o świcie, czyniła staranne przygotowania: suknią odświętną leżała już na krześle, służąca przynosiła z kuchni gorące rurki. Stara panna karbowwała sumiennie przerzedzone kosmyki włosów, zawiązywała pod brodą wstążki kapotki, wkładała rękawiczki i brała z półki starą, wyblakłą książczynę. Ponieważ karety już nie było, jeździła teraz do kościoła małym, trzęsącym wózkiem. Wchodząc przez drzwi zakrystji, przedewszystkiem ogarniała wzrokiem tłum ludzki, a potem wolno, ostentacyjnie przeciskała się przez ten tłum do kolatorskiej ławki.

Tam — zasiadała z powagą, w poczuciu własnej godności. Reprezentowała wszak swoją osobą cały dwór wielkopański, wszystkich mieszkańców pałacu. Wszystkich.

Niejeden szrapnel przefrunął nad dziedzińcem, niejedna kula utkwiała w ścianie domu, zanim Balbina doczekała powrotu chlebobawców. Przez ten czas pilnie strzegła resztek dobytku, ujęła mocno w dłonie ster rządów i dowodziła nieliczną służbą, jak generał ostatkiem swoich żołnierzy.

I doczekała. Pałac zaludnił się znowu. Nie wszyscy wprowadzie wrócili, ale przyjechał „panicz“, najmłodszy z pokolenia i przywiózł nową rodzinę do rodzinnego gniazda: piękną żonę z dwojgiem malutkich dzieci.

Puste, milczące pokoje rozbrzmiały znowu tupotem nóżek dziecięcych. W pociemniałych ze starości zwierciadłach przeglądały się znów twarzyczki jasne i świeże, jak stokrotki o świcie. Potężne belki z sufitów i boazerje ściennie patrzyły na przybyszów z życzliwą ciekawością, suchem potrzaskiwaniem dając wyraz swemu zadowoleniu.

Młoda dziedziczka miała nie tylko wesołe, lecz i czynne usposobienie. W krótkim czasie dom zmienił się nie do poznania. Sprowadzono majstrów stolarskich i tapicerów. Miejsce starych obrazów i makat, rozwłoczonych po świecie, zajęły inne, okazalsze, o barwach żywych i rysunku niefrasobliwym, jak dusza nowej pani. Wprawiono w okna szyby wielkie i jasne, przed oknami zasadzono wesołe kwiaty, przecięto nowe śmieżki w zarosłych gąszczach ogrodu.

Balbina dreptała z kąta w kąt, oszołomiona. Jakiś niepokój szarpał stare serce, jakiś żal głuchy za krzywdę, wyrządzoną rówieśnikom jej lat dziecinnych. Ze łzami w oczach żegnała każdy sprzęt, wynoszony z domu na zawsze. Wymykała się cichaczem na strych i tam, w towarzystwie wytartych, okaleczających mebli spędzała długie godziny, rozmyślając o znikomości doczesnej.

Nie czuła się już nawet niepotrzebna, ale poprostu — *zbyteczna* w tym ślicznym domu, pełnym życia i gwaru. Czyż ona sama nie była jednym z tych starych sprzętów, który tolerowano jedynie, jako szanowną relikwię przeszłości?

Młoda dziedziczka czuła się w nowej roli doskonale. Uroczym, dźwięcznym głosem wydawała rozkazy, karcila służbę, strofowała nawet — Balbinę.

— Niechże się pani nie trudzi, — mówiła uprzejmie. — Przecież *ja* się tem zajmę, *ja* to załatwię, *ja* tego dopilnuję. Niech pani szanuje siły i wypoczywa teraz, gdy *ja* tu jestem.

I Balbina *wypoczywała*. Było to nowe, nieznanie jej dotychczas zajęcie, bardzo przykre i bardzo uciążliwe. Nie mając o co rąk zaczepić, błąkała się po domu bez celu, nie mając o co zaczepić myśli, uciekała do wspomnień dalekich, niepowrotnych, najdroższych. Ale to nie wypełniało długiego, słonecznego dnia, z nieskończoną zda się ilością godzin, zstępujących tak opieszale w in-

ną nieskończoność: godzin szarych i godzin zupełnie już czarnych, gdy wszyscy udawali się na spoczynek.

Jedynym promykiem, jedyną radością i nadzieją serca spragnionego miłości, były dzieci, które całymi dniami bawiły się w ogrodzie, przekrzykując ptaki. Coprawda, one także mało uwagi poświęcały Balbinie. Czasem jednakże, gdy rozpoczęła się słota, poczynaly grymasić, męczyły starszych ustawicznymi psotami, zanudzały pytaniami bez sensu.

Wówczas, jak dobra wróżka, zjawiała się pan-na Balbina. Brała za rączkę złotowłosą dziewczynkę, głaskała chłopaczkę po jedwabistej czuprynce i mówiła cichutkim, drżącym ze starości głosem:

— Chodźcie. Nie trzeba przeszkadzać mamusi. Pokażę wam coś — tam, na górze...

Prowadziła dzieciaki do swojej ciupki na poddaszu. Wyjmowała z komody stare rupiecie: skrawki jedwabów i koronek, spłowiałe aksamitki, książeczyny o wyblakłych obrazkach, szczątki popsutych zabawek. Wydobywała po kolei całą zawartość staroświeckiej szafy: dwie suknie ogoniaste, mocno zrudziałą atlasową mantylę i przydeptane trzewiczki, które ongi miały barwę niebieską. Opowiadała o tych strojach przedziwne i długie historie, opowiadała o jakimś bał-
lu, na którym był sam książę X. (Ich babka cio-

teczna wyszła później za niego, a zmarła w kwiecie lat). Opowiadała o jakiejś maskaradzie, o kuligach, w których brała udział cała „okolica“, o pożarze, o słynnej na cały powiat czwórce białych arabów, o tem, jak ona sama, Balbina, przygotowała przyjęcie, na którem Biskup powiedział śliczną mowę o Bogu i sile w jedności...

Dzieciaki słuchały zrazu uważnie, potem zaczynały się kręcić. Wreszcie chłopczyk odzywał się pierwszy:

— Pani da co dobrego?

Balbina dobywała pośpiesznie smakołyki z blaszanej puszki: były tam śliwki z kminkiem, śliwki suszone na patyczkach i śliwki nadziewane migdałami.

— Chcesz jeszcze? — pytała, a gdy dzieci ciągały łapięta, dodawała wzruszonym głosem:

— Powiedz: daj, Balbińciu, śliweczkę...

— Dej, Balbińtu, śliwecte... — sepleniała dziewczynka, a starej pannie respektowej po zwiędłych policzkach gradem leciały łzy — z wielkiego rozrzewnienia.

Tak dawno, tak bardzo dawno nikt jej nie mówił: Balbińciu.

— — — — —

Widmo pluchy jesiennej nastraszyło młodą dziedziczkę. Ujrzała w wyobraźni drogi rozkisie, po których nikt z sąsiedztwa nie odważy się wy-

ruszyć w odwiedziny. Zateśkniła do ciepłych krajów, o drzewach wiecześnie zielonych, do południowych wybrzeży, owianych ciepłym tchnieniem wiosny nieśmiertelnej.

Zapakowano kufry podróżne, zamknięto srebra i kryształy, opuszczono story w salonie, by blade słońce jesienne nie wypijało barw z obić i mebli, krytych adamaszkiem. Wygodna, lśniąca jak damski lakierek, nowa karetka miała znów czekać w wozowni łaskawszych czasów, gdy państwo powrócą z „zagranicy“.

I nagle — w pannie Balbinie wezbrało dawne, niezaspokojone pragnienie. Cichutko, z sercem bijącym, jak serce ptasie, poszła do samej dziewczynki...

— Wyobraź sobie, mój drogi, — mówiła tego wieczoru młoda pani do męża, — wyobraź sobie, ta wasza starowina ubawiła mnie dzisiaj do łez. Przyszła zapytać, czy jej pozwolę pojechać do kościoła nową karetką. Dodała tonem uroczystym, że tylko jeden, jedyny raz. Ale żeby koniecznie czwórką koni — i żeby stangret miał koniecznie liberję i — co to jeszcze? Aha! Żeby, zajeżdżając przed dom, dwa razy trzasnął z bata!

— I cóż — zagadnął pan domu, rozwiązując krawat.

Wzruszyła lekko ramionami.

— Obiecałam solennie. Kazałam nawet zawołać Ignacego i w obecności panny Balbiny wydałam

odpowiednie rozkazy. Liberja, czwórka koni, karetę wypucowaną, „jak z igły“ i nawet kłaśnięcie batem. Obowiązkowo. Ten Ignacy, to jednak służbista. Ani okiem nie mrugnął. Rozkaz i basta. Niech sobie starowina przypomni dawne, dobre czasy... Niech ma uciechę. Czy źle zrobiłam, mój drogi?

— Zrobiłaś, jak zawsze: najlepiej, — odparł, całując rękę żony.

Państwo wyjechali we czwartek. Dwa dni, dzielące ją od upragnionej chwili, Balbina przeżyła, jak w gorączkowym śnie. Już w piątek, o świtanie, wzięła się do czyszczenia salopy. Popołudniu wycerowała rękawiczki, wieczorem skończyła wszystkie zabiegi około świątecznej toalety, a w sobotę od rana, nie mając już nic do roboty, podbiegała co chwila do okna, przekonać się, czy wygląd nieba nie zapowiada jakiegoś kataklizmu w postaci burzy, gradu, śniegu, lub rozpetanej wichury.

Lecz nie. Dzień następny wstał cały złoty, strojny w purpurę i miedź wędnących liści, prawdziwie ciepły, osnuty przędzą babiego lata, cudowny. Była to podwójna uroczystość, w tę bowiem niedzielę wypadło święto Matki Boskiej Różańcowej — i rocznica urodzin Balbiny.

— Który to ja rok kończę? — zastanowiła się, nakładając fałdzistą suknię o staniczku obcistym, z bufami.

Ale nie miała czasu medytować. O siódmej była zupełnie gotowa. W kapeluszu, związanym pod brodą, w rękawiczkach i z książką pobożną w rodygotanych dłoniach siadła przy oknie, skupiona, uroczysta, oczekująca. Czas dłużyl się niepomieranie. Kościół był o godzinę drogi — suma rozpoczynała się o dziesiątej...

— Bądź pozdrowiona, święta Rodzicielko Boża... „Tyś wydała na świat Króla, który niebem i ziemią rządzi na wieki wieków...“ — szeptała Balbina, skracając oczekiwanie modlitwą — „...Wydało serce moje słowo dobre; opowiadałam ja czynny moje Królowi...“

Myśli mąciły się w jej głowie. Słowa modlitwy splątały się, jak powoje, w starej pamięci.

— ...Opowiadałam ja czynny moje Królowi... I spraw, prosimy, niech czcząc tajemnicę najświętszego Różańca błogosławionej Marji Panny, naśladujemy to, co wyrażają... naśladujemy to, co wyrażają... I otrzymamy, co przyobiecują...

Zaturkotało na dziedzińcu. Balbina rzuciła się do drzwi, zapinając po drodze salopę.

— ...I otrzymamy, co przyobiecują... — szeptały jeszcze jej wargi, gdy Ignacy dwa razy palnął z bata, jako miał przykazane.

Kareta stała już przed gankiem, Balbina usiłowała iść prosto i pewnie, choć nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Z trudem otworzyła drzwiczki — stangret przyglądał jej się z kozła, uśmiechnięty

nieco drwiąco na widok staroświeckiego kapelusza z chwiejącą się, zrudziałą kępą piórek, zjedzonych przez mole.

Konie ruszyły natychmiast. Padła na miękie poduszki, półprzytomna ze szczęścia. Oto spełniło się jej najgorętsze pragnienie, skrywane w sercu tyle lat... Tyle lat! I nagle — ogarnęło Balbinę zdziwienie tak ogromne, że prawie zagłuszyło radość uroczystej chwili. Więc tak wygląda urzeczywistnione marzenie?

Kareta toczyła się szybko po gościńcu. Resory niosły miękko — zdawała się leciuchno kołysać, przepływając wyboje, niby łódka grzbiety drobnych fal na jeziorze. Koła prześlizgiwały się po kamieniach bez wstrząsu. Przez jasne szyby zazierało co chwila słońce blade-żółte, odbite w każdej kałuży i w każdej lśniącej niteczce babiego lata. Na przedzie, zawsze na przedzie, klekotały kopyta końskie w ziemi rudej, gliniastej i słychać było parskanie rażnej czwórki, oraz nosowy bas Ignacego, który każdemu parsknięciu odpowiadał z powagą: „Zdrów!”.

Myśli Balbiny kołysały się teraz łagodnie, z ruchem karety. Wydało jej się, że lata minione dostały skrzydeł i przefruwają, niby ptaki, jeden za drugim, niezliczone, podobne do siebie, a przecież różne. Jakie ich mnóstwo — mój Boże! Płyną po niebie ogromnym kluczem, niby żorawie na ciąg jesienny, ku nieznanym krainom. Jeden, drugi,

dziesiąty przesunął się powoli i zniknął na linii horyzontu w pasmie błękitnem, za ziemią. Następny dziesiątek mknie chyżej — śpieszą się, by zdążyć za tamtymi. Następny — jeszcze chyżej... Następny... I znowu — i znowu łopoczą skrzydła przemijających lat... Ile ich jeszcze? Oto rysuje się na szybie cień ostatniego ptaka. Bedny jakiś, samotny, jakgdyby wolniej sunie po niebieskiem sklepieniu... Lecz i ten także oddala się, maleje, ginie.

— Ile to lat — przemknęło znowu przez głowę Balbiny pytanie, uśmiechnięte bolesnie. — Który to rok się kończy?

A szyby pięknej karety dzwonią cichutko, drzwiczki klekoczą, coś liczą... I nagle — w każdym drzeniu szklanem zadźwięczy głos znajomy. Mnożą się, szepczą, pytają zadziwione:

— Tyżeś to, Balbino? Tyżeś to? W karecie jedziesz, sama jedna? Samiutka?

— Samiutka... samiutka... — odpowiada im cicho, wstydliwie.

— Usuń-że się cokolwiek. Zrób dla nas miejsce... Wszyscy śpieszymy tam, dokąd i ty śpieszysz, Balbino! — proszą znów głosy, a staruszka poznaje teraz każdy z osobna: dawno umilkły, a drogi, umarły — a niezapomniany.

Więc się usuwa. Powoli, ostrożnie zsuwa się z miękkich poduszek, na klęczkach śpieszy do

swej ławeczki, do tej ławeczki, na której zawsze, przez całe swoje życie...

— ...Zapewnił nam nagrodę wieczną... — szepczą jej wargi uśmiechnięte — ...I otrzymamy to, co przyobiecuje...

Kareta zatrzymała się przed kościołem. Ignacy czekał dobrą chwilę, aż wreszcie stuknął końcem bata w zamknięte drzwiczki, wołając:

— Pani! Hej, pani! Jużemy przecie dojechali!

Ale Balbina nie słyszy. Rozmodlona, szczęśliwa, klęka przed Tronem Boskim ostatnia Panna Respektowa.

15 stycznia 1926 r.

KOLOROWE ŚWIATEŁKO

Mamusia własnoręcznie zawiązuje na szyjce Luś szeroką, białą kryzę, Juścia trzyma w pogotowiu biały, pikowy płaszczyk, a Luś przebiera niecierpliwie małemi nóżkami w białych „tup-tach“ skórkowych, świergocąc, jak ptaszek:

— Luś pojedzie na śpacelet! Luś pojedzie na śpacelet!

— Pojedziemy do Bozi, — mówi mama.

Przed gankiem parskają konie. Stangret Antoni ma nową kurtkę w granatowe paski, z błyszczącymi guzikami. Siedzi na koźle sztywno i poważnie opędza z grzbietów końskich wielkie, kąśliwe muchy, które latają z głośnem brzęczeniem.

— Do Bozi? — pyta Luś w objęciach Juści, która ją znosi po schodkach.

Wnętrze powozu obite jest ciemno-zielonem suknem i Luś wygląda na tem tle, jak ogromny kwiat *Boule — de neige'u*.

— Do Bozi? — powtarza z zadziwieniem, podnosząc na mamę okrągłe oczy.

— Pojedziemy do kościoła. Tam mieszka Bozia, któremu Luś mówi codziennie paciorek.

Juścia kłania się z ganku, macha rękoma i woła:

— Niech panienka zmówi paciorek za moje zdrowie!

Teraz zjawiała się przed domem czarna wyźlica, Nera, która za jeden ze świętych obowiązków poczytuje sobie należycie obszczekać wszystkie cztery przednie kopyta końskie i towarzyszyć im aż do bramy wjazdowej.

— Nela cie tes do Bozi! — woła Luś, podskakując na siedzeniu, tak, że kraciasty pled obsuwa się i splywa po stopniach powozu ku ziemi.

— Ach, Boże, nie kręć-że się tak, dziecino! Antoni, jedziemy! — woła mama trochę zniecierpliwionym głosem i dopiero, gdy konie ruszyły z miejsca, odpowiada:

— Nera zostanie. Musi pilnować domu.

— To nie zobacy Bozi... — skarży się Luś w imieniu czarnej przyjaciółki.

— Psów się nigdy nie bierze do kościoła. Siedź spokojnie i bądź grzeczna, bo mamusia zacznie żałować, że i ciebie nie zostawiła w domu razem z Nera.

Dziewczynka rozumie, że trzeba siedzieć ciuchtko, jak „mysta“, ale jej żal ogromnie biednej Nery, której się nigdy nie zabiera w odwiedziny do Bozi.

Powóz toczy się gładko po piaszczystej drodze. Po obu stronach rzędy drzew migają tak szybko, że się z nich tworzy w oczach dziewczynki coś, jakby wysoki płot z pni okrągłych. Pomiędzy nie-

mi prześwitują jasno-zielone kawałki pola i jasno-błękitne kawałki nieba, które jest daleko, daleko, — tam, gdzie pole się kończy.

Wjeżdżając na mostek, koła powozu dudnią po rozchybotanych deskach. Zagłuszają na chwilę świergot skowronków, tkwiących w błękiecie i rozśpiewanych Bogu, niby małeńkie dzwoneczki mszalne w gigantycznej świątyni Pańskiej.

— Ti li li li! — stara się Luś piszczeć jaknajcieniej, naśladowując ich głos przenikliwy.

— Pamiętaj, żebyś w kościele siedziała grzecznie, bo tam wszyscy mówią paciorek do Bozi, — powtarza jeszcze raz mama, podczas gdy konie zatrzymują się przed bramą w murze kamiennym.

Teraz mama, której Antoni pomógł wysiąść, bierze małą Luś mocno za rączkę i prowadzi ją przez szeroki, brukowany dziedziniec. W głębi dziedzińca jest kościół, — wysoki, wieżasty i biały, poznaczony długimi plamami okien po obu stronach drzwi, szeroko otwartych, z których wnętrza dochodzi przytłumiony pomruk. Ten pomruk napęla dziewczynkę nagłym lękiem, więc wczepia się mocno obiema rączkami w dłoń mamy i patrzy nieufnie na gęste szeregi nóg ludzkich, stłoczonych przy wejściu. Ale nogi w wysokich butach rozstępują się na boki i Luś idzie z mamą wąziutkim szpalerem do miejsca, gdzie stoi ławka z wysoką poręczą, zupełnie pusta.

Mama wyjmuję z torebki czarno oprawną książeczkę, której Luś nigdy nie dostaje do rączki.

— Zmów teraz paciorek, Luś i nie przeszkadzaj, bo mamusia będzie się modliła.

— Za zdrowie Luś?

— Tak.

— I za Juścię tes! — wtrąca pośpiesznie mała, przypominając sobie prośbę niani.

— I za Juścię i za wszystkich. No, nie mów już więcej. W kościele rozmawiać nie wolno.

Nie, Luś nie będzie rozmawiać, nie będzie przeszkadzać mamusi. Woli nawet patrzeć, niż mówić, bo tyle niezwykłych, ciekawych rzeczy widać wokoło. Cały ogromny pokój, w którym znajduje się wraz z mamą, napelniony jest ludźmi. Tuż koło ławki stoi stara kobieta w głęboko nasuniętej chustce i bardzo szybko porusza bezzębnymi ustami. W palcach trzyma długi sznurek ciemnych paciorków, które przesuwa od czasu do czasu. Dziewczynka śledzi uważnie poruszenia warg wąskich i niemal fioletowych, ale nie może dosłyszeć ani słowa. Kobieta stoi najbliżej, opiera się ramieniem o ławkę, a za nią widać ogromnie dużo innych ludzi, którzy też stoją, lub klęczą, czytają książki i żegnają się co chwila, jak Luś przy wieczornym paciorku.

Za ludźmi jest biała ściana, a na niej wiszą obrazy w bardzo zabawnych ramach. Luś nie może zrazu rozpoznać, co to takiego strzepi się i wije

wkrąg poczerniałych płócien; wreszcie z triumfem obwieszcza sama sobie, że to są sztywne, suche „fiatki“, takie, jakich pełno rośnie na grządce w ogrodzie.

Tyle, tyle jest jeszcze ciekawych rzeczy! Naprzykład ogromny stół, nakryty haftowanym obrusem, pełen kwiatów i świec zapalonych, z figurą Matki Boskiej w białobłęktnej sukni. Świec jest tyle, że Luś ich nawet przeliczyć nie może, ponieważ rachuje bez zmyłki tylko do trzech, a potem jest odrazu „dużo“ — czyli sto. „Las, dwa, tsi, sto i sto i sto...“ powtarza cierpliwie, ale co chwila zawiły rachunek się gmatwa.

Nagle dzieją się jeszcze dziwniejsze rzeczy: Wśród chłopiec w czerwonej pelerynce i pociągnął za wstążkę, która znajduje się tuż obok ławki, na której siedzi Luś.

— Ech, ech, ech! — zastękał schrypnięty dzwonek, a pośród ludzi czyni się ruch gwałtowny. Wszyscy klękają i ponad ich głowami Luś widzi dokładnie rzecz najdziwniejszą, jaką widziała dotychczas: Człowieka w sztywnej, kolorowej sukni. tak kolorowej, że oczy poprostu się śmieją do tych wszystkich punkcików czerwonych, kremowych i złotych, rozsianych na zielonem, jak świeża trawa tle ornatu. Człowiek ma włosy popielate, prawie białe, a pośrodku głowy coś, co wygląda, niby miedziany pieniążek, umieszczony tam bardzo misternie.

Teraz już Luś wytrzymać nie może:

— Mamusiu! — pociąga matkę za rękaw.

— Cicho, Luś. To ksiądz. Będzie się modlił do Bozi przy ołtarzu, — odpowiada pośpiesznie mama, schylając się do ucha dziewczynki.

Aha! Luś już rozumie. Tylko z początku nie rozumie, skąd płynie bardzo głośna, bardzo hu-cząca muzyka, której przeciągle tony: „Buuu... buuu...“, rozchodzą się naokół. To jednak jest bardzo ładne, chociaż mogło przestraszyć z początku i Luś z zadowoleniem patrzy i słucha, słucha i patrzy.

Teraz dopiero jest co widzieć! Zielona, kwia-ciasta suknia przesuwana się wzdłuż stołu z jednego brzegu na drugi, zza sukni wysuwają się ręce i brzmi niebardzo ładny, ale bardzo donośny głos... W główce Luś poczynają snuć się niepewnie różne domysły. Bo ten głos, to zupełnie.. to zupełnie...

Nagle ksiądz się obraca twarzą do ławki i teraz Luś nie ma już żadnych wątpliwości. Podnosi się, jak może najwyżej i wyciągając różowy paluszek, woła triumfująco, całą pełnią małego gardziołka:

— Płobosc!

— Luś — szepece mama z wyrzutem, chwytając podniesioną rączkę. Jest czerwona po same brzeżki włosów, wysuwających się z pod kapelusza. Pewnie dlatego, że stara baba przestała poruszać wargami i spojrzała bardzo groźnie z nad-

okularów, a kilka dziewcząt stłumiło chichot, kryjąc twarze w ceglanych rękach.

— A to płobosc, mamusiu? — powtarza Luś do ucha mamie.

W oczach mamusi migoce utajony uśmieszek.

— Proboszcz, kotku, ale nie można tak głośno wołać. Później zajdziemy do proboszcza i przywitamy się z nim, Luś. Siedź cicho, nie rób mamusi wstydu, córuchno.

Nie. Luś nie zrobi wstydu swojej mamusi. Tylko tak strasznie nudno siedzieć na miejscu! Organy grają ciągle tak samo, proboszcz tak samo przyklęka, wstaje i znów przyklęka w swojej dziwnej, bardzo dziwnej sukni... Obraca się ku Lusi, śpiewa, patrząc gdzieś daleko, poza nią, niewidzącymi oczyma, a z głębi kościoła, z wysoka, odpowiada mu chór piskliwych głosów kobiecych. Dziewczynka ziewa raz i drugi i, dla skrócenia czasu, przypatruje się czubkom swych nowych trzewiczków, które co chwila zjawiają się i nikną tak śmiesznie poza obrębem białego płaszczyka. Lecz i to przestaje być zajmujące. Oczki się kleją, — chcą spać.

Nagle przypomina sobie Luś coś bardzo ważnego, coś, o czym zapomniała zupełnie pod wpływem tyłu przebytych wrażeń.

— A Bozia, mamusiu? — pyta tajemniczo.

— Co, Bozia?

— Cie ziobacić Bozie!

— Ach, nie nudź-że raz. Bozi nie można zobaczyć. Bozi nikt nie widzi.

Nikt? Całe zainteresowanie dziecka opada nagle. Chce jeszcze o coś zapytać, ale twarz mamy uparcie się odwraca, pochyla nad książką, znika pod dużym kapeluszem słomkowym.

— Ech, — wzdycha dziewczynka żałośnie.

Jest jej gorąco. W całym kościele jest gorąco i duszno. Zrobiła się cisza, nikt już nawet nie śpiewa i przeciągłe huczenie organów umilkło zupełnie. Tylko maleńki dzwoneczek odzywa się w tej ciszy nieśmiało: „Tiń, tiń, tiń“, a wszyscy ludzie klęczą z pochylonemi głowami.

„Żeby chociaż zobaczyć Bozię! Gdzieś przecież musi być schowana... Przecież tu mieszka!“ myśli Luś, rozglądając się wokół ze znudzeniem na kręglej twarzyczce. Nagle małe usteczka otwierają się w niemym podziw. Szeroko otwarte oczy dojrzały niespodziewanie coś, co jest bardzo dziwne, jeszcze dziwniejsze od rzeczy, widzianych dotychczas. To coś mieni się i błyszczy, jak suknia księdza, a przecież jest zupełnie inne. Trochę podobne do piłki, którą przywiózł niedawno wujaszek, a przecież inne zupełnie. Podskakuje i tańczy, mieni się prześlicznie i wcale nie spada na ziemię!...

Przez kolorowe witraże okna przedarł się wąski promień słońca i zapalił drgającą, tęczową kulkę na białej ścianie tuż koło ławki. Cwierć sekundy

waha się Luś, spogląda ukosem na mamę, wreszcie nie może zmóc pokusy. Cicho, cichutko posuwa się ku końcowi ławki, powstaje na całą wysokość swojej osóbk i zakrywa rączką błyskotliwe zjawisko.

Ale zjawisko nie znika; przeszło tylko na rozczapirzone paluszki i migoce znowu, kolorowe, migotliwe, śliczne. Ogromnie zdziwiona, Luś cofa rączkę i kulka powraca na ścianę.

Organy znowu grają i proboszcz znów śpiewa drgającym głosem, ale Luś nie zwraca na to najmniejszej uwagi. Cała jest pochłonięta świecącą kulką, która pojawia się kolejno to na ścianie, to na maleńkiej rączce, ale nie daje się złapać.

Serce dziewczynki bije mocno z wielkiego wzruszenia. Ach! schwycić tę śliczną rzecz! Luś macha rączką ustawicznie, otwiera i zamyka piąstkę, ale wesołe światelko powraca zawsze na dawne miejsce.

W tej chwili mama odwraca głowę i nagle zrywa się z lekkim okrzykiem:

— Ach, Boże, co ty wyprawiasz! Niegrzeczne dziecko! Luś, chodź tu natychmiast!

Imperatywna dłoń odciąga dziewczynkę za połą płaszczyka właśnie w momencie, gdy piąstka po raz dwudziesty może chwyciła próżnię.

Ale nie — kulki już niema na ścianie, jest w rączce, którą przyciska Luś mocno do siebie, pełna radości i dumy, że wreszcie dopięła swego.

Jest tak oszołomiona własnem szczęściem, że nie pamięta już, jakim sposobem i kiedy wydostała się z przepelnionego kościoła i znalazła się na plebanji.

Mama rozmawia z siostrą proboszcza, kościastą i starą panną Moniką, a Luś, poważna i skupiona, stoi opodal, przejęta jedną jedyną myślą, aby przypadkiem nie otworzyć piąstki, w której, niby w różowej muszli, siedzi zamknięta zdobycz. Przez główkę dziewczynki przelatują furkotliwe myśli, podobne do chmury różnokolorowych ptaszków. Zapytać mamy? Pokazać? Nie. Jeszcze odbiorą, a wtedy Luś płakałaby bardzo, bardzo długo. Lepiej nie mówić nic, aż w domu.

Wchodzi proboszcz. Wygląda zupełnie zwyczajnie, tak, jak zwykle widuje go Luś, w długiej sutannie, z nikłym paskiem białego kołnierzyka pod ogorzałą twarzą.

— Przywitajże się, Luś! — mówi mama, a proboszcz, dobrotliwie uśmiechnięty, podchodzi do dziewczynki.

— No, podaj proboszczowi rączkę, — powtarza mama.

Tego właśnie Luś nie może za nic uczynić. Jeśli otworzy piąstkę, kulka wyfrunie z niej i przyłgnie znowu do ściany, a tak bardzo trudno ją schwycić!

— Luś! — woła mama, podnosząc brwi do góry.

— Nie... nie... nie! — usteczka składają się

w podkówkę i biedna Luś wybucha nagle gwałtownym płaczem.

— Zwrażeniowało się dziecko. Maleństwo to jeszcze! — zagaduje proboszcz do mamy, która wydaje się bardzo zmartwiona zachowaniem córeczki.

Powoli, na kolanach mamusi, zaczyna się Luś uspakajać. Nikt już nie żąda, by przywitała się z proboszczem, a to najważniejsze.

— Nie rozumiem, co jej się stało! — tłumaczy mama skwapliwie, — w kościele była zupełnie wesola, a nawet psotna, jak w domu. Proszę sobie wyobrazić, księżę proboszczu, że schwyciłam ją na gorącym uczynku, w chwili, gdy sięgała do taśmy od dzwonka z zakrystji.

— Niechże się pani nie martwi! Wyrośnie to-to, wyrośnie aż nazbyt prędko! Szczęśliwy wiek, gdy wszystko na świecie wydaje się stworzone dla figłów... No, cóż, Luś, może teraz pogodzilibyśmy się ze sobą?

Luś spogląda z pod oka, trochę niespokojna.

— Jakże więc... Lubimy się trochę?

— Lubimy... — powtarza Luś.

— To dlaczego przed chwilą nie chciałaś...

— Dajże pani pokój! — przerywa mamie proboszcz, jeszcze się znowu rozkrzyczy! A co, nie mówiłem! Już bródka się trzęsie... Ładny z pani pedagog! Ja, stary klecha, uczyć muszę! Niechno ją pani zabierze do domu. Uspokoi się w drodze. Wpadnę tam do was po nieszporach, można?

Jakoż, zaledwie konie ruszyły, Luś jest zupełnie spokojna i uśmiechnięta, jak zawsze. Mamusia zato pragnie nakłonić ją do skruchy.

— Fe! jaka niegrzeczna! I to dla kogo? Dla proboszcza, którego tak kochasz...

— Tocham! — przytakuje Luś z uznaniem.

— Jakże więc można było..

— Ptasti! — wykrzykuje zniecka dziewczynka na widok stada pierzastych rabusiów, które zerwały się z łanu dojrzewającej pszenicy.

— To są wróble, — wtrąca machinalnie mama i, zniechęcona niefortunną lekcją dobrego wychowania, pogrąża się w milczenie.

Powrotna droga dziwnie się jakoś dłuży. Trudno tyle czasu trzymać rączkę nieruchomo przy sobie. W dodatku ciekawość zbiera, czy cudo jest tam jeszcze. Niemalęj wagi jest także troska, co zrobić z przywiezioną zdobyczą... Schować dla siebie? Ale gdzie?... Darować... Ale komu?

Nareszcie powóz zatrzymuje się przed ganikiem. Z domu wybiega Juścia, by zdjąć kapelusik i płaszczyk, a jednocześnie pojawia się z jakiegoś kąta naszczekująca Nera.

Na jej widok Luś doznaje jakby olśnienia. Tak, tak, to Nera dostanie śliczny, niezwykle podarunek, to biedna Nera dostanie go od Luś, za to, że musiała samiutka jedna siedzieć tu i pilnować domu! Biedna Nera, która nigdy nie widzi tylu wspaniałości, proboszcza w dziwnej sukni, chłop-

ca w pelerynce, takich wysokich, wysokich, zapalonych świec...

W mgnieniu oka wyrывa się Luś z objęć Juści i toczy jak kulka, w stronę czarnej wyżlicy.

— Nela! Nela! — woła przytem radośnie.

W dwóch susach Nera jest przy niej i patrzy serdecznie żółtemi oczami, merdając przy tem zawzięcie ogonem. Chwila jest uroczysta: Luś z całą powagą podsuwa zaciśniętą piąstkę pod sam pysk Nery, wyrzucając z siebie tylko jedno, ale pełne triumfalnego samozaparcia się, słowo:

— Mas!

Chlup! I długi, czerwony język przesunął się po małej rączce tak szybko, że Luś nie zdążyła zauważyć nawet, czy śliczna, świetlana kulka była tam jeszcze. Ponieważ jednak nic nie wyfrunęło i nie uciekło, Nera połknęła ją zapewne w całości.

— — — — —
Tego samego dnia, siedząc w najlepszej komitywie na kolanach proboszcza, opowiadała Luś w swojej dziecinnej gwarze coś, czego ani proboszcz, ani mama w żaden sposób zrozumieć nie mogli. Streszczenie tej opowieści zawarło się w tajemniczym zdaniu, które, niby refren ludowej piosenki, przerywało co chwila opowieść wielce zawiłą:

— I Luś psiniośla siama i podalowała Neli i Nela dostała od Luś i żjadła, aha!...

NA PROGU

Zdawało się Joannie, że tylko na bardzo krótką chwilę utraciła świadomość tego, co się z nią dzieje. Mąż jej klęczał jeszcze ciągle przy łóżku, z głową wtuloną w miękki jedwab kołdry, a w sąsiednim pokoju słychać było stąpanie i szmery. Katarzyna szczykała talerzami.

Nie ruszywszy się z miejsca, nie uniósłszy powiek, na których ciotka Lucia położyła drżącymi rękoma dwie okrągłe monety, Joanna ujrzała najwyraźniej starą sługę, zajętą uprzątniem nakrycia. Obiadu nikt nie tknął, naturalnie. Katarzyna miała zaczerwieniony nos i pociągała nim bezustannie, jakgdyby dręczył ją silny katar.

— Biedna — pomyślała pani Joanna — pocciwota kochała mnie bardzo...

I nagle chciała zawołać: „Katarzyno, chodź tutaj! Patrz, nie umarłam! Mówię przecież do ciebie...”

Ale w tej samej chwili poczuła, że nie pamięta, jak to się robi. Chciała poruszyć wargami — na daremnie. Zatraciła zupełnie poczucie, że ma język i wargi. I oczu nie czuła również. Monety cioci Luci ciążyły powiekom, a przecież — wzrok pozostał. Słuch również...

O, jak wyraźnie doleciał w tej chwili szmer z przedpokoju! Niewidzącymi oczyma Joanna podażyła tam. Ściany przestały dla niej istnieć. Przed wielkim lustrem w przedpokoju stała Aldona i przymierzała nowy, czarny kapelusz z długim welonem. Uśmiechała się przytem do gładkiej, szklanej tafli, odbijającej wyraźnie ładną twarzyczkę i jasne włosy, które przeświecały przez krepe, jak stare złoto.

— Aldono — ozwała się Joanna tą dziwną mową bez słów. — Co robisz, biedna moja siostrzyczko?

— Przymierzam kapelusz żałobny, bo przecież ty umarłaś... — szepnęła Aldona i nagle strumień łez trysnął z jej pięknych oczu. Gwałtownym ruchem odrzuciła precz krepe i, osunąwszy się na pobliskie krzesło, poczęła płakać głośno, rozpaczliwie, jak mała dziewczynka.

Zegar w saloniku metalicznym głosem wydzwonił godzinę. Joanna ujrzała wyraźnie wskazówki, wyciągnięte w jedną linję pionową:

— Szósta... — pomyślała. — Umarłam przecież o drugiej... Więc to już jednak cztery godziny! Cztery długie godziny... A ten biedny Stefan kłęczący wciąż nieruchomo. Czyżby doprawdy tak bardzo cierpiał?

Zbliżyła się myślą i pochyliła nad mężem.

— Stefanie, wstań. Odejdź stąd. Nie trzeba tak

ciągle patrzeć na to, co leży nieruchome i chłodne przed tobą. Mnie tam niema...

— Więc niema cię... Niema cię już... — jęknął i dotknął martwej ręki. Ukrył znowu twarz w dłoniach, a łzy pociekły przez palce.

— Tam mnie niema, ale tu jestem teraz, przy tobie. Czy nie czujesz?

— Gdzie jesteś, Joanno? Gdzie jesteś w tej chwili? Nie ujrzę cię już nigdy. Nie powiem ci...

— Więc jednak mię kochałeś... — odparła bezgłośnie i popatrzyła na niego trochę smutna, a trochę zdziwiona.

— Ty nawet nie wiesz, że cię kochałem.. W ostatnich latach słyszałaś odemnie same obojętne, lub twarde słowa. A teraz zapóźno. Już ci nic powiedzieć nie mogę. Już się nie dowiesz...

— Mów.

— Już cię nigdy, nigdy nie wezmę w ramiona i nie pogładzę po włosach, jak wtedy, gdy byłaś taka spłakana... Pamiętasz? A jednak i wówczas kochałem cię. Ty jednak, pomimo wszystko, byłaś jedyną moją kobietą. Moją żoną.

— Nazywała się Flora... — szepnęła Joanna.

— Już nie pamiętam nawet jej imienia. Wszystkie one miały jakieś nazwiska... Ale nie chcę wiedzieć o żadnym. Wiem tylko, że ty umarłaś. Źle zrobiłaś, Joanno, źle...

— Tak, umarłam... Tak, umarłam... — powtórzyła myśl Joanny, a jej nowe, wszystkowiedzące

spojrzenie spoczęło na martwej, bladej twarzy, wciśniętej w poduszki.

Zmierzch wpelzał do pokoju przez uchylone okno, za którem rosła akacja. Delikatne, cienkie gałązki nie chwiały się już teraz. Wszelki, najlżejszy nawet powiew ustał, powietrze było zupełnie nieruchome.

Ktoś nieśmiało zastukał do drzwi i nabrzmiały łzami głos Aldony poprosił cichutko:

— Stefku?...

W dzień pogrzebu padał drobniutki, wiosenny deszcz.

— ...Oni się wszyscy pozaziębiają! Żeby przynajmniej nie brali ze sobą Jędrusia... Zabraniam, zabraniam! — myślała Joanna, snując się po pustem, chłodnem mieszkaniu.

Była wszędzie i nie było jej nigdzie. Widziała swoją trumnę, ustawioną wśród zieloności w dolnym kościele, gdzie posadzka zdawała się wiecznie wilgotna, a zapach stęchlizny, przywiedłych kwiatów i spalonego wosku przenikał mroczne wnętrza aż po sklepienie. Widziała jednocześnie białe lakierowane łóżeczko Jędrusia i Aldonę, która w żydowskim sklepie na rogu ulicy kupowała czarne, zamszowe rękawiczki.

Jędrus spał w domu, z rączką, podłożoną pod

prawy policzek. Był rumiany i oddychał głęboko przez sen. Aldona targowała się w sklepie o cenę.

— Przecież to są zleżałe rękawiczki. I robota licha. O, ten szew się zaraz rozejdzie, niech pani spojrzy!

Przysadzista, okrągłutka panna sklepową wstrząsnęła ufryzowaną grzywką w oburzeniu:

— To są zleżałe rękawiczki? One są nie do zdarcia! Trzy lata pani je ponosi i wszystkie szwy będą całutkie! Przekona się pani!...

— Mnie potrzebne tylko na rok... — westchnęła Aldona — ale już więcej czarnych nie chciałabym kupować...

Na drugim końcu miasta jechał dorożką pan Janusz Długokęcki, z brodą, wtuloną w kołnierz paltota. Nagle wzrok jego padł na słup z ogłoszeniami.

— Zatrzymaj dryndę! — huknął na dorożkarza i, nie czekając, wyskoczył.

— Joanna... Joanna... Dwadzieścia ośm lat. Mój Boże, taka młoda! Ktoby się był spodziewał, tak nagle... Biedny ten Stefan! Trzeba tam będzie wpaść do niego. A to dopiero! Pogrzeb kiedy? We środek? To znaczy dziś? Masz tobie! Miałem być w banku o dwunastej...

Wsiadł z powrotem do zachlapaney dryndy, wołając:

— Zawracamy. Pojedziesz do najbliższej kwia-

ciarni, na rogu Marszałkowskiej, a potem pod kościół św. Krzyża. Galopem!

Zasunął się jaknajgłębiej, bo drobny, dokuczliwy deszczyk nie ustawał.

— Biedna ta pani Joanna... — pomyślał znowu Długokęcki — taka młoda. Szkoda jej...

W tej samej chwili Jędrus otworzył oczy. Joanna już była przy nim.

— Mamusiu... rzekł chłopczyk zaspanym głosem.

— Mamusi niema, kotuchno... — westchnęła ciocia Lucia i nagle przypadła do łóżeczka, wyciągnęła dziecko z pościeli i przytuliła je mocno do siebie.

— Mamusia wyjechała... Daleko... Moje ty skarby najmilsze...

— Jestem tu! Jestem! Jestem! — krzyczała biedna Joanna z całych sił, a ciocia Lucia potrząsnęła siwiejącą głową i szeptała, zapinając Jędrusiową sukienkę:

— Och Joasiu, Joasiu!... Cóżes ty najlepszego zrobiła, opuściwszy nas i to biedactwo...

— — — — —
Brudnemi, żydowskimi ulicami szedł kondukt. Na przedzie człowiek z krzyżem, potem ksiądz w komży i w kaloszach, potem karawan, potem oni wszyscy: Stefan, Aldona, ciocia Lucia, a dalej wielu znajomych i bliskich.

Jędrus pobrzękiwał w kuchni pokrywkami od rondli, które mu dała do zabawy Katarzyna. Ciotka Lucia oparła się stanowczo projektowi Aldony, by chłopca zawieźć w karecie na cmentarz.

— Po co? Nie zrozumie i tak, nawet nie zapamięta, a gotów się przeziębć i jeszcze nowe nie-szczęście!

...Nawet nie zapamięta...

Niewidzialną, kochającą dłonią gładziła teraz Joanna jasne, wijące się włoski, a Jędrus podniósł oczy na Katarzynę i zawołał:

— Mamusia da Luśkowi te poklywki...

— Da, dziecuszku, da... — przytwardziła stara kobieta łagodnie, odrywając wzrok od książki, z której czytała właśnie modlitwę za umarłych.

— Mamusia włóci i da — powtórzył chłopczyk z przekonaniem.

— Tak, duszeńko... A światłość wiekuista niechaj im świeci, niech odpoczywają w pokoju wiecznym, amen...

W miarę, jak kondukt posuwał się ku cmentarzowi, Joanna stawiała się obca, niemal zbyt czarna w tym tłumie ludzkim, obojętnym, znużonym i wyrzekającym na niepogodę.

Za karawanem, tuż za karawanem szedł Stefan pod rękę z Aldoną. Oboje milczeli, tylko Aldona poprawiała co chwila zmoczone, rozfryzowane loczki i myślała wkołko:

— Mieliliśmy jechać latem do Zakopanego! Tak-

by było przyjemnie, takby było wesoło... Joanna dała już nawet kostjum do roboty... A teraz nic z tego... nic z tego... nic z tego...

Dalej, zaledwie o kilka kroków, dwie znajome panie rozmawiały półgłosem:

— Biedna ta pani Joanna...

— Biedniejszy mąż i dziecko — poprawiła druga z naciskiem. — Ona już nic...

A jeszcze dalej Joanna nie istniała już. Mówiono o ostatniej premierze, o wakacyjnych projektach, o nowych fasonach sukien i modnych kawiarach, gdzie wieczorem można tańczyć pomiędzy stolikami. Poza tem — plotkowano, a wówczas ktoś wtrącał imię Joanny, mówiąc z dobrocią:

— Podobno wkońcu zakochała się w nim do szaleństwa. Ale czy można się dziwić? Młoda, ładna, a zaniehbana przez męża. Na co ona właściwie umarła?

— Hm... Może na tę miłość...

— Mówią, że po hiszpance...

— Mówią... Wiele rzeczy się często przemilcza...

Gdy ksiądz odśpiewał „Salve Regina“ schrypniętym, zakatarzonym głosem, dwaj grabarze zaczęli zarzucać ziemią dół. Żółty piasek zgrzytał niemile w zetknięciu z łopatami.

— To wcale nie boli. Ani boli, ani nawet nie męczy... — pomyślała Joanna i poczuła znowu, że

niema jej tam, pod wiekiem trumiennym. I tam — i nigdzie.

W tej chwili słyszała wszystko, co o niej wkoło szeptało. Zjawiała się przy każdym, który o niej pomyślał i uśmiechała się do ludzi przez lzy, których także nie mogli dojrzeć.

W domu tymczasem biedny mały Jędrus nie chciał jeść kaszki, którą mu potroszeczką wkładała do buzi Katarzyna. Rozplakał się, rozgrymasił i zaczął krzyczeć:

— Chcie do mamy!

— Zjedz wszystko, rybko moja, zjedz grzecznie, to mamusia wróci... — mówiła Katarzyna, ucieając nos rąbkiem fartucha.

— — — — —
Wieczorem tego dnia wcześniej zapalono latarnie na ulicach. Zmierzch zgęstniał przy sztucznym świetle, a samo światło zdawało się jakieś nikłe, bez blasku. Tylko mokre po deszczu chodniki świeciły piękniej, niż poprzednio. W mętnych kałużach na nierównym bruku leniwie przeglądały się łukowe lampy, osadzone wysoko.

Ciotka Lucia, rozwiesiwszy swe zmokłe, zrudziałe palto i zakieck Aldony na krzesłach, zasunęła firanki w saloniku i poszła spać. Taka była strudzona! Tyle nocy niespanych miała za sobą! Cały ostatni, okropny tydzień... W tej chwili prawie z ulgą myślała o tem, że się już wszystko

skończyło, że w domu znowu panuje cisza... Ciszsza i ład. Przed położeniem się zanosła jeszcze herbatę z cytryną Aldonie, którą bolała głowa.

— Nie czytaj dziś już i nie rozmyślaj, kochanie. Staraj się zaraz usnąć — rzekła, wychodząc i ci-chutko zamknęła drzwi za sobą.

— Joasiu... — westchnęła Aldona, usypiając. Kilka ostatnich łez wsiąkło w poduszkę.

Tymczasem mężczyzna w piaskowym palcie włóczył się jeszcze po ulicach. Szedł tak blisko domów, że chwilami ocierał się o wilgotne mury rękawem.

— Nie wrócę teraz do siebie — pomyślał.

— Wrócisz — rozkazała Joanna łagodnie, ale stanowczo.

Próbował się jeszcze opierać.

— Nie wrócę. Pójdę znowu na cmentarz.

— Już bramy pozamykano, a zresztą mnie tam niema. Teraz jestem przy tobie. Jestem i będę przy tobie, dopóki...

Zatoczył się, jak pijany.

— Uważaj, Lolu... — szepnęła Joanna zupełnie takim głosem, jak kiedyś, gdy brnęli, trzymając się pod rękę, przez chodniki, pokryte zlodowaciałą skorupą brudnego śniegu.

— Lolu... Ty już nigdy nie powiesz do mnie: Lolu. Skończone wszystko. Niema cię...

— Jestem tutaj — odparła prawie głośno.

Obejrzał się, nieomal przerażony.

— Niema cię. Nigdy cię już nie spotkam na tej ulicy. Nigdy nie ujrzę twej rozjaśnionej twarzy, gdy spoglądałaś w okno, z którego dawałem ci znak... Wbiegałaś zawsze po schodach lekko, jak mała dziewczynka... Otwierałem cicho drzwi, a ty wpadałaś prosto w moje objęcia, zawsze jednakowo spłoszona i drżąca, a serce biło ci głośno, jak serce schwytanego ptaka... Pamiętam smak twych pocałunków i cudną linję drobnych, dziewczęcych piersi. Ładna byłaś...

— Kochałam cię.

— Miałas dużo wdzięku z tą minką wystraszonej pensjonarki, która po raz pierwszy popełnia grzech... Tak, byłaś bardzo ładna. A teraz niema cię. Giovannino moja, Giovannino...

Wchodził powoli na piętro i począł szukać zapalek, gdyż cała sień tonęła w mroku.

— O, te drzwi... Te drzwi... Był czas, że otwierałem je tylko dla ciebie. A w biurku leżą twoje listy. Twoich sto siedem listów, które czytałem z rozłargnieniem. Lubiałaś pisać listy, a ja po sto-kroć wołałem ciebie...

— Związane są różową wstążeczką — przypomniała mu cicho. — Nie pomył się, szukając. Różowa wstążeczka. Różowa...

— — — — —

Patrzył długo w dogasający na kominku ogień. Ostatnie błękitnawe płomyki lizały zwęglone już

drzewo. Mała grudka popiołu stała się szara i jeszcze bardziej nikła.

Wtedy, w mrocznym pokoju, oświetlonym jedyną lampką nocną, Joanna poczęła mówić:

— Byłeś mi wszystkim na świecie. Dlaczego nie spaliłeś tych listów? Czytać ich więcej nie będziesz nigdy, a myślą lepiej nie wracaj. Po co?

— A jednak... ja cię kochałem... Jakże bolesne jest każde rozstanie!... Pamiętam jeden sonet... Pisany był dla ciebie...

— Pisałeś, bo byłeś smutny. Twoja dawna kochanka rzuciła cię. A zresztą — znudziliś się nią już przedtem. Nie lubisz długotrwałych romanśów, nużą cię... Myślałeś o tej nowej, o nieznajomej...

— Tą nieznajomą byłaś ty. Nie, ty nie byłaś moją kochanką. Ty nigdy nie byłaś dla mnie tylko kochanką, chociaż nie chciałaś mi wierzyć... O, tyś mi nigdy nie ufała do głębi... Dlaczego umarłaś? Dlaczego to się stało?...

— Chcesz wiedzieć prawdę?... Całą prawdę?... Tylko prawdę? Nie stało się nic. Miałam trochę gorączki... Było mi smutno, samotnie... Było mi źle... O pierwszej w nocy dom wydaje się dziwnie pusty, jakby wymarły... Otworzyłam okno. Jędrus spał w sąsiednim pokoju. O, gdybym myślała o nim w owej chwili! Ale myślałam tylko o sobie: Że jestem dla ciebie niczem, że mię nie kochasz, choć piszesz dla mnie sonety. Że, zanim

weszłam w twoje życie, pisałeś również sonety... i będziesz pisał, skoro odejdę. Myślałam o tej bliskiej przyszłości, gdy wyczytałam w twoich oczach już tylko niechęć... Nie pamiętałam, kto śpi w pobliżu z buzią, wtuloną w poduszkę... i kto w tej chwili, w tej samej chwili wyszeptał przez sen: mamusiu. Usiadłam w oknie otwartym i wdychałam, ostre, zimne powietrze. To cała prawda.

Wyciągnął rękę, jakgdyby marę pragnął odsunąć od siebie:

— Dręczysz mnie. Jesteś okrutna.

— Nie jestem wcale okrutna. Nie mogę już ani dręczyć, ani pocieszać. Mogę tylko odejść...

— Więc odejdziesz!... Jeżeli to prawda... Jeżeli miłość moja była tylko pomyłką, złudzeniem... A ludzie gotowi powtarzać, że umarłaś z mego powodu...

Postać Joanny poczęła blednąć i rozplywać się w mroku. Głos jej zadźwięczał łagodnie, bez żalu:

— Zapomnij o mnie. Wtedy odejdę napewno, na zawsze. Zapomnij, że cię kiedykolwiek kochałam. To także było złudzeniem, wiem o tem dobrze, dziś... Pamiętaj, że już nie jesteś romantycznym studentem... Że musisz pomyśleć o sobie... Musisz się wreszcie ożenić... Podobają ci się Aldona?

— Co to ma znaczyć? — krzyknął głośno i wytężył wzrok, jakby w ciemności chciał dostrzec twarz umarłą, a na niej szyderczy uśmiech.

Ale Joanna mówiła dalej łagodnie, tylko już coraz cichszym i jakby obcym głosem:

— Nie kłam przed sobą i przede mną. Po co? Aldona ci się przecież podoba. Podobają ci się od dawna. Dobrze, pozwalam ci nawet dorzucić, że twarz jej przypomina ci moją. To romantycznie brzmi i w twym własnym mniemaniu dodaje tej historii uroku... Ładnie jej z tym welonem, prawda?... Blondynkom dobrze w czerni... Na cmentarzu wyglądała, jak posąg. Posąg z czarnego marmuru. Słuchaj: o tem nawet możnaby sonet napisać: Grób kochanki i anioł w żalobie... A potem sonet przeczytasz Aldonie. Ona lubi wiersze, gdy ty je czytasz. Możesz nawet ofiarować jej ten dawny, pisany dla Joanny... Aldona nie zna go... Zmień tylko inicjały...

— Czyżbym doprawdy...

Ukrył twarz w obie dłonie i pogrążył się cały w marzeniach.

— Aldona! Aldona...

— Odchodzę... — szepnął cień. Jędrus powiedział przez sen: mamó...

IN SPE (HISTORIA O SZEŚCIU MARJACH)

Idą na spacer parami.

Jest ich sześć. Na czele najstarsza, Marja-Helena z Marją-Antoniną pod rękę. Są prawie równego wzrostu, pomimo kilkumiesięcznej różnicy wieku. Szczebioczą coś między sobą, cicho, cichutko, by „tamte“ nie usłyszały. Mówią sobie te wszystkie słodkie sekrety, im tylko wiadome. Marja-Helena szybko i płynnie wyrzuca z siebie zapas nagromadzonych spostrzeżeń; co trzecie zdanie zaczyna się od słów: „wyobraź sobie“... Świat jest rozkosznie ciekawy w oczach trzynastoletnich dziewczynek.

Za niemi suną jednolatki. Byłyby z nich bliźnięta, bo urodziły się w tym samym dniu, dziesięć lat temu. Lecz nie są nawet siostrami. Marja-Jadwiga ujrziała światło dzienne daleko, za oceanem, a Marja-Teresa pochodzi z podmiejskich okolic. Jej rodzice mieszkają w ładnym folwarczku, pełnym owoców, jarzyn i kwiatów. Jakie to dziwne i piękne, że się spotkały tutaj, że żyją pod jednym dachem, siedzą na jednej ławce, w tej samej klasie! Amerykanka opowiada o dziwnem mieście, gdzie domy są tak wysokie, że ich ostatnie piętra chwieją się prawie widocznie. Marja-

Teresa opowiada tylko o nowych rabatkach petunji i o tem, że słońce na wiosnę zalewa cały ogródek. Świat Marji-Jadwigi jest wielki, pelen zgiełku i turkotu olbrzymich fabryk, — świat Marji-Teresy jest mały... Można go wzrokiem ogarnąć od krańca do krańca. Lecz to, co gładzą kury na małym podwórku w słoneczny, ciepły dzień, jest prawie takie ciekawe, jak szwargot egzotycznych papug, które widziały Marja-Jadwiga.

Ostatnia idzie Mademoiselle Marie-Jeanne, mocno trzymając Marję-Magdalенę za rączkę. Marja-Magdalena jest mała, bardzo mała, najmłodsza z całego pensjonatu. Ma bowiem dopiero siedem lat i zaledwie uczy się czytać. Nie chodzi do żadnej klasy i nie ma koleżanek. Na wszystko jest za mała. Jest za to ulubienicą wszystkich. Przechodzi z rąk do rąk, jak lalka. Każdy się do niej wdzięczy, jak do lusterka, w którym odbija się własne jego dzieciństwo. Szczęśliwa być powinna Marja-Magdalena, gdyż każde jej własne zmartwienie staje się zmartwieniem ogólnem, a cudze troski jeszcze są dla niej niedostępne.

Lecz Marja-Magdalena wolałaby mieć koleżanki, jak wszystkie inne dziewczynki z klasztoru. Wolałaby dostawać złe stopnie, niż nie dostawać żadnych. Miło jest dzielić z kimś bliskim smutek i radość. A Mademoiselle nie jest osobą bliską. Choćby dlatego, że mówi obcym językiem, który dziewczynka z trudem pojmuje. Czy może być

bliską osobą, która zamiast „kochanie“ mówi „chère“, a zamiast słodkiego zdrobnienia używa obcego dźwięku „Madelaine“, zwracając się do małej, bardzo małej Madzi.

I jeszcze — mademoiselle Jeanne jest wysoka, bardzo przewraca oczami, a mówiąc, toczy straszliwe „rrr“, brzmiające, jak koła wozu na bruku z kamieni.

To wszystko jest smutne i obce dla Madzi, która sepleni z powodu utraconego zęba, która nie umie stawiać tak dużych kroków na twardym asfalcie i która bardzo tęskni za domem.

A teraz dziewczynki wracają. Przechadzka po mieście jest wielkiem świętem, odbywa się tylko raz jeden w tygodniu, co czwartek. W tym dniu skrócono lekcje o całą godzinę, a Mademoiselle zostaje o całą godzinę dłużej „avec ses petites élèves“. Wtedy to idą parami, zawsze w tym samym porządku. Wysokie, duże dziewczynki na przedzie, na samym końcu Marja-Magdalena, najmłodsza.

Dlatego, że jest najmłodsza, dlatego, że idzie na końcu, przypatrzcie się jej uważnie. Ma złote loki, wijące się dokoła twarzy i będzie kiedyś bardzo piękna. Zupełnie, jak inna Marja-Magdalena, wielka grzesznica, święta z obrazka.

A teraz posłuchajcie. Słuchajcie bacznie, bo wszystko, co usłyszycie, będzie się działo *in spe*. Ta cała historia o sześciu Marjach jest powiastką

przyszłości. Powstała w umyśle ludzkim i może zmienić swój kształt, zależnie od waszej woli.

Słuchajcie:

Korytarze klasztorne są ciemne i dusze młodych istotek tułają się po nich, jak błędne ogniki. Korytarze klasztorne są mroczne nawet wówczas, gdy się tam pali lampka oliwna, zawieszona wysoko.

Korytarze klasztorne są wszystkie jednakie, surowe i chłodne, a dusza każdej Marji jest inna, lecz wszystkie są gorące i jasne.

Posłuchajcie:

Grube mury klasztoru nie przepuszczają wieści ze świata, a Marja-Antonina z Marją-Heleną szepczą, wciąż szepczą sobie na ucho nowiny o życiu, kipiącem nazewnątr. Przy słowie miłość wykradzionem z zamkniętego słownika Tajemnic, twarz Marji-Antoniny blednie, a twarz Marji-Heleny oblewa się łuną rumieńca. Obiedwie tęsknią za czemś nieznanem, o którym wiedzą tylko że istnieje, tam, za murami, na wielkim, bujnym świecie. Rodzice Marji-Heleny są bardzo bogaci, a rodzice Marji-Antoniny są prawie biedni. Ale obie dziewczynki łakną tak samo. Nienasycone są i pragną się upić nektarem życia.

Marja-Helena ma siostrę, która wychodzi za mąż, a Marja-Antonina ma kilku braci, z których jeden się właśnie ożenił. Przyprowadził do domu rodziców młodą dziewczynę i rodzice pobłogosła-

wili mu. To było w czasie świąt. Marja-Antonina widziała miłość zbliska. Widziała ją w oczach młodej dziewczyny i w oczach swojego brata. I wszystka krew ściekla jej do serca, tak, że policzki stały się blade, a serce, nabrzmiałe krwią zaczęło bić mocno, mocno, mocno...

Siostra Marji-Heleny jest smukła, wiotka, jak lodyga lilji w ogrodzie. Nosi na palcu piękny pierścionek z drogim kamieniem i czasem, patrząc nań, wzdycha. Czyni to tylko wówczas, gdy sądzi, że jest zupełnie sama, ale Marja-Helena słyszała takie westchnienie i widziała dwie duże łzy w oczach swej siostry... Łzy większe, niż kamień w pierścionku. I Marja-Helena wie teraz, że siostra kochała innego. Wtedy nie miała w oczach łez i śmiała się bardzo wesoło. A Marja-Helena dość się nadziwić nie może, bo tamten człowiek był brzydki i chory i nie miał wcale majątku. I umarł. A narzeczony siostry jest piękny, jak sama miłość, — miłość, która przyjeżdża powozem, zaprzężonym w rosłe taranty.

Teraz brat Marji-Antoniny pracuje bez wytchnienia, pracuje ciężko na chleb dla siebie i dla swej młodej żony, która mu obiecała dać syna.

A u rodziców Marji-Heleny cztery krawcowe szyją w pośpiechu cienką bieliznę, przeznaczoną dla młodej oblubienicy. I całe mieszkanie pełne jest kwiatów, codziennie świeżych.

Kiedys dwie małe dziewczynki, dwie Marje, wyjdą z cichego klasztoru. Wyjdą przez długi, ciemny korytarz w świat, pełen blasków słonecznych i szarej nędzy. Twarz Marji-Antoniny nabierze wówczas rumieńców zdrowia w małym mieszkanku. Rozbrzmiewa ono szczebiotem dzieci szczęśliwych, a dłoń matczyna kraje na równe kromki chleb, żeby dla wszystkich starczyło. Ktoś miły, drogi sercu Antoniny weźmie ją łagodnie za rękę i poprowadzi do swoich rodziców, by mu błogosławili. I będzie tak samo, jak w domu braterskim: szczebiot dziecięcy i słońce w małym mieszkanku. A Marja-Antonina, krając na równe kromki swój chleb powszedni, pomyśli:

— Życie jest takie proste i jasne!

W tym samym czasie Marja-Helena goni ostatkiem sił za złudą szczęścia. Słowo *M i ł o ś ć*, skradzione w słowniku Tajemnic brzmi często fałszywie i obco. Ludzie są nieraz smutni i śmieją się nieszczerze. A taki śmiech, gdy mu w ukryciu towarzyszy westchnienie, — męczy i boli. Ktoś szepnął: „kocham“..., ktoś inny: „nienawidzę“ — a wszystko było kłamstwem.

W pogoni za majakiem, w pogoni za własną omyłką traci Marja-Helena ostatki sił. Z głębi pięknego powozu uśmiecha się nieszczerze do ludzi obojętnych, którzy kłamali. Dusza jej kona

powoli w blasku sztucznych mamideł, a za nim skona, znękane wargi szepną:

— Życie jest takie zawile i szare...

W cichym klasztorze Marja-Teresa żegnała przyjaciółkę dziecinnych lat. Matki Wielebne uśmiechnęły się do niej po raz ostatni z za kraty. Marja-Teresa powraca wreszcie do swego zakątka, do grządek petunii i do młodziutkich drzew owocowych, które się bardzo rozrosły. Rozrosła się też bujna dusza tej Marji, a serce przepelnia miłość ku ziemi i wszelkiemu na niej stworzeniu.

O, jakże słodko widzieć słoneczne promienie, grające na płatkach kwiatowych wszystkimi barwami tęczy! O jakże słodko słyszeć brzęczenie pszczoł i dźwięk oselki kosiarza! Życie jest piękne, świat jest cały słoneczny, — słoneczne jest serce ludzkie, w którym mieszka miłość wszechrzeczy!

Piękne jest życie Marji-Teresy. Piękne, stubarwne i śpiewne. Stało się częścią wielkiej symfonii ziemi, która jest tworem Boskim.

Marja-Jadwiga nie powróciła do swego wielkiego miasta za morzem. Klasztor ma ciszę, w której dusza odpoczywa po zgiełku świata. W klasztornej celi panuje mrok, w którym odpoczywają zmęczone jaskrawym światłem oczy.

Marja-Jadwiga nie zatęskniła do niebosiężnych kamienic, co się kołyszają i drgają od huku, stuku i szumu ulic, wezbranych falą ludzką.

Marja-Jadwiga zostanie w cichym klasztorze do końca swych dni, które ktoś Wielki i Możny przeliczył.

Zgasła dla świata i żyje tylko dla Twórcy świata. Imię jej od tej chwili: Siotra Beatrix.

— — — — —

A Marja-Magdalena? spytacie. Gdzież owa jasnowłosa dziewczynka, która tęskniła do rówieśniczki i była radością wszystkich? Czyżby nie miała swojej historii *in spe*?

Nie zapomnieliście więc o niej... To dobrze. Bo mała Madzia nie ma powiatki o swoim życiu. Umarła.

Tak, wiercie mi, umarła. Nim nauczyła się czytać poprawnie, zanim posiadała kunszt francuskiego języka, zanim straciła nowy ząbek, zanim urosła na cal, — umarła.

Wszystko się stało nagle, prawie tak, jak obwieszczono wam o tem. Madzię chwyciła w swe szpony straszna choroba, ta, która zabiera rokrocznie dzieci silne i wątłe, rumiane i blade: Szkarlatyna.

Nie przeniknęła przez grube mury klasztorne, nie wdarła się przemocą przez podwójne, okratowane drzwi. Madzia wyszła naprzeciw niej do-

browolnie. Było to w jakiś czwartek. Wszystkie dziewczynki szły grzecznie parami, jak zwykle w ten dzień, na miasto. Była tam jeszcze Marja-Helena i Marja-Antonina i obie Marje z dwóch półkul ziemi... A Marja-Magdalena szła, prowadzona za rączkę przez Mademoiselle.

I wtedy stało się własne. Na progu brudnego domu, siedziało brudne dziecko płaczące. Dziewczynka. Płakała, bo była głodna, a była głodna dlatego, że zapomniano o niej. Tam, w suterynie głębokiej leżało pokotem jej własne rodzeństwo, kilkoro dzieci, trawionych gorączką. Stara kobieta poila chore maleństwa wodą z wyszczerbionego dzbanuszka, a zdrową dziewczynkę wygoniła precz z izby, aby nie zabierała miejsca.

Tę małą dziewczynkę pocałowała Madzia w policzek. W brudny i mokry od łez policzek. Wy-rwała drobną rączkę z uścisku Mademoiselle i ucałowała obcą dziewczynkę, bo tamta miała też jasne włoski, jak ona, zapewne tyleż lat, co ona i była równie samotna, jak ona...

I tu się kończy historia. W infirmerji klasztornej, w białym lakierowanym łóżeczku, wśród lekarstw, poustawianych na niskim stoliku, w obecności jednej z zakonnice kończy się historia Marji-Magdaleny.

Czy was to smuci naprawdę? Pomyślcie chwilę. Wszystko się jeszcze stać może inaczej. Przecież to jest powiatka *in spe*... Malutka Madzia urośnie

i będzie dorosłą Marją-Magdalena. Czy chcecie tego koniecznie? A czy już zapomnieliście o tem, że życie ludzkie jest krótkie, istotnie krótkie, zabawnie krótkie i wątłe?...

Jest ono zawsze, jak pierwsza lepsza powiastka z takim, lub innym epilogiem. Czy musicie koniecznie wiedzieć, że mała dziewczynka wyrosła na piękną lub brzydką, że była dobra, lub zła?... Dlaczego? Mała dziewczynka umarła i został po niej tylko obrazek. Spójrzycie na te rysy dziecięce: nie mówią nic. Mogła wyrosnąć Grzesznica lub mogła wyrosnąć Święta.

Bóg, który wszystko wie, położył na tym obrazku wszechmocną dłoń i przyszłość stała się niewidoczna dla oczu naszych.

Nie widzę nic... Kto mi zaręczy, że Marja-Teresa żyć będzie zawsze wśród pszczoł i kwiatów, a Marja-Jadwiga zostanie siostrą Beatrix w klasztorze? Więc Antonina była szczęśliwa a Marja-Helena straciła wszelką nadzieję? Zmieńcie imiona — przestawcie je — czyż się coś zmieni? Ożywcie małą dziewczynkę... Czyż na jej miejsce inna nie skona w tej chwili?

Bo czyliż wiemy, co się stać może *in spe*?

— — — — —
Więc jak to było? Wracają z przechadzki parai. Ostatnia kroczy Marie-Jeanne, francuska Mademoiselle. Odprowadziła swe wychowanki. Że-

gna je teraz wesoło u furty klasztornej. Do zobaczenia, do jutra!

Słońce powoli się zniża, — niebawem zajdzie. Mademoiselle Jeanne daje ostatni znak ręką, ostatni uśmiech posyła dziewczynkom z klasztoru. Śpieszy teraz gdzieindziej, na inne lekcje, w przeciwny koniec miasta. I tak codziennie. „Życie jest krótkie... La vie est brève, eh, bien, que faire?“ — myśli panna Marie-Jeanne, śledząc wskazówki zegara na ratuszowej wieży. Przyspiesza jednak kroku. Tam, w innym domu czekają inne dziewczynki. Inna Helenka, inna Terenia, inna Jadwinia...

Wieczorem nauczycielka wraca do siebie. Jest coraz starsza, coraz trudniej wbiega po schodach. Co robić? Życie ucieka...

— Jutro... — myśli Marie-Jeanne, przymykając na chwilę te duże, czarne oczy, które przez cały dzień rzucały bystre, wesołe spojrzenia. — Jutro...

W tej chwili czeka ją jeszcze przegląd kajetów. Nowa, mozolna praca. A jutro zapewne tak samo...

Zmęczonym ruchem wieczysta Mademoiselle opiera się o poręcz krzesła. Ręka jej błądzi przez chwilę po powierzchni zarzuconego papierami stołu. Wreszcie natrafia na małą, zniszczoną książeczkę.

I Marja-Janina czyta półgłosem, skandując:

Ne dites pas: la vie est un joyeux festin; *)
 Ou c'est d'un esprit sot ou c'est d'une âme basse.
 Surtout ne dites point: elle est malheur sans fin;
 C'est un mauvais courage et qui trop tôt se lasse.

Riez comme au printemps s'agitent les rameaux,
 Pleurez comme la bise, ou le flot sur la grève,
 Goûtez tous les plaisirs et souffrez tous les maux;
 Et dites: c'est beaucoup et c'est l'ombre d'un rêve.

SIOSTRA MIRIAM

Przekład St. Miłaszewskiego.

*) Jean Moréas: *Les Stances*. (I-er Livre, XI).
 Nie mów: życie rozkoszą upaja i rzeźwi;
 Pustych głów i dusz podłych godne takie brednie...
 Lecz klęską nieustanną życia także nie zwij,
 Bo ludzkie męstwo mdle jest, tchórzy wnet i błednie.

Śmieję się, jako gałązka, co z wiosną szeleści,
 Płacz, jako fala płacze; na wiatr rzuć westchnienia;
 Zakosztuj wszystkich uciech i wszystkich boleści
 I mów: to bardzo wiele... i mów: — to cień cienia.

Drzwi celki skrzypnęły lekko, ale chora usłyszała szelest i usiadła na łóżku.

— Czy to siostra Amata? — spytała, wlepiając rozszerzone źrenice w gęsty mrok.

Z głębi ciemnego pokoju odpowiedziano:

— Nie, to ja, matka Perpetua. Matka Wielebna przysłała mnie, nie mogąc przyjść sama. Czy siostra spała?

— Nie.

— Czemu tu ciemno? Matka Wielebna zostawiła przecież świecę, żeby siostra mogła pomodlić się z książki, jeżeli nie zdoła usnąć. Czy świeca się już wypaliła?

— Zgasilałam ją sama, — odparła cicho siostra Miriam, kładąc głowę na wąskiej poduszce. — Myślałam, że usnę, ale nie mogłam... Czy to już bardzo późno, siostrzo?

— Matko, — poprawiła zakonnica, szukając na krzeselku zapalek.

— Nie, niema tu zapalek! — rzekła wówczas Miriam. — Matka Wielebna zabrała je, wychodząc. Dlatego leżałam po ciemku. Czy to już bardzo późno, Matko Perpetuo?

— Za dwie godziny zadzwonią na jutrznię. Może siostrze co podać?

— Gdyby Matka była tak dobra i zapaliła światło?...

Matka Perpetua skierowała się ku drzwiom, zawadzając w ciemności fałdą habitu o klęcznik. Kroki jej rozlegały się jeszcze przez chwilę na korytarzu, potem nastąpiła znów głucha cisza. Siostra Miriam westchnęła i poczęła wsłuchiwać się w tętno własnego pulsu.

— Jak bije! Jak mocno bije... — szepnęła, licząc głuche uderzenia krwi, przepływającej z serca do rąk wysmukłych i białych.

Kroki rozległy się znowu za drzwiami i weszła Matka Perpetua z ogarkiem świecy w lichtarzu. Postawiła światło na małym stoliku i zwróciła się ku chorej.

— Jakże się siostra czuje? — spytała, ale w tej chwili, dojrawszy silne wypieki i wielkie, ponad miarę rozszerzone źrenice, dorzuciła:

— Siostra ma znowu większą gorączkę.

Siostra Miriam uśmiechnęła się smutnie:

— Proszę niech Matka dotknie tylko pulsu! — I wyciągnęła ku niej rękę, z której zaniechanie nie zdołało zatrzeć śladów niezwyklej piękności.

— Nie jestem lekarzem, — odparła spokojnie matka Perpetua, nie zwracając uwagi na ten gest, — pulsu liczyć nie umiem, widzę tylko, że siostra ma twarz rozpaloną.

— Och i twarz i całe ciało... — jęknęła Mi-

riam, — ogień mię trawi. Zupełnie, jakby tam, wewnątrz piersi płonęło wielkie ognisko.

Stara zakonnica zwróciła się ku wyjściu.

— Matka odchodzi? — zawołała pośpiesznie chora, siadając na posłaniu.

— Chciałam przynieść siostrze coś do picia. Siostra musi czuć pragnienie?

— Nie, nie! Proszę, niech Matka zostanie! W kubeczku jest trochę wody... Niech Matka zostanie ze mną! Tyle czasu byłam zupełnie sama...

— Nikt z nas nie jest ani przez chwilę sam, — rzekła Matka Perpetua surowo, — bo zawsze jest z Bogiem.

— Tak... prawda... Ale, kiedy leżałam w ciemności, z ogniem, trawiącym ciało, miałam wrażenie, że i Bóg mię opuścił.

— Bóg nie opuszcza wiernych swoich.

— A jednak opuścił mię, opuścił! — zaprzeczyła namiętnie Miriam, składając suche i rozpalone ręce, jak do modlitwy: — Opuścił mię, chociaż modliłam się, aby pozostał ze mną... Tak strasznie się bałam! Przez okno padał odbłask księżycy... Czy księżyc świeci jeszcze, Matko? Sine, trupie światła poczęły snuć się po ścianach... Modliłam się i płakałam... Zmówiłam wszystkie modlitwy, jakich mię nauczono od dzieciństwa i te, które nieuczenie z ust płyną... A przecież Bóg nie przychodził i czułam, jak bardzo jestem sama w tej pustej celi, z bladymi cieniami księżycowe-

go światła na ścianach... Matko Perpetuo! Matko Perpetuo!

— Czego siostra tak krzyczy? Siostra rozbudzi cały dom! Siostra jest chora i powinna starać się usnąć, poleciwszy się opiece Boskiej. Jeżeli siostra będzie tak głośno wołać, pójdę sobie.

— Nie, nie... — przerwała z lękiem Miriam. — Niech Matka nie zostawia mnie samej!

Po chwili milczenia, przerywanego szeptem starej zakonnicy, odmawiającej różaniec, zaczęła nieśmiało, jakby do siebie tylko:

— To tak smutno leżeć w celi wilgotnej i wybielonej, jak grób... Nie wiedziałam, że można tak tęsknić za ludźmi i słońcem... Ja wiem, Bóg jest wszędzie, lecz mi się zdaje, że chętniej przebywa na polach, zalanych potokami światła, wśród zieloności, która pije rosę poranną, niż tutaj w murach głuchych, w ciemnicy, ziejącej stęchlizną... Bóg kocha piękny swój świat, który stworzył... Oddzielił Jasność od Ciemności, powiedział: „Stań się światło!” I stało się światło... Blaski słoneczne zalały ziemię i wszystkie stworzenia żyjące złożyły hołd Panu, a z mroków śmieją się tylko szatani, wrogowie słońca... O Jezus! Zamknięto mnie w tej celi ciemnej i pustej... Dlatego tak bardzo się boję...

— ..teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen — przesunęła Matka Perpetua ziarnko różańca. —

Grzech słuchać, co siostra wygaduje. Pacierzeby lepiej mówiła siostra.

— Ja mówię pacierze, Matko. Czy koniecznie trzeba powtarzać słowa z ksiąg nabożnych, by wielbić Boga? Bóg jest dobry nieskończenie i każdą modlitwę zrozumie, gdy zechce...

— Od tego, co siostra mówi, krok tylko do herezji. Grzech słuchać nawet! Siostra ma gorączkę, majaczy widać...

— A tak, mam gorączkę, majaczę, Matko Perpetuo! O, proszę dotknąć moich rąk, jakie rozpalone!

— Prawda, — przytwardziła tamta, niechętnie dotykając wyciągniętych ramion, które nawet przez grube płótno koszuli, sięgającej aż po kciś, zdawały się palić żywym ogniem.

— Całe ciało w płomieniach! — powtórzyła znów Miriam, żałośnie. — Jestem bardzo chora, Matko... Może umrę? — utkwiała nagle rozjarzony wzrok w zwiedłem obliczu zakonnicy.

Matka Perpetua pokiwała głową posepnie:

— Wszystko jest w ręku Bożem. Dlatego modlić się trzeba każdej godziny o śmierć szczęśliwą. Zbawiciel pozwoli, by siostra doczekała chwili, w której wielebny Kapelan z Panem Bogiem...

— A! Więc mogę umrzeć niedługo!... Umrzeć... umrzeć... — powtórzyła siostra Miriam, jak gdyby starając się zrozumieć to słowo. Po chwili szepnęła spokojnie, niemal z rezygnacją:

— Chciałabym przynajmniej dożyć do rana umierać we dnie, wtedy, kiedy jest słońce... Matko Perpetuo, w tej celi jest tak brzydko nocą, a o świcie pada przez okno ukośny promień słońca, o, tam, na lewo! Jedyne promień, który prędko gaśnie, bo słońce przesuwają się ku górze i opuszcza na cały dzień zakratowane okienko...

— Będzie, tak, jak się Panu Bogu spodoba. Siostra za wiele myśli o sobie.

— Tak, tak, to prawda. Za wiele myślę o sobie... Czy Matka nigdy nie pomyślała o sobie, odkąd jest w klasztorze?

— Nie wiem... — odparła zakonnica niepewnie, — staram się... starałam się nie myśleć...

— Ile lat Matka jest tutaj, za kratą?

— Trzydzieści dwa lata służę Panu Bogu.

Siostra Miriam westchnęła głęboko.

— Niech mi Matka, proszę, poprawi trochę poduszkę... Ciężko mi oddychać. O tak, dziękuję...

— Trzydzieści dwa lata! — szepnęła po chwili.

— Trzydzieści dwa lata! To długo... Strasznie długo. A ile Matka miała lat, wstępując?

— Dwadzieścia. Możebyśmy, siostró, odmówiły razem litanję do Serca Jezusowego? Widzę, że siostra może mówić z łatwością.

— Rozmowa mnie nie męczy, tylko myśli. Dobrze, zmówmy litanję. Ale przedtem chcę spytać jeszcze o jedno: Matko Perpetuo... czy wówczas,

przed trzydziestu laty, Matka czuła tak samo jak teraz?

— Nie rozumiem siostry. O co chodzi?

— Nie... szepnęła znów Miriam, jakby do siebie, — Matka nie pomyślała nigdy, że takie strasznie, strasznie długie lata ma przed sobą. Obcięli Matce włosy przy skórze, oblekli matkę w habit.... Zapadła z głuchym jękiem krata w kaplicy... Na pewno nie pomyślała Matka, że to na zawsze. Matka nie pomyślała o tem nigdy, przez trzydzieści lat...

— Szłam do klasztoru z powołania. Przecież i siostra tak samo...

— O, tak! Tylko mi przez jedną, krótką chwilę było ogromnie włosów żal. Miałam włosy lśniące i długie... do kolan... Moja mama lubiła je czesać, nawet, gdy byłam już dużą dziewczyną... Z temi włosami ciężko mi się było rozstawać... Chwilę, krótką chwilę trwał ten żal, Matko Perpetuo...

— O znikomych rzeczach myśli siostra. O marnościach świata.

— Ja wiem. To była jedna krótka chwila. Czy i wtedy, gdy chłodne nożyce dotknęły skóry, nie drgnęła w Matce myśl świecka?

— Z łaski Pana Boga miałam duszę wezbraną szczęściem zbyt wielkiem, by o czem innem myśleć, jak o życiu, które się otwiera przede mną. Możebyśmy zaczęły litanję?

— Matka musiała nie mieć pięknych włosów..
— szepnęła Miriam prawie niedosłyszalnie. —
Mówmy litanję, — dodała głośniejszym głosem i poprawiła
się na pościeli, składając ręce.

— Nie mogę klęczeć, — rzekła, — nie mam sił.

— Bóg wysłucha modlitwy, byle z serca od-
mówionej.

— Z serca... Matko Perpetuo, czy każdy czło-
wiek ma serce?

— Co siostra znów...

— Mówię w przenośni! — odparła żywo Mi-
riam, — o tem sercu, którem się kocha wszystko
i wszystkich, Boga i ludzi, świat, słońce, powie-
trze...

— Chryste Elejson...

— Kyrje Elejson, Chryste Elejson... — z re-
zygnacją odpowiedziała chora.

— Chryste, usłysz nas!

— Chryste, wysłuchaj nas...

— Ojcze z nieba, Boże!

— Zmiłuj się nad nami...

— Synu Odkupicielu świata, Boże!...

Niebo poczęło sinieć na wschodzie. Na tle szyb,
prześwietlonych od zewnątrz, zarysowały się wy-
raźnie grube i mocne kraty, zasnuwające okno.
Z dołu, z wnętrza kaplicy klasztornej rozległ się
cienki głos dzwonka, wzywającego na pierwsze
modlitwy. Słowa litanji rozbrzmiewały teraz przy
akompaniamencie kroków, tu i tam stukających

sandałów, które uderzały rytmicznie w kamien-
ną posadzkę korytarzy.

— Serce Jezusa, zbawienie ufających w To-
bie... Serce Jezusa, nadziejo w Tobie umierają-
cych...

— ...zmiłuj się nad nami... — odpowiadała Mi-
riam coraz ciszej.

Ogarnęło ją wielkie znużenie. Gorączka widocz-
nie opadła, bo twarz chorej pokryła się blado-
ścią i kroplami potu, spływającymi wzdłuż zapa-
dłych skroni.

Dopowiedziawszy ostatnie słowa, leżała cicho
i bez ruchu. Długie, czarne rzęsy rzucały cień
półkolisty do połowy policzków. Ręce spoczęły
nieruchomo na szorstkiej powierzchni wełnianego
koca, który, łamiąc się w sztywne fałdy, zatra-
cał kontur wysmukłego ciała.

Matka Perpetua, nie wstając z klęzek, spytała
nagle, bardzo cicho:

— Czy siostra śpi?

— Nie, — odparła Miriam, — nie śpię.

— Już dawno dzwoniono na pacierze... Czy sio-
stra potrzebuje czego?

— Proszę, niech Matka zejdzie do kaplicy.
Przestałam się obawiać... Strach odbiegł mię... Je-
zus, nadzieja umierających, powrócił i nie opuści
mnie więcej...

— Sprowadzę, jak można najwcześniej księdza

kapelana! — rzekła stara zakonnica głosem niespokojnym.

— Matka się boi, że umrę bez księdza? Nie. Jeszcze nie umrę, jeszcze nie... Tutaj się nie umiera tak prędko. Muszą przejść lata, dużo lat...

Matka Perpetua potrzęsła głową z politowaniem.

— Bóg siostrze wybaczy te słowa! — odparła, siląc się na ton serdeczny. — I wesprze siostrę i umocni na duchu. Siostra jest jeszcze bardzo młoda.

Wychodząc, zdmuchnęła ogarek świecy w lichtarzu. Wnętrze celi nappełniała już jasność błękitna, charakterystyczne światło, poprzedzające brzask.

— Niedługo wejdzie słońce i pierwszy promień ukośny padnie na ścianę! — pomyślała Miriam.

Leżała długi czas, przymknąwszy znowu oczy, nieruchoma i biała w swoim zakonnym czepeczku, okalającym twarz, wymęczoną długim cierpieniem i bezsennością... — Umrę niedługo... przemknęło jej znowu przez głowę i nagle uczuła ogromną żalność na myśl, że pochowana zostanie w tych murach, a nie na cmentarzu przy większym kościółku, gdzie złożono trumnę jej matki. Nigdy, nigdy przedtem nie zastanowiła się, że podobna myśl może zabołec, jak pchnięcie sztyltem. Czyż to nie wszystko jedno, gdzie ją zagrzebią? Ale wspomnienia zbudzone furknęły, jak

ptaki i pierzchły wszystkie ku stronom rodzinnym; pouisały, niby gromadki jaskólek-oknówek, na zrębach białego dworku, jęły się tulić pod zmurszałym dachem, zziębłe, zmęczone daleką podróżą w przeszłość...

...Oto idzie miedzami wśród zbóż, falujących dojrzałym kłosem pani wysmukła o twarzy przeźroczystej i słodkiej, a przed nią biegnie dziewczynka, krótko ubrana. Włosy jej, splecione w warkocze, sięgające kolan, migają w powietrzu, jak dwie ciemne, a połyskliwe wstęgi.

Anulka było jej imię na świecie, a do wysmukłej pani mówiła: „Mamo“ — i to słodkie miano powtarzała, jak najpiękniejszy refren po każdym zdaniu, splecionem z bylejakich słów...

— Jak pachnie zboże kwitnące, mamol! Jak pięknie śpiewają skowronki, mamol! Jaki świat jest cudowny, mamol, mamol! — śpiewała radosny hymn szczęścia, goniąc roziskrzonym wzrokiem motyle, obłoki na niebie, fale rozedrganego powietrza, w którym pył kwietny wibrował, niby rozpylone w drobnouchne cząsteczki drogic kamienie...

...Oto stoi wysmukła, biała ubrana dziewczyna w sadzie, tak śnieżnym, jak jej sukienka, od czerśni i grusz kwitnących. Gałęzie, przeładowane niemal kwiatami, chyła się zlekka ku ziemi, a ona wtula twarzyczkę w wilgotne, wonne płatki. Dziś była od rana w kościele i przystąpiła do Komunii

Świętej z sercem, przepelnionem jedyną prośbą: „Żebyś, o Panie, mamie dał zdrowie... Żeby mamie!“ I czuje i wie, że Bóg nie zechce odmówić błagalnej modlitwie ust, prawie dziecięcych... Matka ma się lepiej, jest silniejsza i nie tak błado wygląda jej twarz w obramowaniu gładko zaczesanych włosów.

...Oto siedzą dwie kobiety w pobliżu kominka, na którym ogień z trzeszczącą uciechą pożera, jedno po drugim, brzozowe i olchowe polana, spiętrzone w misterny stos. Gdzieś za podwójną przegrodą szyb, wiatr przeklina szarugę i ciemność, a dwie kobiety, grzejąc ręce przy ciepłym ognisku, gwarzą na temat przyszłości.

— Gdy umrę... — mówi matka głosem przyciszonym.

— Nie mów tak, mamó! Nie rozłączymy się nigdy!

— A jednak umrę, Anulko, a wtedy zostaniesz tu sama... Dlatego mi cię żal, córuchno moja...

— Nie mów tak, mamó! Nie mów tak, mamó!... — powtarza wkółko dziewczyna, a krople łez, płynących z oczu, żarzą się w blasku płomienistych języków, jak rzadkie, różowe perły i tworzą właściwą melodię cierpienia przy monotonnym akompaniamencie słów...

...A jednak przyszło. Spodziewane oddawna, nieuniknione, nieodwołalne. Przyszło nie z pojęciem wichury jesiennej, lecz z pierwszym powie-

wem cieplejszych dni, w orszaku wiosny, powracającej z za morza. Z pierwszymi grudkami ziemi, padającymi na trumnę, dotarło do serca i pozostało w nim, jako jedyna obrona przeciwko zwątpieniu i pustce.

Dwa lata sprzeciwiał się stryj stanowczo serdecznej prośbie, jaką zanosila do niego sierota. Dwa lata przypatrywała się ze współczuciem stryjenka pobladłej twarzyczce, na której cierpienie zastygło w rezygnację istoty skrzywdzonej bardzo i niesłusznie. „Jesteś za młoda, — tłumaczył stryj, — nie możesz zrozumieć ważności takiego postanowienia. Przyjdzie spóźniony żal“. „A w duchu dodawał zapewne: „Takie warkocze przysłonić kornetem zakonnym! Takie palce wysmukłe zaplatać na poręczach klęcznika! Takie oczy odgrodzić od świata żelazną kratą klauzury!“

„Może ona doprawdy ma powołanie? Wychowana w odosobnieniu, wyrosła nie dla świata... Kto wie?“ przytakiwała stryjenka strumieniom sierocych łez. A gdzieś, w głębi duszy, za siódmą obłonką, legła się nadzieja, jak żabka zielona: „Ten dwór bielony wśród sadu byłby w sam raz dla mego chłopaka gdy ze szkół powróci i o małżeństwie pomyśli...“.

Więc po dwóch latach nie sprzeciwiał się już nikt, bo żona przekonała męża, iż grzechem byłoby odwozić sierotę od tak pobożnych zamiarów.

Zrobiono wyprawę. I ślubna suknia z białego atlasu tam była i wianuszek mirtowy i trzewiczki maleńkie na cienkiej podeszwie, „bo to na jeden raz, — Anulka w nich tańczyć nie będzie...”

Na posag złożyły się lany pszenicy i jęczmienia, który wyjątkowo w tym roku obrodził — i mały laszek brzozowy, do ostatniej gałązki wywieziony furmankami przez kupców. A reszta, co tylko wszędzie na polach, co się z łąk skosi, to już dla stryjostwa będzie od dzisiaj. „Bo mnie do końca życia nic więcej nie trzeba!” — przekładała Anulka stryjence, którą nagle opadły skrupuły.

Splakali się potem oboje stryjostwo na obłóczynach, ale wrócili do domu z pogodą w duszy. Rozniecilo tę pogodę ostatnie spojrzenie oblubienicy, schodzącej ze stopni ołtarza za kratę, którą zatrzęsnięto z hałasem, wedle zwyczaju.

I poszła siostra Miriam naprzeciw Chrystusa z radością spokojną, ufna i pewna, że tak było trzeba uczynić... tak właśnie.

Włosy, złożone w pokutnej ofierze i głuchy zgrzyt kraty kaplicznej i pierwsze zetknięcie z celą wilgotną i pustą — zbudziły niejasne drgnienie w skołatanem sercu, że coś przyszło, skończyło się bezpowrotnie. Ale ten smutek przelotny rozplynął się, jak mgła poranna, w słodkich promieniach modlitwy.

„Mamo, mamo! szeptała Miriam, widzisz, jeste-

śmy tak blisko siebie, że tylko dzieli nas śmierć Twoja. Ale ja śmierć otrzymam również z rąk Boga, będę więc czekać cierpliwie...”

A przecież łudziła się Miriam, że jej nic więcej do końca życia nie będzie trzeba! Trzeba jej było widoku pól rozległych i łąk, pokrytych stubarwną gamą kwietną. Przyszło znowu przedwiośnie i o mury klasztorne oparł się pierwszy wiatr ciepły, niosący w sobie wszystkie obietnice słoneczne. Rankami coś rozbrzmiewało w powietrzu, niby chór ptactwa, śpieszącego do gniazd opuszczonych. Niepokój wkraśl się w serce siostry Miriam i oplątał je tęsknotą, jak pajak oplątuje ofiarę w subtelnej, śmiercionośnej sieć.

— ...Qui tollis... qui tollis peccata mundi, dona nobis pacem... — śpiewały zakonnice na chórze, a głos Miriam załamywał się przy tych słowach i gasł w szepcie spieczonych gorączką warg. Była to rozpoczynająca się groźna choroba, którą uleczyć mogłoby jedynie słońce i wielkie, swobodne obszary pól.

Mały skrawek ogrodu, otoczonego wysokim murem i ścianami wielopiętrowych kamienic, zwiększał jeszcze wrażenie ciasnoty, podwajał to pragnienie zaczerpnięcia oddechu z szerokich, wolnych przestrzeni.

Z uśmiechniętą, jak sama dobroć, pogodną i słodką siostrą Amatą chodziła Miriam po tym ogródku, odgarniając rękoma resztki śniegu pod

murem dla przekonania się, czy chociaż jedna trawka wygląda z rozmarzłej ziemi.

—W lesie już są napewno przylaszczki! —mówiła siostra Amata, prosta dziewczyna wiejska z dobroduszną, rumianą twarzą, a Miriam czuła wyraźnie, że kocha tę siostrzyczkę więcej od innych, chociażby za to, iż kiedyś jednocześnie, choć zdala od siebie, witały wiosnę, mały figury święte przy drogach rozstajnych i sypały kwiatki w kościołach wiejskich, podczas procesji.

Pewnego razu, w ciszy nocnej wydało się siostrze Miriam, że słyszy klangor żórawi, ciągnących nad miastem. Leżała na wąskim łóżeczku, trawiona bezsennością od wielu, wielu godzin. W szept odmawianych pacierzy wdarł się ten dziwny, przeciągły jęk ptaków, lecących kędyś od morza, z krain słonecznych. W mgnieniu oka, nieprzytomnie, zerwała się Miriam z posłania, podbiegła ku oknu, otworzyła je i, czepiając się rękoma krat grubych, chłoneła w siebie milknące w oddali głosy. Szczękającą zębami zastał ją wczesny brzask w otwartym oknie.

Nazajutrz miała już silną gorączkę i w malignie wzywała gońców żórawich, by zadzwoniły jeszcze wiosenną pieśń powrotu.

Odtąd powoli wlokły się dni. Gorączka zmniejszała się i rosła znowu wieczorami, malując wybladłe policzki karminem. Od tygodnia nie opuściła Miriam łóżka.

— Umrę... umrę... — myślała teraz, patrząc zmęczonym wzrokiem na pierwszy promień słoneczny, różową smugą sączący się przez okno.

I nagle ogarnęła ją radość na przypomnienie, że w taki sam wiosenny dzień zamknęła oczy jej matka. Słońce świeciło przez zapuszczone firanki, a matka uniósłszy głowę z poduszki, prosiła:

— Otwórzcie okna na oścież! Przecież to kwiecień! Czy drzewa mają już listki, Anulko?

Więc biedna Anulka otworzyła obie połowy okna, a potem przyniosła i położyła na łóżku młodą gałązkę kasztana, brunatną od pąków nabrzmiałych.

— Tak, to już wiosna... — szepnęła teraz do siebie siostra Miriam i uśmiechnęła się słodko.

Z takim uśmiechem znalazła ją siostra Amata, która wsunęła się cicho do celi i oczami, czerwonymi od płaczu patrzyła długo na chorą, nie śmiejąc przemówić.

— Siostro... — odezwała się wreszcie.

— Ach, to ty, siostrzyczko! — rzekła Miriam łagodnie, podnosząc powieki. — Spałam.

— Siostro Miriam... Siostro Miriam! Matka Perpetua przysyła mnie właśnie...

— Matka Perpetua? Ach tak, prawda, Matka Perpetua... Powiedz mi, siostro, jedno... Powiedz mi, czy to naprawdę już wiosna?

— Tak, siostro.

— I... powiedz mi, siostrzyczko Amato... Kasztany mają brunatne pąki, prawda?

— Tak, siostrze. Ale matka Perpetua...

Chora odetchnęła głęboko, jak gdyby wielki ciężar spadł jej z piersi.

— To dobrze. Więc co matka Perpetua, siostrzyczko?

Młoda zakonnica odpowiedziała przerywanym głosem:

— Matka Perpetua poleciła mi oznajmić siostrze, że ksiądz Kapelan jest w klasztorze i że, jeżeli siostra zechce, mógłby natychmiast z Panem Bogiem...

Wówczas Miriam dźwignęła się na rękach, siadła na łóżku i przez chwilę patrzyła w rozsłoneczniony skrawek nieba, widzialny przez małe szyby okienka. Oczy jej nabrały niezwykłego blasku, ale nie był to płomień gorączkowy. Usta, rozchylone nieco, zdawały się powtarzać jakieś słowa, niedosłyszalne dla ucha.

— Siostrzyczko! — Ocknęła się wreszcie, odwracając głowę od okna. Mówiła tak cicho, że siostra Amata podsunęła się blisko, schyliła nad nią, aby zrozumieć.

— Otwórz okno, siostrzyczko! Naoścież... Naoścież... — a widząc wahanie w twarzy zakonnicy, dodała:

— Umierającym się nie odmawia.

Więc siostra Amata wspięła się na palce.

Zgrzytnęły zardzewiałe zawiasy w zakurzonej futrynie. Świeża, wonna i ciepła fala powietrza rzuciła się z zewnątrz i zapełniła pokój w jednej chwili.

— Aaa... — westchnęła przeciągle siostra Miriam, i odrzuciła głowę na poduszki. Usta jej rozchylone piły chciwie ów cudowny, wiosenny aromat, przenikający skądś od pól, pomimo spiętrzonych murów, pomimo kominów dymiących, pomimo ulicznego pyłu. Kredowo białe policzki zabarwił jakby cień rumieńca. Kąty ust zdawały się lekko uśmiechać.

— Gdzie ksiądz Kapelan? — spytała wreszcie, przypominając sobie nagle obecność młodej zakonnicy.

— Na korytarzu, siostrze... Czeka.

— Niech wejdzie! — odparła siostra Miriam głosem mocnym.

ZA SZKLANĄ SZYBĄ
(Z NOTATEK STAREGO SAMOTNIKA)

Codziennie o tej samej porze przechodzi ulicą błada, wątła dziewczynka, której nie znam.

Właściwie — to nieprawda. Nie znam tylko jej nazwiska. Co do imienia zaś — może się mylę — przypuszczam, że w domu wołają na nią Kazia, albo Mania. Raczej: Kazia.

Przechodzi więc sobie ta Kazia (niech jej tak będzie) między godziną szóstą a siódmą po południu, gdy słońce zaczyna rzucać ukośne, rude blaski na dachy wysokich kamienic. Bardzo wysokich, bardzo brudnych, bardzo odrapanych, chociaż dzielnica, w której mieszka moja Kazia, musi być o wiele nędzniejsza, a domy jeszcze starsze i grożące ruiną.

Wyobrażam to sobie doskonale: Niewielka, dwupiętrowa rudera z krzywym, zaciekającym dachem, ze ścianami ciemnymi od wilgoci. Kiedyś mógł to być wcale miły domek jakiegoś mieszczucha, który w sklepiku na dole sprzedawał różne smakoliki, albo piwo przyjeżdżającym ze wsi chłopom. Potem — ów mieszczuch wyniósł się dalej, do piękniejszej dzielnicy, albo nawet kupił sobie mająteczek pod miastem — kilka włók dobrej ziemi — zaś domek kupiły żydy za marne

pieniądze, bowiem już wówczas poczynił grozić ruiną.

A teraz mieszka tam Kazia. Mieszka ze swoją matką, albo z ciotką — co do tego waham się jeszcze. Wychodzi codziennie raniutko, bo droga daleka i wędruje poprzez wąskie uliczki ku coraz szerszym ulicom, poprzez chodniki, brukowane „kociemi łbami“ aż ku trotuarom z płyt betonowych. W tej dzielnicy niema już rynsztoków, pełnych brudnej, cuchnącej cieczy, przechodnie są lepiej odziani, a sklepy...

Otóż to. Sklepy są poprostu wspaniałe. Nic dziwnego, że Kazia zwalnia kroku. Chciałaby przystanąć przed każdym, przypatrzeć się dosyta tym wszystkim cudom za witrynami. Ale rano brak na to czasu. Trzeba śpieszyć do zajęcia. Zato wracając, idzie Kazia powolutku, zatrzymuje się i patrzy długo.

Nawprost mojego okna, tak, właśnie nawprost, mieści się skład obuwia damskiego. Bardzo elegancki sklep. Czego tam niema! Pantofelki lakierowane, błyszczące tak, że w każdym nosku można się przejrzeć, jak w lustrze.

Dziewczyna staje i patrzy. Nie widzę jej twarzy, widzę tylko szczupłe, nieco pochylone plecy i przetarty ze starości kołnierz żakietika. Pamiętam ten żakietik z czasów, gdy był jeszcze prawie zupełnie nowy. Teraz — Kazia wyrosła z niego, a materiał wyświecił się i wyblakł.

Widocznie Kazia bardzo mało zarabia. Ciotka (z pewnością jest to ciotka!) nie pozwala jej na zbytek nowego ubrania. Ot, w domu się wylata, zesztukuje, odczyści i jest co na grzbiet włożyć.

Chociaż w chwili, gdy Kazia przygląda się pantofelkom na wystawie, nie widzę wyrazu jej oczu, doskonale mogę sobie wyobrazić ten wzrok: Jest przedewszystkiem poządlivy, dziecięco poządlivy, a przytem trochę smutny. No, naturalnie...

Wreszcie Kazia odchodzi wolnym krokiem. Wydaje się jeszcze drobniejsza, a biała jej twarz, której nigdy zapewne nie opaliło słońce wiejskie, ma w sobie tyle tęsknoty! W tej chwili moja Kazia cierpi. Aż do bólu odczuwa brak tych pantofelków, które mówią z za szyby:

— Więc nie kupisz nas, ładna panienko? I dzisiaj także nie? Może jutro? W każdym razie wróć tutaj, aby chociaż popatrzeć na nas...

I Kazia wraca. Powoli robi się na świecie coraz cieplej. Słońce świeci daleko dłużej. Teraz dziewczyna przechodzi koło sklepu w białą dzień.

Nieraz mam wielką ochotę wychylić się z okna i krzyknąć:

— Dzień dobry! Cóż tam słyhać nowego? Tu, w moim ciemnym pokoju nie stało się nic godnego uwagi. Przybyło kilka stron uczonej rozprawy.

Ale szewc z przeciwka wystawił w swoim sklepie nową parę trzewiczków!

Moja Kazia już je spostrzegła. Stoją, błyszczące, maleńkie, strojne — a obok widnieje kartka z ceną. Dziewczyna spogląda na swoje nogi, obute jakoś nędznie w krzywe, znoszone buciska. Nie tyle brzydko, ile wprost śmiesznie wygląda w nich drobna stopa, tak drobna, że prawie dziecięca.

— Ładne ma nogi ta Kazia, — myślę, choć nie wypada staremu, poważnemu człowiekowi czynić podobnych uwag. Nawet w duchu...

Ale ot, tak jakoś, zauważyło się samo...

Nazajutrz — wiem dobrze — daremnie czekałbym pomiędzy szóstą a siódmą. Jest to niedziela i Kazia nie będzie tedy wracała z roboty. Wogóle nie zjawi się wcale. Ranek spędziła zapewne z ciotką, w kościele, u Bernardynów, albo może u Panny Marji, bo to chyba najbliżej.

Ciekaw jestem, co robi po południu. Popołudnia są teraz takie długie. Może poszła na spacer, daleko, brzegiem rzeki, a może siedzi u koleżanki. Gawędzą. O czym mogą rozmawiać jak nie o wydarzeniach wielkiej wagi: Więc pewnie o „Starej“, że przetrzymuje dziewczęta od czasu, gdy zważyło się tyle roboty. Więc pewnie o tym kawalku jedwabiu, który się gdzieś zawieruszył i takie piekło zrobili o niego. O czym może rozma-

wiać taka Kazia z koleżanką? Chyba jeszcze o nowej sukni, którą teraz właśnie szyją dla pięknej pani doktorowej.

Nie lubię niedziel. Są takie długie i nudne. Po ulicach włóczą się ludzie sennym krokiem. Wszyscy mają czas, z którym nie wiedzą, co robić. Sklepy pozamykane, nawet żaluzje pospuszczano, od słońca. Tylko mój szewc z przeciwka zmienił na święto wystawę, od góry do dołu. Kilka tuzinów pantofelków wdzieczy się do przechodnia. Krzyczą jaskrawymi barwami:

— Najświeższy fason! Najnowsze, paryskie kreacje! Krzyk mody!

Stała się dziwna rzecz. Dzisiaj o szóstej usiadłem w oknie otwartem. Punktualnie o szóstej. Mam dobrze idący zegarek. Moja Kazia nie zjawiała się, jak zwykle. Nie przegapiłem jej, to pewne. Znam już tak dobrze tę drobną figurkę, prawie dziecienną, tak drobną. Znam dobrze jej chód — jest bardzo charakterystyczny. Zresztą...

Głupia rzecz, oczekiwanie. Głupia i denerwująca. No, nie czekałem specjalnie na nią, to jasne. Lubię tylko wiedzieć, że wszystko jest po staremu. Lubię porządek i ład. Otóż do tego porządku na leży, aby Kazia zjawiała się, mniej więcej kwadrans po szóstej, na zakręcie ulicy. Potem powinna przystanąć przed wystawą, popatrzeć na „nowe

„kreacje“ tego znakomitego szewca. Potem — niech sobie idzie dalej. Powinna nawet iść dalej, prosto do domu. Młodym dziewczętom nie wypada zatrzymywać się co kilka kroków, przystawać, zupełnie, jakby czekały na kogoś. Przy najmniej, co do Kazi, uważam, że to byłoby niewłaściwe. Jest taka młoda...

Ile ona właściwie może mieć lat? Zaraz: do roboty chodzi już trzeci rok. Mogła mieć jakie czternaście. Nosila jeszcze krótką sukienkę. Chociaż — one teraz wszystkie noszą krótkie sukienki. Tak, ale siedemnaście skończyła już napewno. Może więcej.

Ciekawe, czemu nie przyszła dzisiaj? Może straciła zajęcie, a może chora? Jeżeli chora, nie będę nawet wiedział, co jej jest. Zasiadłem znowu do pisania, ale mi nie szło. Na dobitkę — zawieruszyły mi się bardzo potrzebne notatki... Szukając ich, przewróciłem kilka pólek „do góry nogami“. Co za pokłady kurzu!

Śmieszne, doprawdy, — ale jestem cokolwiek zły. Bądźcobądź — przyzwyczailem się widywać ją codziennie i lubię myśleć o niej, jak o dobrej znajomej.

Cały tydzień nie można było nosa na świat wysunąć. Co za plucha! Co za klimat przekłety! I pomysleć, że istnieją kraje, gdzie miesiącami nie pada deszcz.

Mojej Kazi jak niema, tak niema. Napewno chora. Ja sam czuję się jakoś nietego. Reumatyzm łupi, w stawach strzyka. Zaziębilem się we własnym domu. Wstrętny klimat.

No, przyszła dzisiaj. Mały włos, a byłbym jej nie poznał. Ma nową sukienkę i kapelusik z niebieską wstążką. Wygląda zupełnie dobrze, widocznie jest już zdrowa. Może nawet wcale nie chorowała.

I pracuje widocznie tam, gdzie dawniej. Przyszła zaraz po szóstej i stanęła przed swoją ulubioną wystawą.

Miałem wielką ochotę zapytać ją o powód tak długiej nieobecności, ale w samą porę przypomniałem sobie, że ona nie ma przecież pojęcia o mojej egzystencji. Co za dziwna sytuacja: w jej życiu nie jestem nawet przechodniem, którego się czasami spotyka o pewnej godzinie, na pewnej ulicy. Skądże mogłaby wiedzieć, że ją znam? Nie przyszłoby jej na myśl podnieść głowę, spojrzeć w okno pierwszego piętra tej dużej kamienicy, gdzie mieszkam od lat... ilu? Et, mniejsza z tem. Parę dziesiątków zebrało się, jak nic. Kiedy wynajmowałem to ciasne, brzydkie mieszkanie, Kazi jeszcze nie było na świecie.

Dziś znowu stała długo przed witryną. Dziwne stworzenia, te kobiety. Widocznie fatalaszki są im potrzebne do szczęścia, nawet sam ich widok sprawia przyjemność. Mężczyzna przystanie przed księgarnią, żeby zobaczyć co wyszło z druku, albo przed sklepem z konfekcją, jeśli ma zamiar kupić sobie koszulę. Wreszcie — przed sklepem kolonialnym, jeżeli wraca z biura głodny. Popatrzy, wejdzie, kupi, co mu potrzeba i na tem koniec. Jeżeli nie ma zamiaru nic kupić, zwykle nawet nie spojrzy...

A taka istota przygląda się, przygląda. Ot, moja Kazia: nic jej z tego nie przyjdzie, a ile czasu strawiła przed tą nieprzebytą, szklaną zaporą, pożerając oczami zbytkowne cacka, na które ją nie stać...

Żal mi dziewczyny. Nie dziw: ładniutkie to, miłe, pewnie i dobre. Młoda jest, chciałaby się ubrać pięknie... Takie na przykład pantofelki: drobiazg. Wejść, wybrać, zapłacić... Wchodzi jedna pani, druga pani, zabawi w sklepie kwadrans, albo i krócej. Wychodzi, a nóżki, jakby prosto z wystawy...

Chętniebym kupił Kazi którą z tych par: na przykład takie z zamszowej skórki, szare. Niechby cieszyła się niemi przez dobrych kilka tygodni. Myślałem nawet, jakby to zrobić, żeby jej nie urazić. Bo mógłbym ją urazić. A gdyby tak po prostu podejść kiedy i powiedzieć:

— Znam panią oddawna, chociaż tylko z widzenia. Proszę przyjąć od starego przyjaciela...

Et, głupstwo. I szkaradnie jakoś wygląda.

Widocznie coraz bardziej starzeję się. Dziecinne pomysły przychodzą mi do głowy.

— — — — —
No i proszę ja kogo. Moja Kazia ma nowe trzewiki z brązowej skórki. Paraduje w nich sobie, jakgdyby nigdy nic. Dzisiaj także przystanęła przed sklepem, ale tylko na chwilę. Popatrzyła w okno — potem na swoje nogi — i poszła.

Bardzo zgrabne ma nogi. Takie głupstwo, nowe pantofelki, a jak to dużo znaczy! Jakaś mi się wydała wyższa, nie urosła chyba przez noc? Wogóle — wydała mi się inna. Aha, już wiem: trzyma się prościej. Co to jednak znaczy ubranie. W swojej nowej, letniej sukience, w kapeluszu z niebieską kokardą i w tych zgrabnych trzewiczkach wygląda zupełnie szykownie. Pomyślałby kto: idzie jakaś wcale niczego kobietka.

A to przecież ta moja Kazia, którą znam od takiego, ot, skrzata...

— — — — —
Zaczyna mi się nie podobać jedna rzecz: Kazia wychodzi z pracowni wcześniej, niż zwykle. Wczoraj wracała z koleżanką, rudą i piegową dziewczyną. Rozmawiały głośno i śmiały się.

Pierwszy raz posłyszałem jej głos: miły, trochę niższy, jak sobie wyobrażałem. Ale ta koleżanka nie bardzo mi się podoba. Nie lubię rudych kobiet. Są przewrotne i zwykle trochę cyniczne. W każdym razie śmiech tej dziewczyny miał mocno niemiłe brzmienie.

A dzisiaj znowu — Kazia przeszła ulicą w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Jegomość średniego wzrostu w granatowym ubraniu. Idąc, wymachiwał laską o gałce z kości słoniowej i pochylił się ku swej towarzysze podczas rozmowy.

Ne zatrzymali się przed szewcem. Naturalnie. Wyglądali wogóle na ludzi, mocno zajętych sobą.

Ciekaw jestem, czy ciotka Kazi wie o tem? Powinna więcej interesować się, jakie znajomości ma jej pupilka. Nad takim młodem stworzeniem należy zawsze czuwać. Kto wie, co to za jeden i gdzie się z Kazią poznali?

Co za upał! Prostu oddychać niema czem. Już trzeci tydzień spada z nieba ten żar. Nie można chodzić po ulicach w południe. Chodniki parzą stopy. Z czoła pot spływa wielkimi kroplami. Człowiek otwiera usta, jak ryba — i połyka rozpalone węgle, zamiast powietrza. Okropny klimat, okropny. I pomyśleć, że istnieją na tej samej kuli ziemskiej krainy, gdzie nigdy nie taje śnieg!

Kazi nie widziałem oddawna. Naturalnie, spa-

ceruje ze swoim jegomościem, ale pewnie wieczorami, kiedy ja tego nie widzę i pewnie w parku, dokąd ja nigdy nie chodzę, bo tam, nawet w lipcu czai się wilgoć.

Nieznosna dziewczyna. Zdaje mi się, że rzuciła pracownię. I dlaczego, bardzobym pragnął wiedzieć? Teraz jest mało roboty, martwy sezon, ale tylko patrzeć, jak popowracają z letnisk ludziska i zacznie się ruch w magazynach. Jeśli Kazia rzuciła teraz zajęcie, to jej potem mogą nie przyjąć z powrotem. Mało to kandydatek czyha na każde miejsce?

I co ona teraz porabia całymi dniami? Gdzie się obraca? Przecież nie siedzi cały dzień w parku. Świętyby tam nie usiedział, w takie piekielne gorąco. Więc co? Wyjeżdża chyba za miasto? Z tym swoim fireykiem w granatowym ubraniu...

Nie podoba mi się ten pan. Nie podoba mi się. Sześć razy go widziałem. Sześć razy przeszli pod moimi oknami, bezczelnie zagadani, z takimi minami, jakby się znali od wieków. On ją trzymał pod rękę i szli stanowczo za blisko siebie. Tak nie chodzą porządne, szanujące się dziewczęta, które dbają o swoją opinię. Doprawdy, dziwię się, że Kazia...

Tak, ona właśnie. Gdyby chociaż domyślała się, jaką mi sprawia przykrość.

Moi sąsiedzi popowracali już z letnisk. Wszystkie służące chodzą rano na targ z koszykami. Ktoś się otrul kwasem siarczanym, u kogoś od maszynki zapaliły się story. Cztery fortepiany i patefon działają akuratnie od ósmej rano do dziesiątej wieczorem. Słowem — wszystko tak jak było, — życie płynie sobie starem korytem.

I na ulicy prawie to samo. Szewc znowu zmienił wystawę. Jesienne modele. Pensjonarki, wracające ze szkół około pierwszej, przystają przed sklepem. Niektóre, duże dziewczyny, chodzą jeszcze w skarpetkach. Opalone na miedź łydki świadczą o wakacjach, spędzonych nad morzem. Ulicznicy nauczyli się gwizdać modne tańce angielskie. Poza tem nic nowego. Tłum jest zawsze ten sam, szary, niezbyt ciekawy.

Kazi niema. Już tylko z przyzwyczajenia wyglądam o szóstej przez okno. Trzy lata widywałem ją codzien o tej samej porze — trudno się odzwyczaić przez trzy miesiące; powiedzieć sobie, że ona już nigdy nie przyjdzie.

Bo chyba muszę to sobie powiedzieć. Pusto mi jakoś i nieswojo. Przywiązałem się do tej dziewczyny. W mojem samotnem życiu nawet taka „znajomość“ była czemś cennem. Poświęcałem jej sporo myśli. Właściwie — wypełniała mi cały czas, wolny od pracy. A w miarę płynących lat, mam tego czasu coraz więcej. Nie mogę już tak wiele pisać, nawet czytanie mię nuży. Trudno —

zdaje się, że zrobiłem już swoje. Teraz sterany wiekiem organizm wchodzi w ostatnie stadjum przygotowawcze, przed wiekiustym spoczynkiem. Jedna, dwie książki, które jeszcze może dokończę — nie grają wielkiej roli. Twórczość moja jest już poza mną. Leży tam, na górnej półce. Siedem wielkich tomów oprawnych w skórę i kilkadziesiąt broszur, złożonych w chronologicznym porządku, tak, jak były pisane. Ciekawym, jak wiele straciłaby ludzkość, gdybym wogóle nie przekazał jej na piśmie moich naukowych doświadczeń?

Przez jedną, krótką chwilę widziałem dzisiaj Kazię. Był to rzeczywiście przypadek. O wpół do czwartej, może cokolwiek wcześniej, ulicznicy wszczęli bójkę tuż pod mojem oknem. Podszedłem, aby je zamknąć, bo właśnie robiłem jakieś ważne notatki i hałas na ulicy bynajmniej nie pomagał mi przy tej robocie.

Wychyliłem się, aby odsunąć haczyk. Na zakręcie ukazała się właśnie dorożka. Od niechcienia spojrzałem... W dorożce siedziała ona. Kazia, nikt inny. Nie mogłem się pomylić. Kazia w popielatym kostjumie, w kołnierzu z lisa, w modnym kapelusiku. Dorożka zatrzymała się przed moim szewcem z przeciwka. Przepraszam... przed n a s z y m szewcem.

Kazia wysiadła, zapłaciła, weszła do sklepu. Przez chwilę mignęły mi jej jasne, cienkie pończochy. Co za stary głupiec ze mnie... Gdy sobie teraz przypomnę, ha ha, doprawdy można się uśmieć! Narzuciłem palto i zszedłem na dół. Zdało mi się, że to wszystko trwało dwie, trzy minuty. Ale Kazi nie było już w magazynie. Podszedł do mnie właściciel, uprzejmie uśmiechnięty. Dwie sprzedające panny przypatrywały mi się z pełną szacunku ciekawością, gotowe w każdej chwili skoczyć na drabinkę i sięgnąć na najwyższą z półek. Właściciel sklepu spytał grzecznie:

— Szanowny pan życzy sobie...?

— Tak... tak... To jest, chciałem zapytać... Przed chwilą wyszła stąd jedna młoda osoba... Blondynka...

Któraś z panien podchwyciła natychmiast:

— W popielatym kostjumie?

— Tak, właśnie.

Zapanowało milczenie. Mój sąsiad ozwał się, chcąc mi widocznie pomóc:

— Zapomniała czego? Może pan szanowny...

— Nie, nie... Ja chciałem zapytać... Czy państwo nie mają przypadkiem jej adresu?

Schwyciłem krzyżujące się, porozumiewawcze spojrzenia.

— To znaczy... — tłumaczyłem — chciałem powiedzieć... Ja tę panią znam oddawna... Zapo-

mniałem tylko nazwiska... Cóż, starość, he he... Sądziłem, że państwo...

— Niestety, szanowny panie, dama ta nie jest naszą stałą klientką. Kilka dni temu była tu w sklepie, przymierzyła pantofelki, zostawiła za-datek, mówiąc, że się po nie zgłosi. Zabrała je przed chwilą. Oto wszystko, co wiemy o niej...

Ukloniłem się i wyszedłem. Zdaje mi się, że obie ekspedjentki wzruszyły lekko ramionami. Szczerze mówiąc, miały rację.

Deszcz pada, zmieszany ze śniegiem, na ulicy stoją kałuże. Pustka. Nieliczni przechodnie omijają je, klnąc zapewne pod nosem. Latarnie popa-lane, chociaż niema nawet szóstej. Wstrętny miesiąc, listopad. Gdzieś, o parę tysięcy wiorst za-ledwie, może w tej chwili świeci słońce. A tu — wielkimi krokami zbliża się zima.

Stanowczo nie mogę pracować po południu. Co ja robiłem o tej porze rok temu? Aha, siedziałem przy oknie, oczekując na przejście Kazi.

Mój sąsiad z przeciwka odnowił sklep. Kilkanaście lamp elektrycznych oświeca eleganckie wnętrze. Ciekaw jestem, czy Kazia przyjdzie tu jeszcze kiedy. Właściwie — nie jestem ciekaw. Nie chciałbym myśleć o niej. Wszystko, co teraz mógłbym pomyśleć, nie jest warte, aby tem sobie zaprzątać głowę.

A jednak, myślę — czasami.

Tylko nigdy nie widzę już tak wyraźnie, jak przedtem, biednego mieszkanka w dzielnicy staromiejskiej, ani Kazinej ciotki, krzątającej się około kuchni, ani nawet samej Kazi. Nie widząc jej, nie mogę sobie wyobrazić jej życia. Zresztą — po co? Wolalbym mieć pewność, że dziewczyna pracuje sobie, jak dawniej, ciężko zarabia na chleb. Na chleb, a choćby i na pantofelki zam-szowe.

Nie cierpię tego szewca z przeciwka. Prostu mam do niego odrazę. Czasami wydaje mi się, że to on pozbawił mnie jedynej prawie przyjemności w życiu: widywania mojej Kazi zdaleka, ale codziennie. Byłem już bliski wiary, że tę dziewczynę naprawdę od dziecka znam, że ją z oddali otaczam niewidoczną, ale sumienną opieką. I taka była milutka, w swoim wytartym zakieciku, biedactwo...

Mokłaby w taki dzień, jak dzisiaj, bo nie miałyby nawet pieniędzy na tramwaj.

— — — — —

A oto jak spadają z oczu ostatnie łuski złudzenia:

Kilka dni temu wracałem do domu późnym wieczorem. Naturalnie, wypadł znowu jakiś „wszechświatowy zjazd“. Zbiera się kilkudziesięciu, takich jak ja, siwych lub łysych jego-

mościów, urządzają posiedzenia, radzą... Radzą zawsze do późna, aby się wreszcie rozejść ku ogólnemu zadowoleniu.

Rozeszliśmy się tedy, powziawszy jakieś niewzwykle pono ważne uchwały. Było już blisko północy. Nie mogłem znaleźć dorozki, a zresztą — nawet nie chciałem. Cieniutka warstwa świeżo spadłego śniegu mile skrzypiała mi pod nogami. Przypomniały mi się różne takie „powroty“ z balików koleżeńskich, z wieczorów, spędzanych w teatrze, z jakichś odwiecznych zebrań rodzinnych... Kiedyś, w podobną do tej, noc, wracaliśmy z pasterki. Pamiętam doskonale: ja, obie siostry moje, brat, jacyś dalecy kuzyni, którzy zjechali do nas na święta.... Szliśmy gromadą. Dziwnie było wesoło. Zdaje się, że w owych czasach umiałem się śmiać bez przyczyny.

I teraz właśnie naprzeciw mnie ukazała się taka gromadka. Kilku mężczyzn i trzy kobiety. W miarę, jak się ku mnie zbliżali, śmiech zamienił się w kłótnię, padło kilka dość ordynarnych słów. Zatrzymali się, krzycząc coraz głośniejsze. Zwykła, pijacka banda. Chciałem ich wyminąć, gdy nagle w jednej z kobiet poznałem — Kazię. Była równie pijana, jak i jej towarzysze, mam wrażenie, że z trudem utrzymywała równowagę. Śmiała się głośno z krzyczących. Ujęła się pod boki i śmiała się. Kapelusze jej wpadał na oczy...

Nie rozumiem doprawdy, jak to się stało. Podszedłem, chwyciłem ją za ramię, odciągnąłem nieco w bok. Tamci nie zauważyli mnie nawet. Rzekłem spokojnie:

— Proszę pójść ze mną. Znajdziemy dorożkę. Odwiozę panią. Jakże tak można? Wstyd... Odwiozę panią do domu.

Patrzyła na mnie ze zdumieniem, pół-przytomnymi oczami. Nagle szarpnęła się gniewnie:

— Puszczaj mię, ty... Patrzcie go, jaki mądry!

— Odwiozę panią do domu, — powtórzyłem.

Widocznie była niezbyt przytomna, bo ozwała się z wahaniem w głosie:

— Co do domu? Gdzie do domu? Może do twojego, hę?

I nagle poczęła krzyczeć:

— A ty tu czego się mieszasz, stary? Prosił cię kto żebyś się do mnie czepiał? Widzicie go, pokrakę? To ty sobie myślisz, że ja tak zaraz z tobą pójdę, co? Właśnie już nikogo nie mam, tylko ciebie... Tfy!

— Cicho, cicho... Jesteś pijana! Wstydź się, jesteś pijana, Kaziu. Jak możesz...

Umilkła nagle, zaskoczona. Poczęła się cichutko śmiać, aż się zachłystywała od śmiechu.

— Jaka Kaziu? Co znów za Kaziu?... Co?... To ty pałę sobie zalałeś!... Kazia! Patrzcie go Kazia! Ha ha ha! Słuchajcie no, słuchajcie...

Poczęła kiwać ręką na swoich towarzyszy. Zda-

leka ukazał się policjant, zwabiony hałasem. Odszedłem. Pogonił za mną śmiech i pół drwiące, pół groźne okrzyki dziewczyny:

— Słuchaj, ty... panie starszy! Zapamiętaj sobie: nie jestem żadna Kazia, rozumiesz? Żebyś wiedział, jak się kiedy spotkamy... Józefa mi na imię, a mówi się do mnie Ziutka! Wiesz teraz?... No to adje! Wesolej nocy!...

Jeszcze zdaleka, z bardzo daleka dobiegał mię jej schrypnięty, pijacki głos.

— — — — —
Bez końca wlecze się ta zima. Żeby chociaż jakiś słoneczny dzień. Ale nie: plucha i śniegi, na zmianę. Niebo zawalone chmurami. Co za klimat, co za klimat! Gdybym tak teraz mógł wyjechać daleko! Czuję, że połowa mojej choroby, to starość, a druga połowa, to ten wiatr za oknami, to błocko, te zachlapane domy, z za których świata nie widać. Nic i nic, tylko ciągle ta jedna kamienica, szaro-żółta, odrapana, z galerją ciemnych okien i zaśmieconych żelaznych balkoników, z szeregiem zawsze tych samych sklepów. Na prawo wędliniarnia, potem skład materiałów piśmieniowych, potem magazyn obuwia i wreszcie, w narożniku, apteka.

Rano uczniowie kupują zeszyty i wielkie, różowe arkusze bibuły. W południe ci sami uczniowie kupują serdelki... Wreszcie wychodzą ze

szkoły, ciągną tłumami, gwarnie, zatrzymują się, gapią...

Szewc znowu zmienił wystawę. Świeże, wiosenne fasony. Widziałem to już w zeszłym roku. Nowe fasony, na wysokich korkach... Nowe, wysokie ceny.

Przed wystawą przystają młodsze i starsze dziewczęta. Patrzą, naradzają się, patrzą... Stoją czasami bardzo długo. Mógłbym notować z zegarkiem w ręku, że czasem po piętnaście minut i więcej. Ale nie chce mi się notować. Nie chce mi się patrzeć przez okno. Jak się to życie wlecze jednostajnie. Przerazająca beznadziejność...

— — — — —

Wyprowadzam się. Wymówilem mieszkanie od kwietnia. Wyprowadzam się z tej ulicy, z tego domu, gdzie spędziłem blisko trzydzieści lat. Wyprowadzam się nawet dalej, niż na sąsiednią ulicę. Wyjeżdżam na wieś, do jakichś tam moich krewnych, dziesiąta woda po kisielu. Mają podobno chorowitą córeczkę, która powinna się uczyć. Będę ją uczył początków arytmetyki, geografii, historii... A latem, podczas wakacji, będę sobie siadał w ogrodzie, na słońcu i będę sobie kończył powolutku moje ostatnie książki.

Z niecierpliwością liczę dni. Wczoraj ich było trzydzieści, dziś — już tylko dwadzieścia dziewięć do chwili tego wyjazdu.

I cieszę się, jak mały chłopiec, kiedy nadchodzą wakacje. Za dwadzieścia dziewięć dni nie będę już widział tej szaro-żółtej kamienicy z przeciwka, tej wędliniarni, apteki, tego szewca...

A zwłaszcza tego szewca. Nie będę wiedział, kiedy na wystawie pojawiają się nowe kreacje zagraniczne i nowe kreacje miejscowe. Nie będę patrzył na inne, coraz to inne dziewczynki, zatrzymujące się przed wystawą. Nie będę wiedział, jak mają na imię i nie będę się starał zgadywać.

Maj, 1925 r.

TRZYNASTA

Jeszcze poprzedniego dnia panna Lucyna miała trochę nadziei, że jednak — zaproszą...

Może przedtem nie mieli czasu, może tak odkładali z dnia na dzień, może sobie przypomną? Wiadomo przecież: rozgardjasz przedświąteczny, krętanina, pieczenie ciast, porządki...

Ale nadszedł dzień wigilijny, a od Lipińskich nikt się nie zjawił. Nawet kartki nie napisali, z życzeniami. Nic.

Panna Lucyna wstała wcześniej, ubrała się w odświętną sukienczynę, zlekka tylko wyrudziała na szwach, siadła przy oknie i postanowiła „używać swobody“. Miała całe trzy dni wolne przed sobą. Ile to przedtem ułożyła projektów na takie długie wakacje! W pierwsze i drugie święto — do południa — kościół. Potem przechadzka i odwiedzanie bliższych i dalszych krewnych. Użytkawszy od swoich chlebodawców tak długi urlop, nie posiadała się, jak to mówią, z radości. Ale teraz radość zmalała do połowy, a nawet — prawie zupełnie znikła.

Panna Lucyna patrzyła w okno, śledząc roz-targnionem spojrzeniem wielkie płaty śniegu, padające cicho i miękko na parapet, — a ucho jej łowiło najlżejszy szelest na schodach.

— Może teraz ktoś przyjdzie... Może na wilję zaproszą? Jak sobie przypomnę, zaproszą... — myślała, z każdą upływającą minutą, coraz żałośniej.

W tej chwili malutki pokój na czwartym piętrze wydał jej się jeszcze nędzniejszy i brzydszy. Z niechęcią prawie patrzyła na przybrukane ściany, kulawy stolik i dwa rozpadające się krzesła. Martwej ciszy nie przerywał nawet kanarek, który siedział skulony, osowiały, zakrywając nogi piórami. Widocznie w izdebce było chłodniej, niż zwykle.

Panna Lucyna wydobyła z kieszeni portmonetkę. Raz jeszcze przeliczyła zawartość, mizerną resztkę skromnej pensyjki, pobieranej przez bonę przychodnią do dzieci... Nawet nie freblankę, a bonę... Mój Boże! Żadnej innej posady nie mogła się spodziewać. Nic nie umiała, nic. Skończyła jakieś trzy klasy w prowincjonalnem miasteczku, kiedy umarli rodzice. Całą młodość tuliła się między obcymi. Miała już taką ambicję, od dziecka, by nie siedzieć na łasce niczyjej. Krewnym, którzy jej ofiarowywali pomoc, podziękowała pięknie. Mogła przecież zarabiać na życie. Była to praca ciężka, a zarobek nędzny, jednakże wystarczyło. Ten mały pokój stanowił jej własność niepodzielną, jej dumę. Ale dziś, w dzień wigilijny, było tu dziwnie pusto. Za pusto...

Panna Lucyna spojrzała na zegarek,

— Dwunasta. Już nikt nie zajdzie. Już nie zaproszą.

Ubrała się i wyszła na ulicę. Trzeba przecież pomyśleć o zapasach na te trzy dni. Trzeba pomyśleć o wilji...

Gdy kupowała w sklepiku dwa śledzie, funt kiszzonej kapusty, kawałek kielbasy i bochenek chleba, musiała gwałtem hamować łzy, które jej się cisnęły do oczu na myśl, że te śledzie z kapustą będzie jadła samotnie, w tak uroczysty wieczór, w tym pustym pokoiku. Roztkliwiła się nad swoją dolą, biedaczką. Kupiła jeszcze węgla i kilka jabłek. Na pociechę.

Wracając, spostrzegła na placu kilka ostatnich, niesprzedanych choinek. Mimowoli przystanęła, aby chociaż popatrzeć.

— Paniusia weźmie? Tanio oddam! — zachęcał chłopak, waląc się kulakami po zmarzniętych ramionach.

Panna Lucyna szybko obliczyła pieniądze. Choinka, to byłby zbytek, ale ot, jedna taka gałązka...

— Ile chcesz za to? — spytała cicho, prawie ze wstydem.

— Iii... jak dla hrabiny, niech ta będzie dwadzieścia groszy! — odparł, mrugając okiem wesoło.

— Dam dziesięć... Oddasz?

— Phy! Mogę paniusi ochwiarować całkiem darmo ten wiecheć! — zaśmiał się chłopiec.

Wetknęła mu do ręki dziesiątkę i poszła ze swoją gałązką, przytuloną do piersi, z ciężkim od węgla koszykiem, a z sercem mimo wszystko weselesem.

Napaliła w piecu, zjadła połówkę śledzia, napila się herbaty gorącej — i nagle wstąpiła w nią otucha.

— Et, co tam! Zajdę do Lipińskich, niby tak, że to mam dzień wolny. Jak mię zobaczą, może poproszą, abym została, a nie — to wrócę do domu. Wielkie rzeczy, obyć się raz bez wilji! Niejeden i tego nie ma, co ja mam...

I ogarnęła wzrokiem białe ściany, klatkę z kanarkiem, świerkową gałązkę, oraz rumiane jabłka na stole.

U Lipińskich był, naturalnie, rwetes. Dzieci biegały z kąta w kąt, z kuchni dolatywały dźwięczne głosy tłuczka, walącego z całej siły o moździerz i równie silny, choć nieco chrapliwy głos kucharki:

— A nie mówiłam pani zara, że się placek nie uda? Takie ekonomiczne przepisy, to do luftu. Widział kto słodkie ciasto przez cukru, przez rodzenków, przez ty wanielji?

Na pannę Lucynę nikt nie zwracał uwagi. Lipińska w kuchni krajała pierniki, Madzia kręciła się, nakrywając do stołu, stary tylko co wrócił

z „rybki“ i przekomarzał się z chłopcami, że prezentów w tym roku nie będzie. Któryś malec tylko otworzył drzwi na korytarz i wrzasnął:

— Mamo! Przyszła ciocia Lucusia!

Pani Lipińska chwyciła się za głowę.

— Masz tobie! Skaranie Boskie z temi staremi ciotkami. Olek, wywołaj mi tu ojca, tylko zaraz! i żeby mi nikt nie śmiał dodać nakrycia na stole! Rozumiesz? Ja tam przyjdę...

Madzia w jadalni rozstawiała kieliszki.

— Co to? Zjazd u was, widzę... Tyle nakryć? — zauważyła ciotka Lucyna.

— A tak, — odparła panienka.

— Przyjechali Czyżewscy?

— Przyjechali.

— Z Zosią?

— Tak.

Panna Lucyna cicho rachowała na palcach:

— Dwoje Lipińskich. Czyżewscy z Zosią. To pięć. Dzieciaki — dziewięć. Madzia... Korepetytor... bona... Dwanaście osób, jak obszył. Dwanaście, tak...

I nagle uświadomiła sobie jasno:

— Nie zaproszą mnie, choćby i chcieli. Byłabym przecie trzynasta.

W korytarzu, wiodącym do kuchni, Lipińska szeptała z mężem:

— Idź do niej. Mów co chcesz. Wytlumacz. Trzynastej przy stole nie posadzę, to darmo. Li-

cho nadało babę, przyszła umyślnie, żeby się wprosić!

— Ciszej... — upominał łagodnie. — Tak tylko wpadła, na minutkę. Napewno zaraz pójdzie. A możeby się jeszcze kogo do pary znalazło? Żal mi jej. Może liczyła na nas?

— Właśnie! Talerzy nawet nie mam. Tyle osób! I cały ten kram na mojej głowie. No, idźże do niej, powiedz, niech jutro przyjdzie na obiad. Jutro!

Panna Lucyna usłyszała kilka pojedynczych słów tej rozmowy. Westchnęła cicho i przeszła do gabinetu. Zastała tam zgromadzoną dzieciarnię. Dwaj starsi chłopcy poczęli zaraz szeptać, poszturchując się i chichocząc. Dziewięcioletnia Niusia z widocznym przymusem pucnęła w rękę tę „przyszywaną ciocię“ i tylko mały Zbych przytulił się do niej z oznakami szczerzej życzliwości.

— Wie ciocia? Będzie ryba. O, taka. Z rodzynkami i w słodkim sosie... wie ciocia? A ja dziś razem z Madzią mak tarłem! O, aż mi bąbel wyskoczył...

Stara panna pogładziła dziecko po rączce.

— Przyniosę ci coś jutro... Tylko nie mów nikomu. Przyniosę ci jutro... jabłuszko.

Zbych nie okazał wielkiego entuzjazmu, ale po chwili znów się rozgadał:

— A ja dostanę konia! Wiem. Dzisiaj, przez dziurkę od klucza widziałem jego ogon... Cudo-

wny! Czarny! I choinkę już Anioł przyniósł. Powiadam cioci — cudna! Do samego sufitu. Zobacz ciocią później.

— Ja, Zbyszk, nie będę u was na wilji.

— Ciocia nie będzie? — zdumiał się. — A dokąd ciocia pójdzie? Czy ciocię zaprosili gdzieindziej? Czy tam będzie choinka?

— Tak, mam nadzieję, że będzie...

— I ryba?

— I ryba także.

— I kolędy ciocia będzie śpiewała? A dużo tam będzie osób?

O mało nie odpowiedziała: Ogromnie dużo! Wy wszyscy. Olek i Władzio i Niusia i ty, kochanie. Wszyscy tam będą, — w moim małym pokoiku, na czwartym piętrze.

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek i w chwili potem rozległy się radosne krzyki. Chłopcy wybiegli pędem. Zbyszek zsunął się także z kolan ciocięznych.

— Janusz! Janusz przyjechał! — wołała Madzia.

Panna Lucyna wstrzymała oddech. Czy to możliwe? Janusz? Więc go puszczone z wojska na samą wilję? A Lipińscy tak się martwili!

Gwar rósł i zbliżał się. Gromada osób wkroczyła do jadalni. Z ciemnego gabinetu, w którym zwolna zapadał zmrok błękitny, panna Lucyna słyszała każde słowo: „Więc jesteś?“ — Więc pu-

ścili cię? Dlaczego nie napisałeś wcześniej? Janusz! — Kiedyś przyjechał?”

— Przed chwilą. Nie mogłem nawet depeszować. Jak mi pułkownik wręczył przepustkę, siadłem do pierwszego pociągu i jestem! — wołał głos młody, jędrny, pełen radości.

Gwar rósł, rósł ciągle. Padaly coraz nowe pytania i odpowiedzi, przeplatane pocałunkami. Panna Lucyna wysunęła się cicho, przez boczne drzwi. W przedpokoju długo jakoś szukała kaloszy, potem znów rękawiczek.

Nagle na progu zjawila się Lipińska:

— To ty, Lucynko? Wychodzisz?

— A tak. Właśnie chciałam...

— Daj pokój. Wiesz, Janusz przyjechał. Jutro wraca do koszar. No, ale chociaż na wilji będziemy razem!

Nagle urwała.

— Ale, ale, Lucynko! Ty przecież nie odejdziesz. Musisz tu zostać z nami! Właśnie szukałam cię... Tylko, rozumiesz, ten harmider... Głowę poprostu tracę...

— Wiem, — uśmiechnęła się smutnie panna Lucyna. — Dwanaście osób na wilji, to duży kłopot.

— Trzy... nie, czternaście! — poprawiła szybko Lipińska. — Bo ciebie przecież nie puszcze.

— Ale...

— Niema żadnego ale. Szczepanie, dzieci, chodź-

cie tu prędzej. Zatrzymajcie tę niezdolną Lucynę, proście, aby została... Przecież t e r a z nie może być mowy, abyśmy ją puścili!

— Rozumiem, — pomyślała panna Lucyna. — Teraz wam jestem potrzebna. Teraz — Janusz byłby trzynasty...

Ale na myśl o jasnej głowinie Zbycha, o pięknej, aż pod sufit choince i o wspaniałym koniu na biegunach, — w oczach „cioci Lucusi“ zabłyśła wielka, niezamącona niczem radość. Zdejmując rękawiczki, rzekła wesoło:

— Skoro każecie — zostanę!

Grudzień, 1926 r.

SPRAWA KRYMINALNA

Pozwoli pan sędzia, że zbiorę myśli... Ach, bo to wszystko stało się tak nagle! Calutką noc nie spałam, tylko myślałam o tem zeznaniu. Nigdy mi przez myśl nie przeszło, że będę składać kiedy zeznanie w sądzie, nigdy, odkąd żyję, a mam przecież piędziesiąt dwa lata, jak panu wiadomo... Ale powiedziałam sobie: trzeba, to trzeba. Pewnie, że złożę zeznanie, — i sprawiedliwe! O, panie sędzio! Że to niektórych ludzi kara osiągnąć nie może!... Niech się pan nie niecierpliwi. Ja zaraz wszystko po kolei opowiem, tylko myśli zbiorę... Cóż pan chce? Mnie do tej pory włosy jeżą się na głowie, jak sobie wspomnę... O mój Boże, mój Boże, przecież robiłam, co mogłam... Ja panu powiem w zaufaniu, że mnie od pierwszej chwili coś tknęło! Zaraz, jak zobaczyłam tego jegomościa, gdy jej pomagał wysiadać z karety! Stałam na dole, bo to ja zwykle przyjmuję kuracjuszy, jak pana dyrektora niema. Dwadzieścia lat pracuję w zakładzie! Więc, panie sędzio, gdy tylko powóz się zatrzymał, podbiegłam do drzwiczek, ale ten pan wychylił głowę przez okienko i powiada do mnie:

— Ja sam sprowadzę moją na-rze-czo-ną.
Głos miał przyciszony, a przecież taki przenikli-

wy, że mi się zdawało, jakgdyby każdy wyraz szpilką wkuwał mi do uszu.

...Więc się usunęła i patrzę. Wyprowadził ją. Jezu, jakie to było biedactwo! Nic, tylko te oczy ogromne na twarzy białej, jak opłatek. Wtedy to, panie sędzio, złe przecucie odrazu chwyciło mnie za serce.

...Kiedy zauważyłam pierwszy raz, że ona się jego boi? Przecież nie trudno było spostrzec, toć nie odstępowałam jej prawie. Nawet względem dawniejszych chorych opuściłam się trochę, bo ciągle do niej biegłam. Takie już miałam przecucie, że na tę młodą panią trzeba dawać baczenie, bo się tu coś niedobrego święci.

Dziękuję panu sędziemu, że go nie gniewa ta moja gadanina. Czy to ja zwyczajna jestem takich spraw? Chorym usłużyć, o lekarstwie pamiętać, wszystko na czas przygotować, to ja potrafię, ale w sądzie nikogo jeszcze nie skarżyłam!... I tak od kilku dni ledwie na nogach się trzymam, a już ta noc ostatnia!... Do reszty mi się w głowie poplątało!

Tak, tak. Najlepiej opowiem po porządku. Co to dziś mamy? Środę? Więc w zeszły poniedziałek przychodzi do mnie pan dyrektor z depeszą w rękę i mówi:

— Proszę przygotować numer trzydziesty siódmy dla pacjentki, która przyjedzie jutro w południe.

Spojrzał na depezę i dodał:

— Jeszcze jeden pokój będzie potrzebny, bo ja odwiezie ktoś z rodziny. Niech pani Wysocka (to znaczy ja) pilnie dogląda tej młodej osoby. Polecam ją szczególnej opiece pani.

Natychmiast zabrałam się do roboty i napędziłam służbę. Pan widział numer 37-my? Śliczny pokój, chyba najładniejszy w całym zakładzie. Ależ, naturalnie, że go pan widział! Mój Boże, kiedy tam dziś nie było — i z policji — i doktorów. Chodzili, kiwali głowami, a żadnemu na myśl nie przyszło tego bandytę, tego... narzeczonego najpierw kazać zaaresztować, chociaż krzyczałam na cały głos, że to on właśnie...

Pan sędzia się uśmiecha. Czy pan także jest zdania, że tu nie może być mowy o zbrodni? Ale znowu zgubiłam wątek. Przepraszam. Więc w poniedziałek wieczorem pokój był wyświeżony, wy czyszczony, a we wtorek, około pierwszej po południu, przyjechała nasza chora. Już panu sędziemu, zdaje się mówiłam, że odwiózł ją ten pan. Sam ją wprowadził na schody, (a jak się ślaniało biedactwo!) sam umieścił w fotelu, nim łóżko zastłali. Wziął ją za rękę i powiedział tak:

— Teraz zostawiam cię, Mery — (było jej Marja na imię), — on ją tak zawsze z cudacka nazywał — ale nie obawiaj się, będę czuwał przy tobie, gdyby ci było czego potrzeba...

Wówczas to, proszę pana, zobaczyłam w jej

oczach po raz pierwszy wyraz okropnego przestachu. Mam bardzo dobry wzrok i, choć krzątałam się w drugim kącie pokoju, widziałam wyraźnie, jak te jej wielkie oczy rozszerzyły się jeszcze, ściemniały i utkwily nieruchomo w jego twarzy.

— Ach, nie... nie... — wyszeptała tak cichutko, że prawie bez głosu. Chciała nawet wysunąć rękę, ale on spojrzał jeszcze głębiej w jej oczy. Jezu! Aż mnie zamgliło. Ja tam nie wierzę, żeby djabły chodzili sobie w biały dzień po świecie, ale juści chyba tylko djabeł może mieć takie oczy, jak ten pan narzeczony.

Tego dnia, aż do wieczora, panna Marja była sama. Wchodziłam raz po raz do numeru, bo a nuż czego potrzebować by mogła, a tak wyglądała chora, osłabiona, że chyba sił jej nie stało zadzwonić.

Weszłam tedy raz — nic. Leży sobie, oczy wpół przymknięte. Na odgłos otwieranych drzwi drgnęła, uniosła się z poduszek i spytała z przestachem:

— Ach, kto to?

— Nic, nic, paniusku. To ja. Chciałam zapytać, czy czego nie potrzeba?

— Dziękuję.

— A może nudno paniusi tak samej? Może poprosić pana...

— Och, nie! — odparła szybko i zaraz dorzuciła spokojniej:

— Nie nudno wcale.

Znowu przymknęła oczy, więc poprawiwszy koldrę, wyszłam i zamknęłam cicho drzwi za sobą. Dopiero wtedy, panie sędzio, powrócił ten pan i zaraz zażądał, żeby mu otworzyć sąsiedni numer. Nie bardzo się kwapiłam do tego, bo mi się zdało, że to nawet nie wypada, aby obcy, choć i narzeczony, mieszkał z młodą panną w bliskości, ale ten pan tylko popatrzył na mnie przez chwilę i, zupełnie, jakgdyby słyszał, co sobie myślę, rzekł dobitnie:

— Z polecenia ojca mojej narzeczonej mam mieszkać obok. Może się to pani wydawać dziwne, ale ojciec teraz przyjechać nie może, a moja narzeczona jest bardzo ciężko chora nerwowo, nie podobna jej zostawić bez opieki osób bliskich, więc...

Kiedy to mówił raz po raz, to gniew, to uśmiech przelatywał mu po twarzy na zmianę. A oczy! Panie sędzio, ja przecież długo żyję na świecie, byłam przez kilka lat dozorczynią w oddziale furjatów, ale nigdzie takich oczu nie widziałam. Raz spojrz na człowieka, a już mrowie po grzbiecie chodzi. Powiadam panu, jakby dwie ostre szpilki szły prosto z tych oczu. Tfu! Jeszcze do-
tąd wspomnieć spokojnie nie mogę!

Więc tedy, proszę pana sędzigo, musiałam

otworzyć sąsiedni numer, trzydziesty dziewiąty. Bo u nas jest taki rozkład, pan wie? Parzyste numery po jednej, a nieparzyste po drugiej stronie korytarza. Ale mię coś tknęło. Myślę sobie: są wolne obydwa sąsiednie pokoje. Ale trzydziesty piąty komunikuje z pokojem chorej, a tamten nie. Już wtedy coś mi szeptało, że to nieczysta sprawa z tym narzeczonym. Żeby tak ode mnie zależało, zakazałabym mieszkać w zakładzie, — ale, że ojciec tej pani wyraźnie żądał w liście, a pan dyrektor zezwolił, więc — otworzyłam trzydziesty dziewiąty. Do siódmej było spokojnie. Chora leżała bez ruchu, może i drzemała sobie, bo oczy wciąż miała przymknięte. Ale z wybiciem siódmej przyniosłam kolację i panna Marja ocknęła się. Siadła na łóżku przetarła raz i drugi oczy.

— Jak tu duszno, — mówi, — czy to mnie się zdaje, że tu tak duszno?

— Gdzieżby, paniusiu, duszno! Przecież nawet oberluft uchylony!

Ale ona robiła się coraz niespokojniejsza. Raz po raz chwytala się za głowę i zaczęła pocichu jęczeć.

— Boli... boli...

— Zrobić pani okład? A może lemonjady z cytryną przyniosę?

Nie odpowiedziała, tylko znowu po chwili zaczęła wzdychać i szeptać bez ładu:

— Ach... ach... Co to za kroki? Kto tam chodzi?... Czy tam obok ktoś chodzi?

— Może i chodzi paniusi narzeczony, chociaż nie słyszę. Może i chodzi.

Wówczas zaczęła jęczeć głośniejsz, obracać głowę w prawo i lewo, nareszcie jak nie zaczęła płakać!

Już się i dogadać z nią nie mogłam, więc myślę sobie: Trzeba dyżurnego doktora poprosić. Wyszłam tedy z pokoju na palcach i widzę — pod drzwiami stoi ten narzeczony. Zatrzymał mię.

— Cóż tam słyhać? Nie gorzej pannie Mery?

— E, — mówię, — niee... (bo nie chciałam, żeby tam chodził, jak mnie nie będzie. Zawsze to przecież, i nie wypada...)

Ale on jak nie spojrzysz na mnie! Kolana się pode mną ugięły.

— Proszę powiedzieć prawdę! Jest gorzej, bo słyszałem jęki. Niech pani zaraz sprowadzi doktora, a ja tu poczekam.

— Pchnął mię lekko naprzód. Pobiegłam, ile sił w nogach. Na dole powiedzieli mi, że doktor u chorego i zaraz przyjdzie. Wróciłam klusem. Może wszystkiego z pięć, sześć minut upłynęło, jak opuściłam pokój. Wracam, panie sędzio — i co zastaję? Moja chora leży na łóżku bez zmysłów, a obok stoi ten opiekun obmierzły i ręką o rękę uderza, a gniew mu z oczu tryska.

— Gdzież doktor? — rzucił się ku mnie, — mówiłem, żeby zaraz sprowadzić doktora!

Właśnie i doktor przechodził korytarzem, a słysząc krzyki, uchylił drzwi.

— Co tam, moja pani Wysocka?

Z rozpaczą wskazałam mu łóżko.

Dopiero po dobrej godzinie panna Mery przyszła nareszcie do siebie, ale taka była osłabiona, że nie mogliśmy się nawet dopytać, co jej dolega.

— Czy pańska narieczona często popada w podobne omdlenia? — spytał pan doktor z miną z troskaną.

— Obecnie zdarza się coraz częściej. Prawdopodobnie — omdlenia te są jednym z objawów choroby nerwowej, która trapi biedaczkę moją... — Odparł tamten z takim smutkiem w głosie, że byłabym przysięgła: anioł mówi te słowa!

Potem usiadł przy łóżku i gładząc końcami palców nieruchome rączyny, jak się nie zaczęło rozvodzić:

— O, moje kochanie, — powiada, — moja dziecino! To nic, to nic, już wkrótce wyzdrowiejesz, zabiorę cię stąd i będziemy szczęśliwi...

No — i niech pan powie! Żadne lekarstwo nie zrobił tyle, co słowa, które ten farbowany lis powtarzał układnie! Panna Marja otworzyła oczy i... uśmiechnęła się.

— No, tak, — mruknął narieczony, wstając i rzekł do doktora:

— Ona się zawsze uspakaja, gdy mówić do niej

cicho i łagodnie, próbowaliśmy tego nieraz, jej ojciec i ja.

To było we wtorek, panie sędzio, a we środę miałam się znowu przekonać, co ten człowiek z moją chorą wyrabia.

Obudziła się późno. Koło południa dopiero przyniosłam jej śniadanie. Zjadła z apetytem, siedząc na łóżku. Powiedziała, że się lepiej czuje i kazała podnieść rolety. Gdy to zrobiłam, klasnęła w ręce, jak małe dziecko.

— O, słońce, słoneczko! — powiada do mnie, — kocham je! Gdy słońce świeci, jest mi wesoło i już się tak nie boję...

— A czego by się paniusia bać miała? — mówię. — Czy to świat, życie nie uśmiecha się do paniusi? Żeby tylko zdrowe prędzej wróciło!

Spojrzała na mnie ogromnymi oczami, ale już bez radości, jak przedtem.

— Świat, — powiada, — życie... O, kocham życie! Tak bardzo pragnę być zdrowa!

— To i chwała Bogu. Proszę teraz wziąć te krople, a potem poleżeć spokojnie, aż do obiadu. Jakby przyszedł paniusi narieczony, to ja mu powiem, że paniusia śpi...

Chwyciła mnie za rękę.

— Nie, nie! — krzyknęła prawie, — nie będę spała! Nie usnę ani na chwilę!... Nie chcę...

Kazała podać sobie suknie i ubrała się z moją pomocą. Czułam, jak jej biedne nożęta drżały, ale

podeszła o własnych siłach do okna. W tej chwili rozległo się stukanie do drzwi. Panna Marja odwróciła się gwałtownie, z twarzą przerażoną.

— To ja powiem... — zaczęłam, ale ona położyła palec na ustach. Stukanie powtórzyło się znowu. „Proszę“ — szepnęła wówczas ledwie dosłyszalnym głosem, a drżała przytem, jak liść.

Wszedł do pokoju ten pan i zaraz z wymówkami do niej:

— Dlaczego wstałaś, Mery? Wiesz przecież, że jesteś chora!

— Tak, jestem chora... — powtórzyła, patrząc na niego pokornie.

— Jak można, po takim osłabieniu, zrobić coś podobnego!

— Tak... źle zrobiłam... czuję to... Nie mam sił zupełnie... — wyszeptała znowu, jak echo i nagle zachwiała się na nogach. Byłaby upadła, ale ją w porę potrzymał ten narzeczony.

— Proszę zaraz przygotować łóżko! — zwrócił się wtedy do mnie z błyskiem gniewu w oczach. Śliczna opieka nad chorymi! Jak można było postąpić tak lekkomyślnie! Powiem dyrektorowi, co się tu dzieje. Moja narzeczona jest c i ę ż k o c h o r a ! powtórzył z naciskiem. — Nie wolno jej wstawać bez zezwolenia lekarza!

— Tak, źle się czuję... Bardzo źle... Nie mam wcale sił.. — skarżyła się cichutko panna Marja, podczas, gdy niezdarnie poprawiałam pościel, tak

mi ręce latały ze wzruszenia. Mnie robić wymówki za niedbalstwo, za lekkomyślność, panie sędzio! Mnie, która dwadzieścia jeden lat w zakładzie... Ech! Wtedy myślałam, że to prawda i czyniłam sobie gorzkie wyrzuty!...

Glupia byłam. Żebym nie była taka głupia, nie stałoby się to nieszczęście! Ale człowiek do śmierci się uczy. Pięćdziesiąt dwa lata przeżyłam na świecie spokojnie i ani by mi do głowy przyszło, że można wmówić coś w człowieka, jak to zrobił ten... ten...

Chodził, panie sędzio, po pokoju, jak lew po klatce i syczał przez zęby tym swoim przenikliwym szeptem, co to się aż w mózg wświdrowuje:

— Pozwolić wstać tak ciężko chorej osobie! Ona to życiem gotowa przepłacić, życiem!

Prostu ciemno mi się w oczach zrobiło na myśl, że ona czuje się gorzej — i to przeze mnie. Ten narzeczony przestał nareszcie chodzić, pochylił się nad nią, wyciągnął ręce i mówił coś tak cicho, że nie dosłyszałam. Widziałam tylko, jak panna Mery stawiała się coraz bielsza na twarzy. Oczy jej stanęły w ślup, zupełnie, jak poprzedniego dnia. Oddychała ciężko, jak we śnie.

Już się zbierałam ku wyjściu, gdy ten straszny człowiek podszedł ku mnie.

— No, tak — rzekł cicho. — Teraz będzie spała do wieczora. Niech jej pani pod żadnym pozorem nie budzi. Ja sam rozmówię się zaraz z lekarzem.

Ja wiem, że opowiadam rozwlekle i że to wszystko może się panu sędziemu wydawać niepotrzebne do wyjaśnienia straszliwej rzeczy... która się stała... która się stała właśnie z wtorku na środę, dziś w nocy. Jezu miłosierny! Muszę jakoś dobrać do końca z tem wszystkim... Więc na czem to ja stałam? Aha, już wiem. Więc cały dzień krążyłam po korytarzu, ale w pokoju chorej panowała cisza. Rano to samo. Weszłam tam wcześniej, niż zwykle. Panna Marja nie spała.

— Czy to już dzień? — spytała zaraz. — Głowa mię bardzo boli.

— Dać proszek? A może okno otworzyć?

— Nie, nie! — zawołała z przestachem, a potem zaczęła się skarżyć. — Taka jestem chora, taka bardzo chora... Nie mogę wcale chodzić, nie mam sił... Och, mój Boże, niedługo umrę...

— Cóż też paniusia wygaduje! Kto tu mówi o śmierci?

— Umrę napewno... Już wiem. I nikt mię nie uratuje, nikt mię nie wybawi, nikt...

To było we czwartek. Piątek i sobota przeszły spokojniej. Narzeczony zjawiał się codziennie, przynosił kwiaty, siadał przy łóżku chorej na kilka minut i wpatrywał się uważnie w jej twarz. Zwykle wychodził, gdy tylko zapadła w ciężki sen, z którego budziła się po kilku godzinach, płacząc i skarżąc się, że jej głowa pęka z bólu.

Proszki, przepisane przez doktora, nie pomagały wcale. Pod wieczór czuła się zawsze gorzej. Co dzień stawała się bledsza, poprostu nikła w oczach. Nie rozumiem, nie mogę się nadziwić, że doktorzy tego nie uważali. Przychodziło ich dwóch, czasem trzech codziennie. Kiwali głowami, rozmawiając na korytarzu, nawet nieraz sprzeczcali się ze sobą.

— Ona popada w katalepsję, — powiedział jeden.

— Nerwy, nerwy, — mówili inni.

W niedzielę poszłam na sumę, na jej intencję. Modliłam się gorąco, jak chyba nigdy! I — niech sobie pan sędzia żartuje ze mnie, niech mi nie wierzy, a ja twierdzę stanowczo, że to Pan Bóg mię natchnął dobrą myślą. Bo mi się zaraz w oczach rozjaśniło: Wszystkiemu winien ten narzeczony. On jej coś zadał takiego, że biedaczka zamiera. Może ją truje?

Wymodliwszy się, uczułam w sobie dziwną siłę i spokój. Wracając, myślałam całą drogę: Żebyś ty nie wiem co wygadywał na mnie, żebyś temi gałami jeszcze gorzej wywracał, nie puszczę cię przez próg pokoju! Niech mnie pan dyrektor zburczy, niech każe się tłomaczyć, to wytłomaczę, a przed tym drabem drzwi zamknę na klucz, niech mię potem z zakładu usuną! Biedactwo boi się go, drży na sam widok, to jasne. Nie dam jej zmarnieć, ślicznotce mojej biednej!

Wracam, podchodzę... Zbiegowisko na korytarzu. Narzeczony z pokoju wypada, dzbanek pusty w rękę. Mało mi nie przewrócił, w takim był ferworze.

— Gdzie to, — krzyczy, — pani się podziewa? Panna Mery ciężko zasłabła! Służby się tu dowołać nie można było!

Wbiegłam do pokoju, a tam już doktor z asystentem. Okłady robią, ocet czuć. Chora leży sztywna jak ten drąg. Oczy wywrócone — same białka świecą. Zęby jej musieli podważać, a jak nareszcie zdołali szczęki rozsunąć, krew popłynęła z języka, taki był pokąsany! Chryste Panie! Myślałam, że już po niej! Podając ręczniki, to zimną wodę, to co innego jeszcze, mówiłam litanję do Matki Najświętszej... Pocieszycielko strapionych... Wspomożenie wiernych... a wyrazy całkiem mi się myliły.

Do wieczora był rwetes. Poprzelękali się wszyscy. Dyrektor kazał zaraz telegrafować po ojca, więc narzeczony chwycił za kapelusz i — tak jak stał, — bez palta, bez laski wyleciał na miasto. Otrzymałam rozkaz czuwania bez ustanku przy chorej.

— Niech jej się tylko polepszy, już ja wszystkim teraz pokieruję! — powiedziałam sobie.

Nad ranem panna Mery usnęła, oddech stawał się równiejszy, głębszy, nie taki sapiący, jak przedtem. Przespała tak ze trzy godziny. Bałam

się drgnąć, żeby jej nie obudzić. Otworzyła nareszcie oczy i zaraz — łaps mię za rękę.

— Kto tu?

— To ja, paniątko moje złote, kochane! To ja! Przy pani tu siedzę, pilnuję... Nic złego zrobić nie dam, nie...

Westchnęła z wielką ulgą i — jak nie zaczęły kapać po twarzy! Strugami, powiadam, panie sędzio, strugami spływały po skroniach, po warokoczach ciemnych i wsiąkały w poduszkę.

— To ja żywa? — powiada wreszcie przez te lzy.

— A jaka miała być? Umarła? — Uśmiechnęłam się do niej, ale mi mrowie przeszło po grzbiecie. — Ej, paniusku moja! Będzie paniusia zdrowa, zobaczy. Już ja w tem. Tyle — tyle paniusieczce do zdrowia brakuje! Jak się we dwie weźmiemy, to zrobimy porządek, że ha! W tydzień paniusia do domu wróci, zdrowiuteńka, jak rybka!

To ona wtedy do mnie: „Naprawdę?“ I zaraz zrobiła się rzeźwiejsza.

— A paniusia myśli, że kłamię? Proszę mi słuchać tylko, a zobaczymy! Ho ho! Najpierw — no-ga tu niczyja nie postąpi bez mojej wiedzy, proszę mi przyrzec! Narzeczony, nie narzeczony — furt! Niech mi się na oczy nie pokazuje, a to bez pardonu za drzwi wyproszę!

— Będzie się gniewał... — szepnęła na to i zaraz jej strach z oczu wyjrzał.

— A niech się sobie gniewa. Co nam to! Od paniusi samej zależy powiedzieć: nikogo widzieć nie chcę — i basta! A zresztą, telegram przecie poszedł, jutro, pojutrze, paniusiu tatuś przyjedzie, to czego się mamy obawiać! Albo nam będzie źle ze sobą? Ja paniusi takich bajek naopowiadam, że i w książkach najpiękniejszych nie znajdzie! Z ust ś. p. babki mojej słyszałam je wszystkie! Za trzy, za cztery dni, jak Bóg pozwoli, wyjdziemy na balkon, na słońce! To dopiero będzie wesoło, jak paniusia o własnych siłach do ogrodu pójdzie, ze mną pod rękę!

Im dłużej tak mówiłam, tem ona weselej spoglądała, wreszcie jak nie wybuchnie śmiechem! Istny dzwoneczek!

— Tak, — zawołała nareszcie, — tak! Już mi teraz lepiej!

— A widzi paniusia, ten narzeczony wcale tu niepotrzebny. Obejdziemy się bez niego, prawda?

— Prawda... — i zaraz obejrzała się na ścianę, za którą słychać było kroki.

W południe zastukał. Ja nic. Panna Marja chwyciła mię za ręce i trzymała mocno, aż się palce w dłoń wpiły. Stukanie powtórzyło się raz, drugi, coraz mocniej. Wreszcie — usłyszałyśmy, jak wrócił do siebie i drzwiami trzasnął.

— Niech sobie trzaska, — mówię. — Nic nie szkodzi. Ja teraz obiad przyniosę i wrócę już

z doktorem. Paniusia mu sama powie, że zmęczona, że nikogo widzieć nie chce.

Wymknęłam się cicho, drzwi za sobą na klucz zamknęłam i klucz do kieszeni. Dla pewności. Przyprowadziłam doktora: znalazł poprawę od wczoraj.

— Chorej potrzeba spokoju, — powiadam, — to wszystko.

Obiad zjadła z apetytem. O zmierzchu znów się rozległo stukanie. Znowu panna Mery zatrzęsła się, biedactwo, ręce złożyła, jak do modlitwy. Ja znowu nic, tylko znakami nakazuję milczenie. Minął kwadrans, pół godziny. Odszedł ode drzwi, ale słyszę, jak chodzi po korytarzu. Myslę sobie: Taak? To ty mi tu teraz łazić będziesz, jak wilk koło owczarni? Poczekaj! Wysłałam, drzwi zasłoniłam sobą i mówię do niego:

— Pani zmęczona, nikogo nie przyjmie.

Przyskoczył do mnie, jakby go kto szpilką ukłuł:

— Nikogo? Nawet mnie? To nieprawda!

— A prawda, — mówię, — i mam rozkaz nie puszczać nikogo do chorej.

— Dobrze, — zacharczał, a oczy błysnęły mu zielono, niczem u kota, — dobrze ja pójde do dyrektora.

— A idź sobie do samego djabła, — pomyślałam i wróciłam do mojej chorej. Leży, niebożátko, wystraszone, ustami powietrze łapie, jak ta rybka...

— Już, już, — mówię, — paniusiu, niema nikogo. Teraz opowiem bajkę, a paniusia uśnie sobie spokojnie.

Wieczorem zawezwał mię dyrektor. Wytłomaczyłam, jak i co. Że niby taki rozkaz mam dyżurnego doktora, który był dziś rano. Wróciłam pędem — cisza. Narzeczony się widać rozeźlił, drzwi od siebie zatrzasnął, światło zgasił.

W nocy panna Marja spała niespokojnie.

— Kto tu chodzi? Kto to? O, nie patrz tak na mnie... — Jęczała cichutko, może przez sen. Rano uczuła się znowu trochę silniejsza.

— Teraz wierzę, że mogę wyzdrowieć... — rzekła do mnie z anielskim uśmiechem.

— O pierwszej przyszedł doktor, jak zwykle. Zastał korzystną zmianę.

— Cudów dokazuje nasza pani Wysocka, poklepał mię po ramieniu. — Jeśli tak dalej pójdzie, pacjentka za miesiąc będzie zdrowa!

Gdy poszłam po obiad, zatrzymali mię trochę dłużej na dole. Wracam nareszcie, patrzę, a ten drab przy drzwiach stoi. Odsunęłam go, jak sprzęt i weszłam prędko... Jezu! O mało tacy nie upuściłam na ziemię. Panna Marja siedzi na łóżku, biała, jak papier, oczy nieprzytomnie patrzą.

— Co, — pytam. — Co się stało?

Nie odpowiedziała nic, tylko się trzęsła, jak

w febrze. Potem złożyła ręce i zaczęła powtarzać wółko to samo, jak urzeczona:

— Ratunku, nie chcę umierać! Ratunku... Nie chcę umierać...

— Kto tu o śmierci mówi? Kto paniusi głupstw nagadał? Pewnie ten narzeczony, co? Że też paniusa raz mu odprawy nie da...

— Cicho... — szepnęła z przerażeniem, oglądając się niespokojnie. — On wszystko słyszy... Oo, chodzi tam, chodzi...

— Niech sobie chodzi! (w duchu zaklęłam brzydko: Bodajby cię do piekła, zbój, poniosło!).

Ale panna Marja stawiała się coraz niespokojniejsza. Napróżno starałam się wybadać, co się tu stało, gdy wyszłam. Kładła palec na ustach i nasłuchiwała z przerażeniem.

A ten chodził i chodził, pod trzydziestym dwiętym. Od ściany do ściany, bez przestanku. Próżno zagadywałam, śmiałam się. Moja chora co chwila szeptała gorączkowo:

— O, słyszy pani? O, słyszy pani?...

I znowu po chwili:

— Nie, nie... Nie chcę umierać, nie chcę umierać!...

Wieczorem był znowu doktor — przepisał uspakajające krople. O dziesiątej zgasłam światło, ale się nie rozbierałam, lęk mnie ogarnął jakiś. Panna Marja nie spała, słyszałam, jak nieustannie szepcze coś do siebie, jęczy, siada na łóżku. Od czasu

do czasu skarży się cicho: „O mój Boże, mój Boże!”

Około północy ocknął mnie z drzemki nagły krzyk o pomoc. W mgnieniu oka byłam na nogach. W pośpiechu nie mogłam znaleźć zapalek, pociemku podbiegłam ku niej. Wiła się na łóżku, szarpała rękami prześcieradła. Ujrawszy mnie, schwyciła moje ramię kurczowo, aż syknęłam z bólu.

— Tu, tu! pani? O, tu...

Wyciągniętym palcem wskazała przeciwną ścianę. Ciało stężało zupełnie, wygięło się w łuk. Oczy nieruchomo utkwiała w ciemności.

— Gdzie, paniusiu? Gdzie? Co takiego?

— Tu... Idzie... Zbliża się... patrzy na mnie... Ooo... nie chcę! Nie... nie... Brońcie mnie przed nim! Ooo... nie mogę... nie moo...

Jeżeli nie osiwniałam tej nocy, to tylko dlatego, że się tak Panu Bogu podobało. Ale od dzisiaj już wiem, jakie to uczucie, gdy włosy powstają na głowie. Jak tutaj stoje, jak pragnę Boga przy skonanu, tak mi te wypelzłe kosmyki zjeżyły się na czaszce, niczem druty stalowe... I teraz... Sama wierzyć nie mogę, że to widziałam, a przecież widziałam, przysięgam! Widziałam, panie sędzio, te straszne, zielone oczy, jak przenikały przez ścianę, powołusieńku... powołusieńku... Jak zaświeciły na niej... Jak wyszły z niej i płynęły przez powietrze, przez pokój... Straszne, zielone oczy...

Zbliżały się wolniuchno, niewidocznie, aż zawisły tuż prawie nad twarzą umierającej... Widziałam, jak oświeciły trupim, zielonym blaskiem zastygające rysy. Panna Mery leżała teraz cicho, bez ruchu. Usta jej poruszyły się raz jeszcze w szepcie, który ja tylko usłyszeć i zrozumieć mogłam:

— Zabija... Zabi...

I tak ścichło na jej ustach to słowo, jak kamyk, co wpadając w wodę głęboką, znika pod falą bez plusku... nie słysząc, żeby uderzył o dno...

W tej samej chwili usłyszałam skrzyp drzwi otwieranych. Ktoś podszedł, skradającym się krokiem...

Tak, panie sędzio. To ja rozbudziłam cały dom. To ja wołałam policji, to ja krzyczałam, żeby chwyтали zabójcę. Kiedy się zbiegli ludzie, pokazywałam na łóżko i darłam się, co sił:

— Łapcie, łapcie mordercę! Okujcie w kajdany tego łotra, który ją zamordował!

Nikt nie rozumiał, chociaż pokazywałam go palcami. Doktorzy zebrali się przy umarłej, a on stał sobie pod ścianą, bardzo blady, z rękami zaplecionymi na piersiach, ot, tak.

Panie sędzio! Doktorzy orzekli, że serce, a ona umarła przez te oczy, co wylażyły ze ściany... Od tych oczu zielonych umarła, on ją zabił! Nie puściłam za próg, więc się przez ścianę przedarł ten istny szatan!

Nad ranem zabrano trupa. Ludzie zaczęli się

powoli rozchodzić. Patrzyli na mnie jak na warjatkę i kiwali głowami. Właśnie przyjechał ojciec tej pani. Ekspresem przyjechał, z Częstochowy. Widziałam na własne oczy, jak sobie w objęcia padli z zabójcą... Pod rękę zeszli na dół do kapliczki. Ojciec ocierał łzy i szedł powoli, zgarbiony, a ja się ruszyć nie mogłam z miejsca, ani słowa jednego wyrzec. Nogi mi w ziemię wrosły... Język mi skołowaciał...

To już wszystko, co miałam powiedzieć. Więcej nic nie wiem. Pan sędzia milczy? Pan sędzia patrzy na mnie litościwie? O, chwała Bogu, jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach! Sprawiedliwie opowiedziałam wszystko, jak było, sprawiedliwie... Na moje lata sterane, na moje wypłakane oczy, na własne sumienie przysięgam, że to była zbrodnia... Najokropniejsza zbrodnia, o jakiej nikt nie słyszał! Nie rozumiem, jak się to wszystko stać mogło, ale się stało. Jeżeli pan sędzia nie wierzy słowom uczciwej, starej kobiety, to gdzież się udam?... O Boże, Boże, co to za świat przewrotny! Co to za ludzie po nim chodzą... Cóż z tego, że po całym mieście rozkrzyczę, że wszystkim rozpowiem, jak było? Zabił ją, zabił ten łotr nikczemny i teraz już jej nic nie wskrzesi!...

EWON I ADAMINA

STEFANOWI GODLEWSKIEMU

Szybszemi, niż zazwyczaj krokami Adamina przemierza stopnie schodów, wiodących do mieszkania. Nogi jej w wygodnych, płaskich trzewiakach i wełnianych pończochach proste są i smukłe, jak nogi chłopca. Krótka sportowa spódniczka ledwie okrywa kolana, między kołnierzem żakietu a brzegiem filcowego kapelusza widać tylko rąbek wygolonego brzytwą karku.

Przekręcając klucz od zatrasku, Adamina słyszy poważne i miarowe uderzenia zegara z jadalni: Bam — bam — bam...

— No, nie spóźniłam się jednak! — myśli z uczuciem dumy, gdyż do najważniejszych cech swego charakteru lubi zaliczać punktualność. Wymaga jej zresztą od swych podwładnych, a sama świeci w tym względzie dobrym przykładem: pierwsza jest w kantorze fabryki i ostatnia opuszcza swój wielki dyrektorski gabinet, pełen poważnych mebli, obitych ciemną skórą i przesiąknięty dymem tytoniowym.

W domu Adamina nie pali, chyba w wyjątkowych wypadkach. A zresztą — Boże drogi! To mieszkanko zaciszne, pełne haftów, poduszek i przeróżnych cacek! Trzeba przecież uszanować

sanktuarjum Ewona, jego zamilowanie do kwiatów, które więdną od dymu, do strzyżonych dywanów, na których tak szkaradnie wygląda strząśnięty przez nieuwagę popiół, do przytulnych, miękkich mebelków, które tak szybko przesiąkają zapachem nikotyny! Stanowczo więcej przystoi ulubionej, krótkiej fajeczce surowy półmrok gabinetu, gdzie pachnie — poza tytoniem — business i tylko business...

Na wspomnienie owej fajeczki Adamina uśmiecha się, wyjmując z kieszeni małą bombonierkę i kładzie do ust pastylkę miętową. Jeszcze sekunda wahania przed lustrem, dwa przeciągnięcia grzebykiem po krótkiej czuprynie i Adamina, z uczuciem prawdziwego zadowolenia po pracy spędzonym dniu — udaje się w głąb mieszkania.

Zaledwie stanęła na progu buduaru, z kanapy podnosi się Ewon. Strzępki jedwabów, kolorowych, bibulek i waty rozlatują się przy tym ruchu wokoło, niby spłoszone stadko podzwrotnikowych ptasząt. Na kanapie zostaje tylko, wśród stosu poduszek, blady pierrot w taftowej kryzie, trzymający w objęciach małą kolombinę.

— To ty! — woła Ewon radośnie, wyciągając ramiona. Mimo spóźnionej pory, jest jeszcze w pyjanie. — To ty, najdroższa! Tak niecierpliwie czekałem! Kiedy wybiła trzecia, ogarnął mnie niepokój, że ci się stało coś złego! Jak to dobrze,

że przyszedł prosto do domu... Gdybyś znowu, jak w zeszły czwartek, zawiadomiła mnie telefonicznie, że zjesz obiad na mieście, chybabym się rozplakał z irytacji!

Adamina gładzi jego włosy i całuje czoło, potem oczy, potem usta dziecięco rozkapryśzone. Wreszcie poczyną tłumaczyć z uśmiechem, bardzo łagodnie:

— Przecież wiesz, kochanie, że opuszczam nasz obiadek tylko w ważnych okolicznościach. We czwartek miałam długą i nużącą konferencję z dyrektorem N., który jest moim najpoważniejszym konkurentem. Na szczęście przekonałam się podczas rozmowy, że to człowiek nie zrównoważony, a pomysły jego, choć śmiałe, są nazbyt niepraktyczne, by dały się urzeczywistnić. Kilkakrotnie musiałam przerwać potok jego wymowy, ponieważ odbiegał od tematu naszej dyskusji. No, ale uspokoiłam się ostatecznie: kto jak kto, ale on mojej fabryki nie zdystansuje. To żadna konkurencja. Zresztą, nie mówmy o tem. To tak miło zapomnieć na chwilę o interesach, o cyfrach, o tych wszystkich sprawach, które cię nudzą, prawda, mój najdroższy Ewonku? Opowiedz mi lepiej o sobie, co robiłeś przez cały ranek? Widzę, że jeszcze nie zdążyłeś się ubrać...

— Co robiłem? — krzyknął z triumfem, wyciągając z pod poduszki dużą lalkę, prawdziwe

arcydzieło z irchy, jedwabiu i koronek. — Co robiłem? Spójrz tylko, moja droga!

— Rzeczywiście, bardzo ładna laleczka, — pochwaliła Adamina, przyglądając się z upodobaniem twarzy Ewona, która poróżnowiała z zadowolenia i dumy nad stworzonym z gałganków arcydziełem. — To twój ostatni pomysł, prawda? Bardzo śmiało i efektowne połączenie barw... Czy tylko nie zamałaś ma główkę, Ewonie?

— Ech, ty się na tem nie znasz... — odparł nieco zmartwiony.

— Być może. A teraz, czy wolno spytać, kiedy podadzą obiad? Jestem porządnie głodna.

— Masz tobie! — krzyknął, zrywając się z kanapy. — Na śmierć byłbym zapomniał! Ciasteczka już się napewno przypaliły...

I złapawszy się za głowę gestem pełnym rozpacz, wybiegł z pokoju.

Adamina ogarnęła wzrokiem porzucony stos gałganków, potem spojrzała na falującą jeszcze we drzwiach portjerę i pomyślała ze wzruszeniem:

— Co za dzieciak z niego! Ale... przemylił dzieciak.

Obiad był, naturalnie, udany tylko w połowie. Ciastka istotnie przypaliły się, a poza tem mięso miało wygląd zwęglonego kawałka drewna.

— To ten obrzydły piecyk! — tłumaczył Ewon niemal ze łzami w głosie. — Tyle razy mówiłem

ci, że należy sprowadzić zduna i kuchnię przełożyć. Masz teraz...

Miał minę tak nieszczęśliwą, że Adamina przełknęła aż dwa ciasteczka gorzkie od spalenizny twierdząc, iż wcale nie są takie złe. Aby zaś odwrócić myśl biedaka od niepowodzeń gospodarskich, ozwała się wesoło:

— Czy wiesz? Za tydzień przypada dziesięciolecie mojej fabryki. Pracownicy przygotowują wielką uroczystość. Mają być liczne przemowy, rozdanie żetonów pamiątkowych, a na zakończenie — bankiet na moją cześć... Pomyśl, jaki to triumf dla mnie! Przed trzema jeszcze laty przepowiadano mi bankructwo, twierdzono, że zrobię klapę, że będę musiała zamknąć fabrykę, a przynajmniej ograniczyć produkcję... A tymczasem dziś...

Umilkła na chwilę i spytała z odcieniem dumy:

— Czy wiesz, jaki mieliśmy obrót w tym roku?

— Nie wiem i mało mi to obchodzi — mruknął Ewon. — Czuję tylko, że ten uroczysty bankiet przeciągnie się do późna i znowu będę siedział w domu sam jeden, nudząc się śmiertelnie... Ach, te twoje interesy, te twoje nieznosne interesy! Nienawidzę ich!

Adamina wzruszyła ramionami.

— Mówisz jak dzieciak. Gdyby nie te „nieznosne interesy“, jak powiadasz, ciekawam, czybyś jeździł własnem autem po mieście, czybyś mógł zeszłe lato spędzić w Bretanji i czy wogóle mógł-

byś sobie pozwolić na tak wygodne życie, jakie pędzisz? O, mój, kochany, wierzaj mi, trzeba było bardzo koło tych interesów zabiegać, aby móc sobie pozwolić na nasz obecny tryb życia, nie powiem, luksusowy, ale...

Ewon skrzywił śliczne usta z pogardą:

— Miałem przecież swój kapitał, który włożyłaś w fabrykę...

— Kapitał? — Adamina parsknęła śmiechem. Wielki mi dopiero kapitał! Procent wystarczyłby ci w sam raz na najskromniejszy pensjonat i dwie kawiarnie w tygodniu.

— Ale jednak...

— Śmieszny jesteś z wypominaniem mi tych pieniędzy. Zresztą, jeżeli uważasz, że źle niemi gospodaruję, to — proszę bardzo: możesz je dzisiaj wycofać, natychmiast... Ciekawam tylko, gdzie otrzymasz taką wysoką dywidendę.

— Ech, dywidenda! Co mię to obchodzi... Jabym wolął, zamiast tej dywidendy, więcej mieć ciebie... Przecież cię prawie nie widuję. Zostawiasz mię samego, a ja się nudzę, nudzę, słyszysz? I tęsknię... Dlatego nienawidzę tej twojej fabryki, tych twoich interesów, tych wszystkich towarzysztw akcyjnych, które mi ciebie zabierają.

Służąca wniosła właśnie czarną kawę. Adamina podsunęła Ewonowi filiżankę, mówiąc:

— Nie kapryś. Nalej mi lepiej kawy, a potem... Potem pogadamy o pewnej niespodziance, którą

niedobra Adamina przygotowuje właśnie dla swego niezdolnego chłopaczka...

Ewon rozchmurzył się nieco.

— Może wyjątkowo nie masz dzisiaj żadnego posiedzenia?

— Posiedzenie mam, niestety. O szóstej. Przepraszam cię Ewonku, ale cóż robić. Za to — mogę rozporządzić dzisiejszym wieczorem i właśnie chciałam cię zapytać, czybyś nie poszedł ze mną do teatru?

Ewon znów się nastroszył i milczał, obrażony.

— ...albo do kina?

Cisza.

— Albo wreszcie, dokąd sam zechcesz? Nie? Ha, to trudno. Sądziłam, że ci sprawię przyjemność...

Zegar wydzwonił godzinę.

— Pięta! — krzyknęła. — Jak ten czas leci! Muszę jeszcze przygotować kilka wykazów... Pa, Ewonku. Nie gniewaj się, wiesz przecież, że w tym miesiącu kończymy bilans. Powiedz Walerci, żeby mi przyniosła herbatę do gabinetu...

Wstała, złożyła serwetę, potem przelotnie mუსnęła czoło zasępiętego Ewona. W progu jeszcze zatrzymała się, grożąc mu palcem:

— A jak ci się humorek poprawi, daj mi przed wyjściem znać, bo inaczej gotowa jestem inaczej rozporządzić wolnym czasem i pożałujesz zapóźno...

W pół godziny potem zastukano do drzwi gabinetu.

— Proszę, — rzekła Adamina, porządkując i kładąc do teki potrzebne papiery.

Do pokoju wsunął się Ewon z herbatą na tacce i z miną wielce skruszoną.

— O, sam przyniosłeś herbatę? Jak to ładnie! Dziękuję ci, kochanie... Postaw ją tutaj, o tak. A teraz chodź tu bliżej, mój panie. Cóż to? Mammy oczki czerwone? Plakałeś? A, pfe! I czego? Takie duże dziecko... Czy to nie wstyd dąsać się na mnie... i o co? Że pracuję, zamiast siedzieć godzinami przy tobie i żyć pierrotów z tafty?

Ewon milczał. Wyciągnęła ku niemu obie ręce, pogłaskała po głowie i wreszcie usadowiła sobie na kolanach.

— Słuchaj, Ewonku, — rzekła poważnie. Przecież wiesz, jak cię kocham... Jesteś moim najdroższym mężusiem... Wielebym dała za to, by móc być ciągle z tobą, towarzyszyć ci wszędzie, jeździć z tobą na długie spacer, odwiedzać twoich przyjaciół... Ale rozumiesz sam, że to narazie niemożliwe. Musi być jakiś podział pracy, prawda? Ty zajmujesz się domem, to ślicznie. Ale ja dostarczam pieniędzy. A żeby je zarobić, nie mogę zaniedbywać interesów. Ale zobaczysz, zobaczysz! Wkrótce będę wolniejsza. Ten rok jest rzeczywiście ciężki, mam dużo roboty. Lecz to się już nie-

długo zmieni. Staniemy na mocnych nogach, rozumiesz mię, kochanie? Wówczas — wycofam twoje kapitały, wycofam trzy razy tyle, niż wniosłeś. Ograniczę swój dzień roboczy, będziemy wolni, swobodni, będziemy więcej razem...

Nagle spojrzawszy na zegarek krzyknęła:

— Za kwadrans szosta! Muszę iść. Wybacz mi, mój najdroższy, ale to przecież obowiązek. Rozumiesz, o-bo-wią-zek!

— Znowu to posiedzenie... — szepnął Ewon. — Pewnie się długo przeciągnie...

— Ależ nie, wrócę na ósmą. I zrobimy, co zechcesz. Pójdziemy, dokąd każesz. Może chciałbyś potańczyć?

— Wolałbym...

— Cóż takiego, Ewonku?

— Wolałbym, — szepnął nieśmiało — posiedzieć w domu... z tobą... Tak dawno nie byliśmy razem, w domu, we dwoje...

Uściskała go czule, mówiąc ze wzruszeniem:

— Ślicznie. Zobaczysz, jak się będę śpieszyła.

Już miała na głowie kapelusz, Już była w przedpokoju. Już w zamku obrócił się klucz. Zatrzymała się jeszcze i posyłając pocałunek w powietrzu, dorzuciła:

— A na wiosnę, zobaczysz! Zabiorę cię zagranicę. Pojedziemy na jakiś miesiąc, daleko, dokąd sam zechcesz. I już nie będzie posiedzeń, ani cyfr,

ani bilansów! Dam sobie urlop... Będziemy wolni, będziemy ciągle razem. Słyszysz, Ewonku?

Drzwi się zamknęły. Po schodach dudnił tupot nóg zwinnych i smukłych, jak nogi chłopca.

Ewon westchnął — i poszedł ku swojej kanapie, zarzuconej miękkimi poduszkami. Poszedł szyc nową lalkę i... tęsknić za Adamina.

JABŁONIE

Czy chciałbyś wiedzieć, człowieku uczony,
o czym gwarzyły dwie młode jabłonki, oplatające
się ramionami gałązek w cichym zakątku ogrodu?

Chcę ci powtórzyć podsłuchaną przypadkiem
rozmowę, gdyż byłam wówczas w pobliżu, zbierając fijołki w wilgotnej trawie.

— Patrz, — mówiła jedna, — patrz, siostró, co
się zrobiło ze mną od dzisiejszego poranka! Kwiaty,
tak świeże o wschodzie, stuliły płatki, a nocą
wiatr je rozmięcie po ziemi i zginął bez śladu, jak
spojrzenie, które nikogo nie dosięgło.

— Czemu zasmucasz mię daremnie? — odparła
z cicha jej młodsza siostrzyczka. — Czekają nas obie
podobny los... Pozwól mi cieszyć się myślą, że
jutro pąki mych kwiatów rozwiną się w blasku
słonecznym, jak rozkwitają usta dziewczyny pod
dotknięciem ust ukochanych! O, jakże świeże
i piękne są kwiaty różowe! Chciałabym wierzyć
choć teraz, że nigdy nie zmrozi ich zimno, ani
postrząca złośliwy wiatr, przyczajony w krzakach
agrestu. Ale ty jesteś smutna, siostró...

— Myślę, że o dzień tylko starsza od ciebie,
a dla mnie już wiosna się kończy. Czuję więdnienie
kwiatów... Każdy płatek, lecący ku ziemi, jest
cząstką śmierci mojej. Jestem co chwila starsza

o jeden kwiat utracony. Jutro, posępne Jutro obdrze mię z urody. Smutno jest żegnać się z Pięk-
nem.

— Jutro liście twoje, siostrzyczko, zabłysną żywą zielenią. Staniesz się panią mozną w adamszkowej sukni, wyniosłą i obojętną na chłód poranny panią, podczas, gdy ja drzeć będę z zimna i tulić się ku tobie, jak biedna królewna w sukience z mgieł ulkanej. To bardzo smutne, że kiedy ty płaczesz, witając wieczór majowy, — ja z upragnieniem czekam brzasku. Czy wszystkie twoje kwiaty opadły?

— Jeden tylko pozostał. Spoczywa w nim pszczoła uśpiona, która nie zdążyła wrócić do domu. Cięży mi jej sen beztroski. Jutro pszczoła odleci z wesołym brzęczeniem, unosząc z ostatniego kwiatu ostatnią kroplę słodyczy.

— Ty płaczesz, siostrze? Wszak jeden dzień życia nas dzieli... Pamiętaj! To, co ty dzisiaj przeżywasz, jutro mnie czeka. Powiedz, mam-że się lękać dnia jutrzejszego?

— O nie! Kwiaty twoje zabłysną o wschodzie i staniesz w ślubnym welonie na kobiercu z puszystych traw. A potem...

— Czemu zamilkłaś tak nagle?

— Cyt... Czy nie słyszysz, jak liście me szeszczą? Zda mi się, że czuję ich gwałtowny wzrost... Tak, siostrze, choć kwiaty opadną z gałązek, nie na tem kończy się pełnia rozkwitu.

— A gdy jesienią wiatr liście postrąca?

— Przedtem, siostrzyczko, będziemy dźwigać ciężar złotego owocu. O, jakże się gałązki nasze pochyłą pod tem słodkim brzemieniem! A kiedy owoc dojrzeje, będziemy znużone, siostrze i zapagniemy zasłużonego spoczynku.

— I wówczas nadejdzie zima?

— Tak. I otuli nas śniegiem chłodnym i białym, jak zapomnienie.

Umilkły obie jabłonki i przez czas jakiś schylały się tylko ku sobie, splątując pieszczotliwie gałązki. Zmierzch dawno zapadł. Nie rozróżniałam już fijołków wśród trawy. Ciemności pozba-
wiły je barwy. Tak przeszła noc. Na horyzoncie zajaśniał blado-liljowy pasek i począł się ku górze rozszerzać i krasnieć.

— Ach, — ocknęła się mała jablonka, okryta kwiatem, — co za chłodny poranek! Więc znowu dzień jeden przeminął?

— Jesteś zawsze o jeden dzień młodsza ode mnie, — odpowiedziała siostra.

W tej chwili pszczoła zbudziła się ze snu i odleciała, strącając ostatni, zwiędły kwiat z gałązki.

— Tak, to już dzień następny! — dodała wówczas jabłoń. — Wiosna szybko przemija....

— Czy równie szybko mija życie całe?

Starsza jablonka otrząsnęła liście z rosy porannej, poczem rzekła z uśmiechem:

— Zadałaś dziecinne pytanie! Patrz, czyż nie

jestem tem samem, czem wczoraj bylam? Straci-
lam wprawdzie kwiaty, ale ziemia wchlonęła je
w siebie i oto krążą znowu w mych żyłach. Nie
przeminęła młodość ma, — zmieniła tylko formę.
Życie trwa wiecznie.

— A zima? — szepnęła osypana kwiatami ja-
błonka?

— Zima jest tylko przejściem do nowej formy istnienia. Na wiosnę zakwitniemy znów obie.

Pierwszy słoneczny promień, jak włócznia ognista, błysnął znienacka, oświecając jabłoń kwitnącą i jabłoń okwitłą.

— A jednak wszystko przemija i nic się nie kończy... — szepnęłam powstając z trawy i przyszedłam do ciebie, człowieku uczony, abyś mi wyjaśnił tajemnicę Wieczności.

